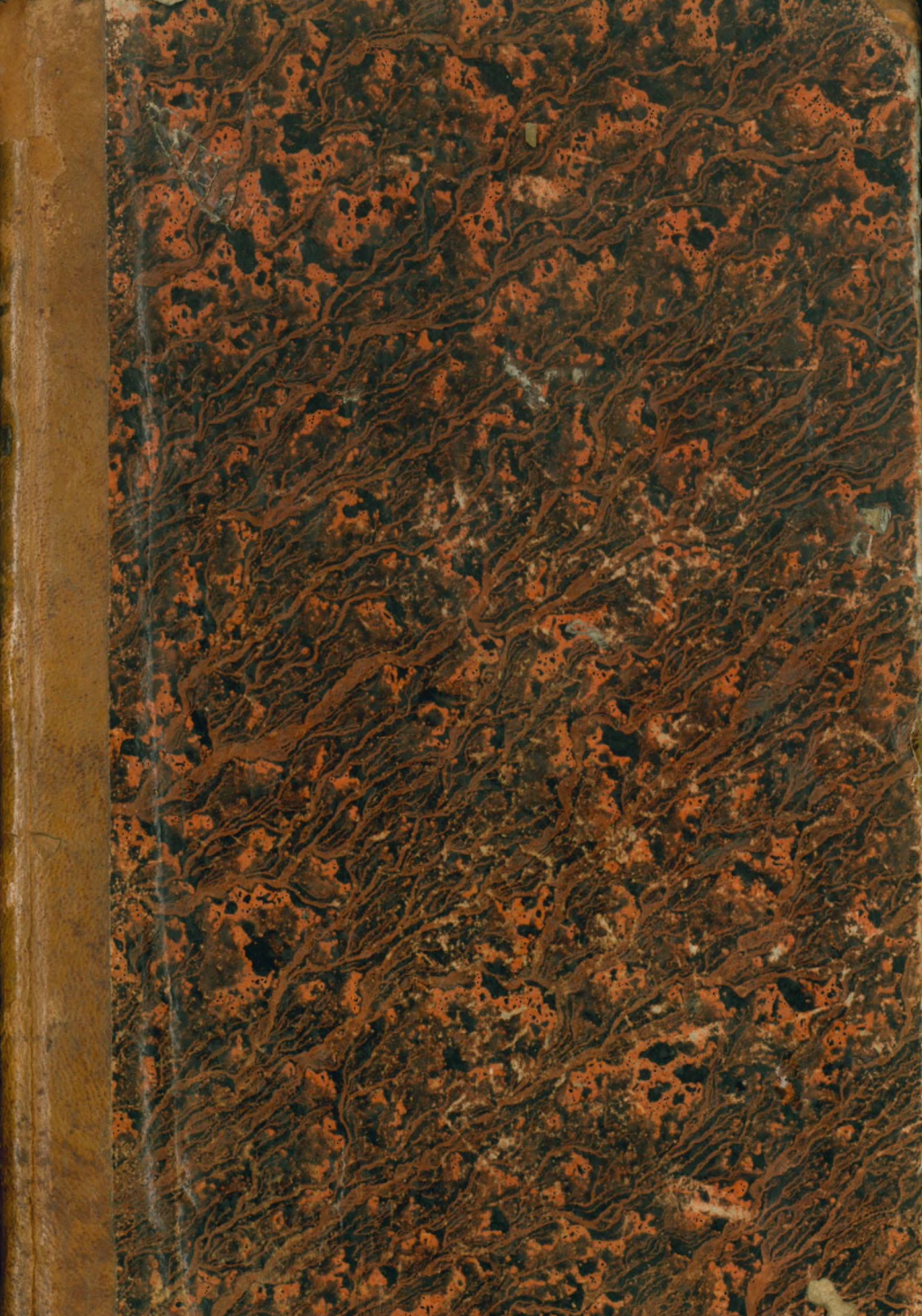








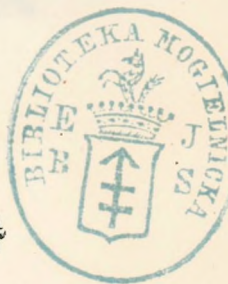
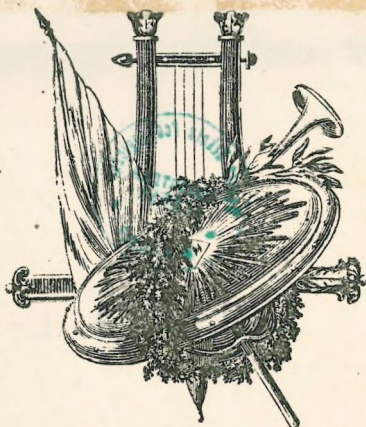
ARCYDZIEŁA

dramatyczne

ALEXANDRA HRABIEGO FREDRA.

T O M I.

Pan Geldhab. — Cudzoziemczyzna. — Damy i Huzary.
Zrządność i przekora.



L W Ó W,

Nakład i druk E. Winiarza.

1852.



111611 L-P

K O M E D I J E

ZAWARTE W PIÉRWSZYM TOMIE:

PAN GELD HAB, KOMEDIJA WE TRZECH
AKTACH, WIÉRSZEM.

CUDZOZIEMCZYŻNA, KOMEDIJA WE
TRZECH AKTACH, WIÉRSZEM.

DAMY I HUŻARY, KOMEDIJA WE TRZECH
AKTACH, PROŻĄ.

ZRZÉDNOŚĆ I PRZEKORA, KOMEDIJA
W JEDNYM AKCIE, WIÉRSZEM.



THE UNIVERSITY OF CHICAGO
LIBRARY
1207 EAST 58TH STREET
CHICAGO, ILL. 60637
U.S.A.
FEB 19 1964
RECEIVED
FROM THE UNIVERSITY OF CHICAGO
LIBRARY

ROMEDIE

PAN GELDHA B.

KOMEDIJA

w trzech Aktach, wierszem.

Pyszny nądzka, kiedy zpanoszeje.

And Max. Fredro

O S O B Y.

PAN GELDHAB.

FLORA, córka jego.

XIĄŻE RODOSŁAW.

LUBOMIR, rotmistrz.

MAJOR, przyjaciel LUBOMIRA.

LISIEWICZ, przyjaciel XIĘCIA.

KONTO, intendent XIĘCIA.

PIÓRKO.

KOMISSANT.

KRAWIEC.

KAMERDYNER.

LOKAJ.

Scena w Warszawie, w domu PANA GELDHABA.

PAN GELDHAB.

A K T I.

Teatr wystawia pokój w domu Pana Geldhaba. Na przodzie po prawej stronie stolik z książkami i krzesło; po lewej kanapa, w głębi dwoje drzwi, jedno, któremi wchodzi; drugie otwarte, dają widzieć dalsze pokoje. Drzwi na prawo i na lewo.

S C E N A I.

Pan Geldhab, Komissant, Krawiec, Tapicer, Kupczyki, Kamerdynery, Lokaje.

Geldhab w szlafroku papiéry w ręku, zdaje się być bardzo zatrudnionym. Tapicer przyhija firanki. Kupczyki w głębi stoją z różnemi sprzętami.

Geldhab do tapicera.

A, na mój honor, dobrze, kształtnie i gustownie;
Z firanek kontent jestem, kontent niewymownie;
Haftów, frandzli, muślinu suto i bogato,
Tak u mnie być powinno, Geldhaba stać na to.

po krótkim milczeniu.

Przysięgam na mą duszę i majątek stawię,
Że ledwie jest podobnych dwie w całej Warszawie.
wkrótce tapicer odchodzi.

Komissant z papierami w ręku.

Panie . . .

Geldhab do krawca.

Cóż, liberya dla dworu gotowa?

Krawiec.

Oto jest frak na próbę . . .

Geldhab.

A nasza umowa?

Waszeć widzęś zapomniał, jaka była zgoda?

Krawiec.

I owszem, wszak zrobiłem jak najnowsza moda.

Geldhab.

Moda z jednym galonem? szalony! szalony!

Cóż dwór pański oznacza, jeśli nie galony?

Krawiec.

Jednak, to gust najlepszy.

Geldhab śmiejąc się.

Takie dobre gusta,

Pewnie tacy stanowią, których kieszeń pusta;

Gdzież złotem kto przesadzi? do twarzy mu wszędzie;

Więc galon w mojej barwie, niechaj w troje będzie.

Krawiec.

Dobrze.

Geldhab.

By sutą była, jak tylko być może.

Czemuż być niema, powiedz, kiedy na to łożę?

krawiec odchodzi.

Geldhab spogląda na papiéry, potem w koło.

Komissant.

Wielmożny . . .

Geldhab.

Ale zaraz, jakżeś uprzykrzony.

do kamerdynera.

Dowiedz się, czy w gazecie będę umieszczony?

Chciałbym tam mieć wyraźnie artykuł ten cały:

dając kartkę, czyta.

„Jaśnie Wielmożny Geldhab, dziedzic Samochwały,

„Przybyszowic, Grypsowa, Łówki et cetera,“

Et cetera pamiętać! „który równie wspiera“

z przyciskiem.

„Licznych swoich poddanych, jak wszystkich do koła,

„Których tylko w niedoli wynajdywać zdoła;

„Raczył dać na spalone Bamberga przedmieście,

„Z zwykłą hojnością, złotych polskich: tysiąc dwieście.“

Komissant.

Gdy dobroć twoja Panie, tak dla obcych skora,

Siostra, co w niedostatku, od pół roku chora,

Bez wątpienia, próśb swoich skutkiem się ucieszy,

Gdy Pan procent przyspieszyć . . .

Geldhab.

Nic Pan nie przyspieszy.

Komissant.

Ten list przekona, w jakim strapieniu zostaje.

Geldhab z niecierpliwością.

Cóżto, nie wiesz, że córkę za Xięcia wydaję?

Gdy mnie fraszkami nudzić ułożyłeś sobie,

Myśleć o nich nie będę w tej tak wielkiej dobie,

Mając innych ważniejszych zatrudnień tysiące;

I termin téż wypłaty, aż za dwa miesiące.

Napisz Wać Pan, że bardzo żałuję niebogięj,

Ale pomódz nie zdołam . . . bywaj zdrów . . . czas drogi.

odwraca się.

Komissant.

Wszakto siostra!

Geldhab.

Wiem o tém.

Komissant.

Chora.

Geldhab.

To złe.

Komissant.

W nędzy.

Geldhab.

Ależ mój Panie, nudzisz; że nie dam pieniędzy

Wszak ci już powiedziałem i powtarzam jeszcze.

Kłaniam . . . obróciwszy się; do siebie.

Gdzież tę kanapę, te krzesła umieszczę?

pokazuje kupczykom, gdzie mają w drugim pokoju postawić. Kupczyki stawiają, i odchodzą; tym czasem komissant mówi.

Komissant.

Za powinny uczynek nie byłby w gazecie,

I na cóż być uczciwym, jeżeli w sekrecie?

Nie dojdzie, niech kto jak chce złoci się i puszy,

Prawdziwego szlactwa, bez szlachetnej duszy.

komissant odchodzi.

Geldhab dając klucze kamerdynerowi.

Idź, wynieś na stół wszystkie srebra i ozdoby.

Kamerdyner.

Wszystkie? wszakże mam nakryć na cztery osoby?

Geldhab.

Cóż z tego?

Kamerdyner.

Że nie zmieszczę i w największym tłoku.

Geldhab.

Co na stole nie zmieścisz, to stanie na boku.

Czegóż się patrzysz? . . . Jakże, czym na to kupował,

By nikt ich nie widział? co? będę srebra chował!

Szalony! hm! nie stawiać! chować! to mnie hawi.

Kogo nie stać na srebra niechże ten postawi!

Lux, lux u mnie być musi, zbytek, przepych wszelki . . .

do odchodzącego kamerdynera.

A resztki wina sędzić do jednej butelki.

Lokaj wchodząc.

Xiążę Rodosław.

Geldhab.

Xiążę? Niech wnijdzie łaskawie.

Za chwilę się ubiorę.

Na stoliku stojącym na przodzie, rozkłada książkę i wraca kilka razy przypatrując się i poprawiając; kładzie złotą tabakierkę i chustkę.

Tak . . . i to zostawię.

odchodzi.

S C E N A II.

Xiążę, Lisiewicz, Konto.

Xiążę we drzwiach się zatrzymuje, jakby słuchał lokaja, który go anonsował; potem obraca się w tył i woła na Konta.

Xiążę.

Panie Konto! chodź więc, chodź! na stronie.

Niežnośne stworzenie

do Konta.

Jakież cię za mną pędzi tak nagłe zdarzenie?

Konto z głębokim ukłonem.

Ach Jaśnie Oświecony . . .

Xiążę wpadając w mowę.

Prędzęj.

Konto.

Mości Xiążę . . .

Mimo wdzięczności . . .

Xiążę.

Prędzęj.

Konto.

Która serce wiąże,

Do najlepszego . . .

Xiążę.

Dalej.

Konto.

Z wielkich Xiążąt Xiecia,

Mimo, że tak śmiem mówić, mimo przedsięwzięcia . . .

Xiąże z niecierpliwością.

Cóż ci do reszty wzięło rozumu nie wiele,
Sen, gorączka, czy przestach jaki?

Konto zbliżając się do ucha.

Wierzyciele.

Xiąże z gniewem.

Ech zawsze jedno, jedno, aż już słuchać nudno!

Konto.

Ależ mnie w własnym domu usiedzieć się trudno.
Rzemieślnicy wciąż piszczą, a rabinów roje
Za ul sobie obrały pomieszkanie moje;
Nieczułe jak opoki, uparte jak żmije,
Łakomstwa ich nie wzruszą morały ni kije.
Dawny szwajcar był wprawdzie wielki moczymorda,
Lecz go się przecież bała wierzycielska horda;
Gdy nie mógł dostojeństwa zatrzymać powagą,
Uczył mores natrętnych pozłacaną lagą;
Ale dzisiaj przy nowym, za piérwszym natłokiem,
Aż do biura wpadnięto niewstrzymanym krokiem
I zelżono haniebnie pod Pańskim obrazem,
Całą intendturę z mą osobą razem.

Xiąże.

Szturmem cię więc dobyto?

Konto.

korzystając z wesołości Xiącia, dobywa papierów i mówi przeglądając.

Xiąże Pan się śmieje,

A ja dalibóg wkrótce, wkrótce oszaleję.

Lisiewicz.

Jednak kasę odbito.

Konto przeglądając papiéry.

Nic w niej nie ruszono . .

Xiążę.

Bo próżna.

Konto.

Takto niby.

Xiążę.

Lecz tych gości grono

Do Waścinej szkatułki, że się nie dobrze,

To szkoda; tam być musi zapasów nie mało.

Konto.

Xiążę Pan najłaskawiej żartem mówić raczy,

Nie wiele sług pocziwych sakiewka dziś znaczy:

Ach gorzkie w tych godzinach, gorzkie zbiory nasze!

przybliża się do Xięcia z ukłonem, patrząc w papiéry.

Gdyby Xiążę Pan . . . przejrzeć . . .

Xiążę uderzając ze spodu w papiéry.

Ach nudzisz mnie Wasze!

Lisiewicz biorąc Konta na stronę.

Nie uprzykrzaj się Wać Pan... w innej porze...

Konto okazuje nieukontentowanie.

Nie trzeba Xięcia martwić . . .

Konto.

To nic nie pomoże . . .

Lisiewicz przytrzymując go.

Zdrowie Xięcia najdroższe . . .

Konto wyrwijając się.

Proszę!... wiem co robię...

z uśmiechem.

Gdyby Jaśnie . . .

Xiążę.

Ach dobrze, że wspomniałem sobie;

Daj Wasze, daj rachunki.

Konto.

z wielkim ukłonem; do Lisiewicza.

Żle robię?

do Xięcia Niech służą.

Xiążę.

Lecz staraj się pieniędzy, pieniędzy i dużo.

Konto.

Pie . . . pieniędzy?

Lisiewicz.

Pieniądzy, Xiążę Pan powiada.

Konto.

w zamyśleniu powtarza.

Pieniądzy!

Lisiewicz.

Wolą Xięcia uczynić wypadu.

Xiążę.

Rób, co ci się podoba, zastawiaj, przedawaj,

Lecz kiedy chce pieniędzy, to pieniędzy dawaj,

Rozumiész . . . bądź zdrów.

Lisiewicz.

Xiążę żegnać się z nim raczy.

Konto na stronie.

Bierz lichu taką łaskę i takich tłumaczy! odchodzi.

S C E N A III.

Xiążę, Lisiewicz.

Lisiewicz.

Natrętność nadzwyczajna, chcieć odbierać długi,
Xięciu! Xięciu beczelnie odmawiać usługi!
Wszystkie już społeczeństwa zwalone zasady.
Nieznane były dawniej podobne przykłady;
Dziś ten, co w rzędzie szlachty ledwie ojca kładzie,
Śmie często Panu z Panów stanąć na zawadzie.

Xiążę.

Takichto gmin pożyczzał . . .

Lisiewicz.

Panowie tracili.

Była przecię różnica; ale co w tej chwili . . .

Xiążę.

Same sknérstwo, natrętność, rozpusta bezbożna.

Lisiewicz.

Nawet dla Xięcia dostać pieniędzy nie można!

Xiążę.

Ach Lisiewiczzu, gdyby . . .

Lisiewicz.

Próżno mnie łeb boli,
Lichwiarze dać już nie chcą, a panowie goli.

Xiążę.

Mamci ja wprowadzie wioski, lecz się wspomnieć boję.
Największe, wierzyciele trzymają jak swoje;
Resztą intendent rządzi, z tych nic nie wykradnę,
I mam tylko co kwartał rachunki dokładne.

z niecierpliwością.

Gdyby pożyczyć chcieli jakie bądź urwisze,
To na ciotce bogatej pewnoś im zapiszę;
Bo jeno się przeniesie do wieczystej chwały,
Biorę po niej majątek czysty i nie mały.
Wtedy mając pieniądze myślibym odmienił,
I mniej ceniąc posagi siebie więcej cenil;
Gdyż nader nie zostaje ujęty powabem
Złączenia się tak z bliska z Imé Panem Geldhabem.
Smutno będzie się znaleźć w swych znajomych gronie,
I nowego Kopciuszka widzieć w swojej żonie.

Lisiewicz.

Ubodzy bez znaczenia, niech się boją świata,
Jego zwykły szacunek za pieniądźmi lata;
W dobrej uczcie przez głowę nie przejdzie nikomu,
Za to ręczę, że Xiążna Geldhabówna z domu.

Xiążę.

Zapewne! moja świetność jęj niskość pokryje,
A na odwrót jęj złotem mój kredyt ożyje.

Lisiewicz.

Możemy też zapobiedz wczesném przedsięwzięciem,
Aby się nadal Pan teść nie bratał ze zięciem:
I gdy Xiążę Pan zechce, z ironią.

to może i żonie

Podoba się dalekie od miasta ustronie.

Xiążę.

Zrobiłbym to niemylnie, gdybym był Wacanem,
Lecz ja nie pragnę zostać mój żony tyranem;
Jest pewny kres wszystkiego, nawet i swawoli,
Który nigdy przestąpić honor nie dozwoli.

Lisiewicz.

Ach ta wspaniałość duszy jest mi nader znana,
I tylko dla rozrywki mówił Xięcia Pana.
Ale inne bojaźni muszę wyznać szczerze;
Gdy wspomnę Lubomira, wielki mnie strach bierze:
Może nagle przyjechać w tak znaczącej porze.

Xiążę.

I cóż z tąd?

Lisiewicz.

On się dawniej kochał w Pannie Florze.

Xiążę.

Ha! tém gorzej dla niego!

Lisiewicz.

Ona go kochała.

Xiążę.

Cóż z tąd, powtarzam jeszcze? . . .

Lisiewicz.

I słowo mu dała;

Ma zatem prawo . . .

Xiążę.

Ależ tak śmiesznym nie będzie,
Stanać jak współzalotnik w jednym ze mną rzędzie?

Lisiewicz.

Wielkaby śmiałość była, temu nikt nie przeczy,
Lecz miłość . . . zaręczenie . . . a podobne rzeczy . . .

Xiążę.

Miał co miał, zaręczony czy nie zaręczony,
Niech sobie Pan Lubomir innę szuka żony.

Lisiewicz.

Zapewne. Jednak jeśli powiedzieć się godzi,
W każdym razie ostrożność nic nam nie zaszkodzi;
Zwłaszcza, że bardzo łatwo Xięciu Panu będzie,
Mając w swoim znaczeniu tyle związków wszędzie,
Wyrobić najspieszniejsze rozkazu wydanie,
By Lubomir od półku jechać nie był w stanie.
Tak go więc zatrzymując, jak długo wypadnie,
My tu nasze zamiary ukończymy snadnie.

Xiążę.

Hm!.. nie źle.. lecz z Geldhabem pomówiemy w przody,
Może nam nie potrzebne te wszystkie zachody.

S C E N A IV.

Xiążę, Lisiewicz, Geldhab.**Geldhab.**

Xiążę . . . całują się

cieszą się . . . całują się.

Xiążę . . . całują się

czekał, czekał nieco . . .

Ale wiesz u nas . . . do Lisiewicza z hardością.

Witam . . . do Xiącia

jak godziny lecą.

Lisiewicz.

Oto papiery, które Pan dałeś dla Xiącia,

Posag nie jest powodem jego przedsięwzięcia . . .

Xiążę śmieje się na stronie.

Więc nie czytał ich nawet, spokojny w tej mierze.

Geldhab.

Nie trzeba mi to mówić, bardzo temu wierzę.

Między Panami jeden drugiego nie zdradzi;

Lecz choć słowo dość u nas, pismo nie zawadzi.

Więc niema o czém mówić, notaryusz z-jedzie,

I wszystko ukończymy po dobrym obiedzie;

po krótkim myśleniu.

Ach, tak dziś pracowałem, że nie czuję głowy . . .

Ależ upraszam siedzieć . . . siadają.

Jakto w dzień pocztowy;

Nie mogę się opędzić suplikantów zgrai;

A że téżto na świecie nic się nie utai!

Że żyję z ministrami, i choć się nie chwale,
Przyznać potrzeba, żyję dosyć poufale,
Dla tego wiejska szlachta ułożyła sobie,
Że jak się za kim wstawię, co zechcę to zrobię.
Mogę ja wprowadzić pomódz, mam i wpływu trochę,
Ale, żebym mógł wszystko, to są myśli płocze;
Koniec końców, co poczta, jak minister jaki,
Odbieram oprócz suplik, samych listów paki;
Do tego jeszcze rządzców mych wiosek niewielkich,
Także pliki raportów i rachunków wszelkich;
Przy naszym miejskiem życiu rzecz to niby zdrożna,
Lecz mając duże dobra gardzić nią nie można.

Lisiewicz.

Szczęśliwy, komu nieba przyjaciela dały,
Jemu wtedy powierza rządów ciężar cały,
Ten się wszystkiem zatrudnia odebrawszy wioski,
A on żyje spokojnie i nie zna co troski;
Szczęście! szczęście!... Lecz Pana wypada żałować,
Że tak sam jeden musisz myśleć i pracować.

Geldhab.

Sam jeden? Wać Pan myślisz, żem brudny ów sknóra...

Lisiewicz.

Broń Boże!

Geldhab.

Co na złoto tylko się obciera?

Lisiewicz.

Bynajmniej.

Geldhab.

Że wraz jestem i sługą i panem?

Lisiewicz.

Nie!

Geldhab.

Żem nieumiejącym żyć w świecie bałwanem?

Lisiewicz.

Któż to mówi?

Geldhab.

Że płacić sług nie jestem w stanie?...

Lisiewicz.

Ależ mnie nie rozumiesz mój łaskawy Panie.

Geldhab.

Więc nie sam jeden; trzymam rządzców, sekretarzy,

Rachmistrzy, budowniczych, mądrych gospodarzy;

Mógłbym słowa nie mówić, tylko ręką kiwać;

Więc nie sam jeden, niema czego utyskiwać;

po krótkim milczeniu do Xiecia.

Donoszą mi ...

Lisiewicz.

Zapewne o wojska przechodzie.

Geldhab.

Lecz któż ...

Lisiewicz.

Po co się kręci, kiedy wszyscy w zgodzie.

Geldhab.

Pozwól ...

Lisiewicz.

Po wsiach bez tego, ubóstwa do koła.

Geldhab.

Niech skończę...

Lisiewicz.

I Pan swoich ochronić nie zdoła.

Geldhab.

Czyż mówię...

Lisiewicz.

Które mają ciężarów już tyle...

Geldhab.

Cóż u diabła...

Lisiewicz.

I nawet, jeśli się nie mylę...

głośno, patrząc na Xięcia.

Półk, w którym Pan Lubomir, już tam postawiono.

Xiążę.

A! Lubomir... Wać Panu znajomym jest pono?

Geldhab.

Lubomir? he?... Lubomir? rotmistrz?

Xiążę.

Tak, ten właśnie.

Geldhab.

Nibyto... ale z kądże...

Xiążę.

Mówmy zatem jaśnie.

Lubomir kochał córkę Wać Pana?

Geldhab.

Tak . . . trochę.

Xiążę.

A ona?

Geldhab.

Nie, nie; ale . . . tak, jak dzieci płocze,
Niby tak . . . swawolili, ale z Florki strony . . .

Xiążę.

Wszak mówią, że Lubomir był z nią zaręczony?

Geldhab.

Coś niby obiecałem, bo z ojcem w przyjaźni . . .

Xiążę.

Dosyć. Wiem com chciał wiedzieć, pewnie nie z bojaźni,
Lecz wcale z innych przyczyn. Ależ Panna Flora
Gdzież jest? możnaż ją widzieć?

Geldhab.

Jestto właśnie pora,

W której się rozlicznemi trudni naukami;
Nie wiem wprawdzie, to dziewczę, mówiąc między nami,
Czego się uczyć może, gdy już wszystko umie,
Nauczycieli nawet przewyższa w rozumie.
Pójdę po nią i dobra moje w zakład stawię,
Że ją znajdę przy jakiej uczonej zabawie:
Albo przezięra listy, czyta dykcjonarze,
Albo też czułe dumki nuci przy gitarze.
Diabli ma rozum! przy niej ja znaczę

pokazując na palce

o! tyle!

A jaka poetyczka! aż ją słuchać mile.
 Czasem powiem żartując: Florko, powiedz odę.
 Na przykład... na ten czarny stolik, lub komodę;
 Wnet dwieście utnie wierszy nad czarnym stolikiem,
 Tak, że niech się schowają Nelson z Kopernikiem.
 Idę więc. Odchodząc do siebie

Ach, to rozum, rozum niesłychany!

odchodzi.

Lisiewicz do odchodzącego

Czekamy.

Xiążę.

Ach to głupiec, głupiec niewidziany!

SCENA V.

Xiążę, Lisiewicz.

Xiążę.

Ktoby się chciał zatrudnić człowieka obrazem,
 Nagle spanoszonego i dumnego razem,
 Niechże sobie z Geldhaba dokładny wzór bierze.
 Co słyszałem, na honor, ledwie jeszcze wierze;
 A najbardziej z wszystkiego ta śmiałość mnie bawi,
 Śmiałość, z którą o swojem urodzeniu prawi.
 Gdybym nie był wiadomym, a słyszał ze strony,
 Przysiągłbym, że nasz Geldhab z Lechem pokrewniony;
 Wiadomym mówię, jednak to dziwne stworzenie
 Nie jest mi dobrze znane, choć się z córką żenię.

Lisiewicz.

Ma pieniądze, wszak dosyć, na cóż nam dochodzić
Kto mu ojcem, kto dziadem, kto go może rodzić.

Xiążę.

Kiedy rozkazując

chcę wiedzieć.

Lisiewicz.

Ha!... więc...

Xiążę.

Tylko proszę szczerze.

Lisiewicz

skłania się po chwili milczenia.

Ta historia, chwilę niedługą zabierze:

Czas, który zwykle wszystko niszczy lub przemienia...

Xiążę śmieje się.

Zniszczył i świetny wywód Geldhabów imienia.

Lisiewicz.

Tak jest, albo też raczej Geldhaba majątek

Kładzie w nim pierwszym, rodu świetność i początek:

Przybysz, potem mieszczanin, w końcu burmistrz w

Schowie...

Xiążę.

Pięknie szło sądownictwo, miarkuję po głowie.

Lisiewicz.

Ach nie źle, Mości Xiążę, bo wkrótce miał wioski,

Różnie o tém mówiono... różne były wnioski...

Ale na to potrzeba spoglądać przez szpary...
Kogóż ludzkie języki, kogóż te poczwary...

Xiąże.

Tak, tak, tak...i cóż dalej?

Lisiewicz.

W możniejszym już stanie

Przedsięwziął różnych rzeczy wojsku dostarczanie,
I jak to zwykle bywa, gdy szczęście posłuży,
Dwójnasób jeszcze zwiększył majątek dość duży,
I choć on niby głupi, jak na mękach plecie,
Był niczém, jest bogatym, będzie znaczył w świecie.
Osobę zaś....

Xiąże.

Tę pozwól niechaj ja odgadnę,
Na pamięć opisanie, czy też dam dokładne:
Geldhab, jak wszystkie jemu podobne istoty,
Których wyrwał z pomiotu zysk, ale nie cnoty,
Których los zbyt rozumnie umieścił na dole,
A ślepe szczęście wzniosło na przewrotném kole,
Jest próżnym i nadętym, brudnym sknérą w domu,
Podły i chciwy w sprawie, uczynny nikomu;
Lecz niechaj świat nań patrzy, gotów dla pozoru
Zostać chwilę wspaniałym i mężem honoru.
Jego ukłon, krok, uśmiech, wszystko wymierzone;
W drobnostkach urażliwy, bo kto w jego stronę
Nie dość się skłoni, spojrzy, zniży kapelusza,
Już mu chybia, i godność na wieki obrusza.

Mówisz o gwiazdach, słońcu, lub świata początku,
On zawsze wspomnieć musi o swoim majątku;
U niego *ja* i *moje* w jakimkolwiek względzie,
I pierwszym i ostatniem słowem zawsze będzie.
Nareszcie, poufałość bliska grubijaństwa
I tylko próżna duma jest w nim cechą państwa.
Jakże? zgadza się Geldhab z mojem opisaniem?
Jestto obraz takiego, który twojem zdaniem:
Był niczem, jest bogatym, będzie znaczył w świecie.

Lisiewicz.

Taki też Geldhab.

Xiążę.

Jego córkę biore przecię.

Cóżby mój pradziad mówił, gdyby ożył w grobie,
Że Xiążę...

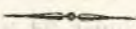
Lisiewicz.

Powiedziałby: wnuku wystaw sobie,
Że teraz bez pieniędzy w Xięstwie pomoc słaba;
Nie gardź więc złotem, ani osobą Geldhaba;
Nawet prawo powiada wszelkich związków świata:
Bądź zgodnym, dziel się z bliźnim, w człowieku widź
brata.

Xiążę śmieje się.

Dziel się z bliźnim... wybornie ta myśl wyszukana;
Bawisz mnie jak z urzędu uderzając go po ramieniu.

Lubię też Wąc Pana.



SCENA VI.

Xiążę, Lisiewicz, Geldhab, Flora.

Xiążę do Flory.

Przez całą tę scenę Xiążę mówi z ironią.

Miła jaką zabawę przerwaliśmy pewnie?

Geldhab.

głaszcząc Florę pod brodę.

Czytała nieboraczka i płakała rzewnie.

Xiążę.

Jakieżto smutne dzieło tak rozczulać zdoła?

Flora.

Ach, nie smutne; to bajka, i dosyć wesoła,

Ale ja nad przyjemnym często stylem płacze.

Xiążę.

Tak?

Flora.

Kwilić się zaczynam, gdy książkę zobaczę,

Każde *ach*, lub *niestety*, już mi łzy wyciska,

A cięrpnę na wspomnienie miłości nazwiska.

Xiążę.

To pięknie!

Flora co raz prędkiej.

Cóż dopiero ze mną się nie dzieje,

Jakież niebieskie czucie w sercu mém nie tleje!

Jakiż mojej istoty ogień nie porusza,

Jakże się nie unosi zachwycona dusza!

Kiedy czytam serc tkliwych cudne piórotwory,

Owe, sztuki miłości doskonałe wzory...
 Czyjaż moc przyrodzenia może być tak twarda,
 By nie płakać nieszczęścia cnego Abelarda?

Xiaże.

Pewnie!

Flora.

Komuż nie straszne Heloizy żale,
 Któż ze Safo nie zadrzy na okropnej skale?

Geldhab do Lisiewicza.

A co? to moja córka!

Flora.

Któż we łzach nie tonie
 Przy smutnym i zawczesnym Wirginiji zgonie?
 Takie dzieła, mą duszą, takie dzieła czytam.
 I w nich światło rozumu z rozczeniem chwytam.

znowu z prędkością i uniesieniem.

A w tkliwym Floryanie, lub czułym Gesnerze,
 Te nadobne pastérki, przyjemni pastérze,
 Te miłości wzajemne, ta niewinność prawa,
 Do wylewn łez naszych czyż nie mają prawa?

Xiaże.

Tak!

Flora.

Gdy czytam boskiego duma Ossyana,
 Chwytam gitarę, śpiewam zdrojem łez zalana;
 Zdaje mi się, najczulsze wybierając tony,
 Że wdzięcznej lutni barda, dotykam się stróny;



Z Kornela, Krebillona lub Rasyna dzieła,
Scenę, która mnie mocą najwięcej ujęła,
Wnet ołówkiem na papier dokładnie przenoszę;
Tak, we wszystkim znajduję czucie i rozkosze,
One są mym żywiołem, nauki zabawą.

Geldhab do Xięcia.

A jak pisze, rachuje, jak tańczy żwawo!

Xiążę do Lisiewicza cicho.

Otóż rozum na sprzedaż, bez żadnego składu.

Geldhab z radością.

Cóż Xiążę? nie mówiłem?

Lokaj wchodząc.

Dano do obiadu.

Geldhab.

Florko, daj Xięciu rękę!... dajże!

do Lisiewicza. Jak się boi;

Nadto skromna, lecz z czasem z wszystkim się oswoi.



A K T II.

S C E N A I.

Lubomir.

Sam.

Niesłychane zdarzenie!... cóż czynić wypada...
Flora mnie kocha... ale ojca, ojca zdrada!...
Mnie córkę obiecuje, a Xięcia z nią żeni...
Nie, nie; albo zamysły dobrowolnie zmieni,
Albo téż jeszcze dzisiaj zmienić go przymuszę,
Pamięć słowa, powinność, honor w nim poruszę...
Ale nie, cóż to zdziała na miedzianém czole?
Żem o niczém nie słyszał raczej udać wolę.
Bojaźń jego zwyczajna może mi wygodzi;
Nie będzie śmiał powiedzieć.. lecz otóż nadchodzi.

S C E N A II.

Lubomir, Geldhab.

Lubomir

biegnąc na przeciw Geldhaba.

Jakże się miéwasz przyszył

z przyciskiem **teściu mój kochany!**

ściska go

Widzę, widzę żeś hoży, czérstwy i rumiany.

Geldhab z pomieszaniem przyjmuje uściśnienie.

Po krótkim milczeniu.

No jakże Panie teściu, nie spełniamże słowa?

Jestem, choć jeszcze Czerwca nie zeszła połowa.

Geldhab pomieszany.

Witam Wać Pana, witam...

Lubomir.

Cóż za przywitanie?

Nie cieszysz się?...

Geldhab.

I owszem!

na stronie. Przekłete spotkanie!

Lubomir.

Czyż mnie teściu nie kochasz?

Geldhab zamyślony.

Hm!... a z całej siły.

Na stronie.

Bogdajbyś był kark skręcił.

Głośno. Lecz mój Panie miły...

na stronie.

Jak powiedzieć...

głośno. Myślałem...

Lubomir.

Że już nie przyjadę?

Geldhab na stronie.

Powiem mu.

Lubomir.

Na dzień, w którym szczęście moje kładę?
I że tak dawny, święty układ zapomniałem?
Ale jakżeś mógł myśleć, kiedy słowo dałem?

Geldhab na stronie.

Śmiało!

Lubomir.

A kto go łamie, lub złamać się trudzi,
Wzgardy tylko jest godzien od uczciwych ludzi.

Geldhab na stronie.

O! źle.

Lubomir

z wzrastającym zapamiętaniem.

Jest łgarzem, łotrem, hultajem!

Geldhab na stronie.

Drzę cały.

Lubomir.

Przecię, że na nich sposób, dobre nieba dały.

Geldhab

na stronie, nie słuchając dalej.

Ale czegoż się boję?

Lubomir.

Tu, z honoru broni

Zwykłą biorą zapłatę.

Geldhab na stronie.

Xiążę mnie zasłoni,

Tylko śmiało!

Głośno. Gniew Pański i śmieszny i próżny.

Lubomir.

Ja się nie gnięvam, czegoż...

Geldhab.

Zbieg zdarzeń jest różny.

Czasem słowa danego nie można dotrzymać,

Więc nie trzeba przeklinać, gniewać się i żymać.

Właśnie... z Wać Panem... w takim przypadku zostaje.

Gdy... jego narzeczone za Xięcia wydają.

oddycha i pot ocięra.

Lubomir.

To żart.

Geldhab.

Nie, nie.

Lubomir.

Ale żart.

Geldhab.

Nie żart, mówię szczerze.

Lubomir.

Wiém dobrze, żeś uczciwy...

Geldhab.

Nie, wierzaj...

Lubomir.

Nie wierzę.

Geldhab.

Daję słowo honoru, że tak w samą rzecz;
Teraz przecie twój upor prawdy nie zaprzeczy?

Lubomir.

Dajesz słowo honoru, że honoru nie masz,
I chcesz... ale dość tego.

Geldhab.

Cóżto, Wać Pan mniemasz
Być rzeczą niepodobną, godną podziwienia,
Że mój rozum ojcowski układy odmienia?
Że dla większego dobra, mniejsze dobro mija?
Że Pan z Panem się łączy, że Pan Panu sprzyja?
Wszak Geldhaba stać na to, mogę mówić śmieie.

Lubomir z ironią.

O postrzegam, że Pana stać na bardzo wiele.

Geldhab.

A... a... więc widzisz, mówmy, lecz mówmy bez zwady,
A poznasz, jak prawemi są moje zasady:

odkrzasknąwszy.

Znaczenie jest znaczenie, i znaczenie znaczy...

po krótkim milczeniu.

Któż znaczenia w złączeniu z Xięciem nie zobaczy?

po krótkim milczeniu.

Nie gniewaj się i rozważ szybkim twym pojęciem,
Żeś ty tylko szlachcicem a Xiążę Xiążęciem!

Lubomir.

Przodkowie nasi, którzy przez tak długie lata

Mieli godnie nabyte znaczenie u świata,
Którzy męstwem i cnotą ojczyźnie służyli,
Na samym szczycie sławy tylko szlachtą byli;
Dla nich z tytułów, w które stroi zagranica,
Najchlubniejszym był zawsze polskiego szlachcica.

Geldhab.

Hm!... człowiek od człowieka, czas od czasu różny,
Dziś więcej od Waszmości, znaczy Pan Wielmożny,
Pan Wielmożny mniej znowu, jak Wielmożny Jaśnie,
A ten Jaśnie przy Jaśnie Oświeconym gaśnie;
Bo Wielmożni... tak, dobrze... Wielmożni Panowie,
Nie, nie; lecz Oświeceni... nie tak... w jednym słowie:
Czém Jaśnie Oświecony, czém jest? hm.. czém? Xięciem;
A Oświecony Xiążę czém?... hm?... moim zięciem.
Nie masz co mówić, nie masz; już cię przekonałem,
Że Florki mieć nie będziesz, choć ci słowo dałem.

Lubomir.

Gdy rozumieć nie można, trudno odpowiedzieć;
Jednak dosyć jest dla mnie piękny koniec wiedzieć.
Zapomnij Wać Pan honor i moją zniewagę,
Lecz na własne swe dobro, chciej zwrócić uwagę:
Czy mniemasz, że Rodosław...

Geldhab.

Xiążę! suplikuję.

Lubomir.

Ach, Xiążę; że do Flory szczérą miłość czuje?

Geldhab.

Mniemam.

Lubomir.

Fałszywie.

Geldhab z ironią.

Czy tak?

Lubomir.

Wszakżeto rok drugi,

Jak on szuka posagu, by opłacić długi.

Geldhab.

Zazdrość, zazdrość.

Lubomir.

Nareszcie, wszak uczą przykłady,

Jakie u wielkich panów w małżeństwie zasady;

Niechaj gdziebądź dla córki ojciec brzęknie złotem,

Najpierwój pan usłyszysz... pędzi orła lotem,

O sto mil się oświadcza ufny w urodzenie,

A jak przejrzy zapisy, kocha się szalenie.

Geldhab.

Mądrze myślą; pieniądze nie są marylóche.

Lubomir.

Wszak i ja mam majątek.

Geldhab.

Szarpnąłeś go trochę.

Lubomir.

Dałem pół dla ojczyzny, sam poszedłem służyć,

Siebie i majątności możnaż lepiej użyć?

Geldhab.

Pięknyto morał, ale...

Lubomir.

Dośćjeszcze zostało

I dla mnie i dla Flory.

Geldhab.

Wszystko jest za mało,

Przy tytule Xiążęcym, przy tej wielkiej sławie,

Mieć wielką mitrę w herbie, być wielkim w Warszawie.

Lubomir.

Gdy rozsądną uwagą nie jesteś ujęty,

Niechże cię wzruszy ojca obowiązek święty:

Chceszże dla częściej próżności przez inne zameścić,

Zniszczyć na całe życie własnej córki szczęście?

Geldhab.

Ja mam zniszczyć jej szczęście? śmieje się głośno.

Ha, to myśl nie lada!

Kiedy ona z radości ledwie się posiada;

I jak się nie ma cieszyć, gdy już ogłoszono,

Że będzie za dni parę Jaśnie Oświeconą.

Lubomir.

Jakto Floraby miała? ... ach to już za wiele,

Tak mnie szarpać, i wspierać fałsz fałszem tak śmieie;

Flora pewnie mnie kocha, i wątpić nie mogę.

Geldhab.

Zapytać się jej samej najkrótszą masz drogę.

Lubomir.

Tak, niech sama odbierze daną mi nadzieję.

Na stronie.

Mamże wierzyć? o nieba! ... cóż się ze mną dzieje!

Geldhab.

O! odbierze; tém jedném najpewniéj usłuży,

Ja zaś szczerze pomyślnéj życzę ci podróży.

odchodzi.

SCENA III.

Lubomir.

Sam.

Ta Flora luba, wdzięczna, skromna, przy rozumie,

Miałaby się tak zmienić, dać się uwieść dumie?

I ta twarz, oko szczére i tak piękne razem,

Miałoby nie być prawym jej duszy obrazem?

SCENA IV.

Lubomir, Major.

Lubomir.

Ach Majorze!

Major.

Wiem wszystko; Geldhab z tobą kręci,

Dodam ja mu cokolwiek obietnic pamięci!

Tam do licha! ... aż zadrzy ... aż mu włos powstanie!

Bo ja lubię każdemu przełożyć me zdanie

Grzecznie, ładnie ... a Flora byłaże ci rada?

Lubomir.

Jeszcze z nią nie mówiłem; lecz ojciec powiada...

Major.

Temu nie wierz, on kłamie i zawsze i wszędzie,
Bo jeśli Florka stała, to inaczej będzie;

Xiążęta nie Xiążęta wskazuje na broń
tędy przejdą wprzoddy.

Lubomir.

Florka mnie kocha pewnie, lat tylu dowody...

Major.

Fraszki! niech cię nadzieja zawczesna nie mami,
Kobięty, przyjacielu, mówiąc między nami,
Jestto piękny twór Boga, ale bardzo słaby;
Okazałość dla kobiet wielkie ma powaby.

Żądza pochwał, odmiany i znaczenia w świecie,
Często najszlachetniejsze w nich czucia przygniecie.
Są, które przyznać trzeba, z przyrodzenia ręki,
Wzięły gruntowne cnoty, rozsądek i wdzięki,
A takich jeszcze w Polsce nie mało naliczę,
I taką znaleźć Florkę serdecznie ci życzę.

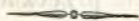
Lubomir.

Taką pewnie ją znajdę, idę bez bojaźni,
Resztę twojej szanownej powierzam przyjaźni.

odchodzi.

Major sam.

Trzeba będzie dziś widzę broń z rozumem złączyć,
I grzecznie, ale dobrze z Geldhabem ukończyć.



S C E N A V.

Major, Xiążę, Lisiewicz.**Lisiewicz**

wchodząc i nie widząc Majora.

Przyjechał, proszę wierzyć, rozkaz późno dany,
I ten Major przekłety... postrzega Majora

A... Major... kochany...

Pozwól niech cię uściskam. pomieszany.

Dawno tu w Warszawie?

na stronie.

Nie dobrze.

Głośno.

Ale Xięciu niechże cię przedstawię...

Grzeczność wymaga... jeśli zechcesz tu zabawić...

do Xięcia

Waszej Xiążęcej Mości mam honor przedstawić...

Major.

Nie masz Wać Pan honoru, my się z Xięciem znamy.

Lisiewicz na stronie.

O! źle...

Głośno.

Więc żegnam.

Major.

Nie, nie, trochę pogadamy.

Lisiewicz na stronie.

Uf!

obciéra pot.

Otóżto nie zważać na przeczucia wieszczę.

Major.

Ale ciebięto bratku, Xiążę nie zna jeszcze :

do Xięcia, biorąc za rękę Lisiewicza.

Jestto Imię Pan Lisiewicz.

Lisiewicz na stronie trąc oczy.

W oczach mi się mieni.

Major.

Wszystkich szczery przyjaciel, a zwłaszcza pieczeni.

Słuchać go . . . ma majątek w czystym kapitale,

Bez długu, w pewnym ręku, procent duży . . . ale . . .

Proces, zbieg interesów, zawód, ciężkie lata,

Skutkiem, że nie ma grosza a w słowach intrata.

Lisiewicz cicho do Xięcia.

Podobność Mości Xiążę, on zaczepki szuka.

Major.

Jak żyje? . . . tam do licha! . . . w tém największa sztuka.

Oto zręcznie latając od domu do domu,

Różne wieści rozdaje, i wie co dać komu :

Z rana, gdy brukowego towaru nazbiera,

Biegnie, gdzie sprzedać może; jednakże wybiera

Krótką chwilę wprzód, kiedy siadają do stołu;

Nie odmawia, gdy proszą by siadał pospołu,

I dla dobrego wina, lub smacznej potrawy,

Czerni bliźnich, lub wojny rozrządza wyprawy.

Lisiewicz do Xięcia.

Wszak mi przymawia?

Xiążę.

Prawda.

Lisiewicz do Xięcia.

I w brzydkim sposobie.

Xiążę.

Prawda.

Lisiewicz do Xięcia.

Mocno mi chybia.

Xiążę.

Nie daj chybiać sobie.

Lisiewicz do Xięcia.

Jak w złość wpadnę?

Xiążę.

To wpadnij.

Lisiewicz do Xięcia.

Ach kiedy się boję...

Xiążę.

To milcz.

Lisiewicz.

Nie, wolę odejść.

Major przytrzymując Lisiewicza.

Zaraz, weź co twoje.

Jeszcze jedna pochwała... niech Xięciu zostanie
Lisiewicz dobrze znanym.

Lisiewicz

na stronie ocierając czoło.

Lubi zalecanie.

Major.

Nie dosyć że pożytkiem, gdzie jakiebądź gody,
Żniwem mu jeszcze młodzian wyzwania i zgody.
Gdy się dwóch sprzeczając pocznie, co się często zdarza,
On pierwszy między nimi jeszcze gniew rozżarza,
I temu i tamtemu tyle szepce, plecie,
O urazie, honorze, o przykładach w świecie,
(Gdzie nieraz już się bito o pół słowa prawie,
Aby nie przypisano spokojność obawie),
Póki radzi nieradzi z gniewem czy bez gniewu,
Nie zabiorą się do krwi srogiego wylewu;
Wtedy, jak wichur niesie między baby plotkę,
Tu trzeźwi matkę, siostrę, tam pociesza ciotkę;
A gdy wieść pojedynku po mieście rozgada,
Powraca do młodzików i zgodę układa.
Tak więc gdzie miała zostać srodze krew przelana,
Kończy się na ostrygach i koszu szampana.
O jakieżż sobie w ten czas nie zjedna zalety!
Lisiewicz pod nieba wynoszą kobiety,
Wszędzie proszon, bo pięknie rzecz tę opowiada,
In gratiam jednej kłótni, sześć obiadów zjada.
Trąba często fałszywa każdego zdarzenia,
Natręt wielki, tchórz większy, sługa, gdzie pieczenia,
I gdzie lepiej zapłacą intrygant do wzięcia:
Oto Lisiewicz. Jestże przyjacielem Xięcia?

Xiążę.

Ale na cóż Majorze...

Lisiewicz trochę śmielój.

Tak na co . . .

Xiążę.

Ta mowa.

Lisiewicz śmielój.

Ta mowa.

Xiążę.

Wiem o wszystkiem, więc stracone słowa.

Lisiewicz co raz głośniej.

Tak, Xiążę Pan wie wszystko . . .

zuchwale.

A prawo stanowić . . .

Major

tupa nogą i postępuje ku Lisiewiczowi.

Ja tak chcę! tam do licha!

Lisiewicz

cofając się z ukłonem; pokornie.

A, a . . . proszę mówić.

Na stronie.

Wiedziałem, że tak będzie.

Major do Lisiewicza.

Z tobą już skończyłem,

Teraz słówko do Xięcia.

Lisiewicz na stronie.

Diabie się skłóciłem;

Nauczę ja go kiedyś, jak mnie trzeba cenić!

Major do Xięcia.

Wiész Xiążę że osoba, z którą się chcesz żenić,
Zdawna Lubomirowi obiecaną była?
Że to ich familija zdawna ułożyła,
I że te dzieci miłość najściślejsza wiąże,
Którą teraz nie łatwo zerwać? wie to Xiążę?

Xiążę.

A ja się znowu spytam: ten ton, co ma znaczyć?

Major.

O! to chcę i winienem jasno wytłumaczyć:
Słowo dane jest świętém, cudza własność świętą,
Tamto łamać, tę chwytać jest łotrom ponętą;
Ale człowiek uczciwy ściśle zważa na nie...
Lecz chcąc tłumaczyć, muszę powtórzyć pytanie,
Czy wiész...

Lisiewicz.

Że z Xięciem mówisz, zapominasz widzę.

Major.

Człowieka w nim uważam a z tytułów sztydę;
Jeśli duszy nie zdobi prawej cnoty darem,
Ta wstęga i ta ranga tylko mu ciężarem.

Xiążę.

Mości Panie...

Major.

Bez gniewu.

Xiążę.

Za długo mu znoszę...

Major.

Bez gniewu, tam do licha!

Lisiewicz na stronie.

Gadajże z nim proszę.

Major.

Więc widzę, z własnej woli, nie z podstępnej rady,
Sprawiasz smutek i zrywasz tak święte układy?

Mości Xiążę! dla wszystkich, jak kraju ustawa,

Tak dla wszystkich są równe i honoru prawa.

Lubomira od ciebie spotkała zniewaga,

Więc zadość uczynienia od ciebie wymaga.

Po krótkim milczeniu.

Odstąp twego zamiaru, jeśli pragniesz zgody,

Chcesz zaś przy nim pozostać, bronią zmierz się wprzód.

Xiążę nieco pomieszany.

Lecz . . . ale . . .

Lisiewicz.

Bić się z Xięciem! Mospanie Majorze?

Major.

Tak, tak strzelać się z Xięciem, Mospanie faktorze.

Lisiewicz z zadziwieniem.

Strzelać do Xięcia!

Major.

Xięstwo nie składa pancerza,

Kula w haft i siermięgę, zarówno uderza.

Lisiewicz na stronie.

Czart, nie Major.

Major.

Wybieraj . . . czyn Xiążę do woli.

Lisiewicz.

A ja nim drugi przyjdzie wymknę się powoli.

Odchodzi.

SCENA VI.

Xiążę, Major.

Xiążę

po krótkim milczeniu z udanym uśmiechem.

Cóżto, czyśmy wrócili w te szalone wieki,
Gdzie płeć piękna wzywała rycérzów opieki?
Mamyż na Rosynantach, długa dzida w dłoni,
Zbijać karki po polu w miłosnej pogoni?
Albo też siłą barków, lub dzielnością ręki
Wysławiać swęj kochanki przymioty i wdzięki?
A na końcu tych szaleństw po odmiennym losie
Śpiewać miłość i boje przy echa odgłosie?
Nie, nie; co to, to pozwól mój luby Majorze,
Trudno, ażebyś całkiem odnowił w tej porze.

Śmieje się.

Major.

Tam do licha! . . .

Lisiewicz

przebiegając w lewe drzwi przez scenę; do siebie.

Już idzie.

Xiążę

śmiejąc się głośno z przymusem.

Tego brakowało.

Serio ironicznie.

Wprawdzie dla Lubomira największą jest chwałą**Ścierać się o dziewicę tyrana Geldhaba,****Ale dla mnie, jak sława, tak nagroda słaba.**

Śmieje się odchodząc.

Geldhab we drzwiach.**Gdzież Xiążę?****Xiążę.****Ha!** precz śmiejąc się.**Oto nowego masz zięcia.**

Wychodzi.

S C E N A VII.**Major. Geldhab.****Geldhab.****Cóż to znaczy mój Panie, rozgniewałeś Xięcia?****Widzisz go!... to mi śmiałość i śmiałość nie lada.**

Chodzi prędko poprzód Majora, który stoi zamyślony.

Xięcia gniewać... hm... gniewać... jak szalony wpada,**Moralność, cnotę, związek, mój honor obala...****Któżto w moim pałacu rządzić się pozwala?****Powtarzam, Lubomira próżne przedsięwzięcia,****A Florka nie forteca dla ciebie do wzięcia;****Zatém szturmuj gdzie indziej, szturmuj sobie wszędzie...**

Major

tupa nogą, Geldhab staje jak wryty.

A tam do licha! ciszej! pókiż tego będzie?

Milczę, tak mnie oburzył ten dumny niecnota,

A ten sobie rozpuścił w gębie kołowrota.

Chodzi w gniewie poprzód Geldhaba, który stoi w miejscu; do siebie.

Śmiać się, drwić, kiedy grzecznie... a tego za wiele;

w złości.

Xięcia, i Lisiewicza i...

staje przed Geldhabem.

ciebie zastrzelę.

Geldhab przestraszony.

Mój Majorciu, Majorciu, siadaj, daje krzesło

gniew ci szkodzi...

Siadaj Majorciu, powiedz, o co, o co chodzi?

Major do siebie chodząc.

Rosynant, nie Rosynant, w dobrym czy złym losie,

Ale ty Mości Xiążę, oberwiesz po nosie!

Geldhab na stronie z zadziwieniem.

Xiążę po nosie!

Major.

Słuchaj od dawna cię znałem

za każdym słowem Geldhab się kłania.

Z rozsądkiem, sercem, głową; lecz się oszukałem,

Jesteś chciwy, nieczuły, w uczciwości... różny,

Jesteś próżny.

Geldhab.

Nie, ale...

Major.

Tam do licha, próżny!

Geldhab skłania głowę, jakby przystawał na to.

Bo na cóżbyś dla córki sklejał związek nowy,
Gdyby ci tytuł Xięcia nie zawrócił głowy?
Myślisz, że po tym kroku zapomną w Warszawie
Tę makę... hm?... ten owies w ostatniej przystawie,
Coto zgniły... rozumiesz? każdy to pamięta;
Jakże w świecie ty będziesz, jak córka przyjeta?
A jeśli ona dumę równą twój posiada,
Ręczę, widziéć cię w domu, że nie będzie rada;
Wnuki, coby twych późnych lat pociechą były,
Teraz Xiążęta, będą dziada się wstydziły;
Bo ty siebie nie zmienisz oświeconym zięciem,
Geldhab będzie Geldhabem, a Xiążę Xiążęciem.

Geldhab.

Córka mnie bardzo kocha, on wielce poważa.

Major.

Ech bajki, on drwi z ciebie, a szkatułkę zważa.
Już dosyć jesteś starym, i mógłbyś już wiedziéć,
Że panowie zwyczajni na dwóch stołkach siedziéć;
Więc twój Xiążę Jegomość pełen dobrej chęci,
Gdy lepszy związek ujrzy, może jeszcze skręci,
Nareszcie o twém szczęściu niech nie będzie mowa,
Lecz któż cię, tam do licha, uwolnił od słowa?

Geldhab pomieszany.

Musiałem...

Major.

Co, co pleciesz, chciej się zastanowić.

Geldhab.

Namowa . . .

Major.

He?

Geldhab.

Przypadkiem . . .

Major z ironią.

Dałeś się namówić.

Geldhab.

Niby, tak; raz Lisiewicz, tak mnie . . .

Major.

Zbałamucił.

Geldhab.

Nie, lecz słowo . . .

Major.

Podchwycił i na złe obrócił:

Podszedł cię zdradą?

Geldhab.

Ale . . .

Major.

Poczekajno drabie!

Kiedy tak, daj, daj rękę wstrząsa mocno

nie bój się Geldhabie.

Wstrząsa kilka razy ręką Geldhaba.

Nie bój się! dobrze będzie; zrobimy to snadnie.

Odchodząc.

O, drwinkami nie wyjdzie, kto mi w ręce wpadnie.

SCENA VIII.

Geldhab sam.

Cóż teraz... o dla Boga! cóż czynić potrzeba?

Chodzi.

Zastrzełę, mówił... Florka... nos Xięcia... o nieba!

Po krótkiem myśleniu.

Żeby jak... hej, jest tam kto?... lecz cóż zrobić mogę?

Ha!... będę komendanta prosił o załogę.

Siada i pisze. Kładzie pióro.

Cóż po tem? wszak on Major, a to będzie żołnierz,

Jeszcze mu za broń weźmie, gdy mi ściśnie kołnierz,

A jak mu w ręce wpadnę, to już po mnie będzie.

Po krótkiem myśleniu.

Gdybym jak... ha, tak dobrze; drzwi niech zamkną
wszędzie.

Jest tam kto?... hej!... do koła zamknąć, zatasować;

Hej liberya moja! niema co żartować.

Z wszystkich stron zbiegają się służący.

SCENA IX.

Geldhab, Flora, Lokaje, Kobiety.

Flora.

O nieba! cóż się dzieje?

Geldhab

chodząc i nie widząc nikogo.

Niech strzela do bramy . . .

Ja się schowam . . . jest tam kto?

Lokaj.

Już dawno czekamy.

Geldhab.

A, jesteście . . . ty Florko zamknij się w pokoju,
Muszę wszystko w tej chwili urządzić do boju.

Flora.

Jednak . . .

Geldhab.

Idź, idź. Flora sama odchodzi.

SCENA X.

Geldhab, Lokaje, Kobiety.

Geldhab.

Potrafię tę chmurę oddalić.

Jest tam kto? postrzegając.

A . . . drzwi wielkie zamknąć i zawalić.

Pokazuje.

Bierzcie krzesła, kanapy, książki, graty . . . baby!

Lokaje biorą sprzęty.

Po krótkim milczeniu.

Cóż z tego . . . czekać!

krzycząc czekać!

do siebie wszystko odpór słaby . . .

Jak wrzaśnie: tam do licha! nie dostać nie może.

Liberya moja precz! siada zmęczony.

Cóż robić, o Boże!

Lokaje i kobiety odchodzą.

SCENA XI.

Geldhab, Lisiewicz.

Lisiewicz pokazując głowę.

Jest Major?

Geldhab.

Niema.

Lisiewicz.

Pewnie?

Geldhab.

Niema mówię, niema.

Lisiewicz

wchodząc i obzierając się w koło.

Ma szczęście, że już poszedł, chodzi prędko.

mnie nikt nie dotrzyma;

Bo jak w złość wpadnę . . to . . to . . Trzeba słyszeć było

Jakeśmy się tu starli, aż wspomnieć nie miło.

Geldhab wstaje i słucha.

Pst! . . . pono idzie.

Lisiewicz

biegnąc ku drzwiom przeciwnym.

Pójdę . . .

Geldhab siadając.

Nie, to wiatr zaszumiał.

Lisiewicz.

Ma szczęście że nie przyszedł; lecz on rzecz zrozumiał:
Ze mną niema żarcików!

Geldhab.

Z nim także mój Panie,
U niego się wyrębać, jak nam zjeść śniadanie;
Już on tutaj w Warszawie nie jednego zucha,
Należycie naznaczył od ucha do ucha;
Albo na pistolety . . . aż mnie dreszcz przechodzi,
Kiedy wyzwie, to w sam łeb, lub w serce ugodzi,
Nie wyzywaj go! jutra nie dałby ci dożyć.

Lisiewicz.

Zabije?

Geldhab.

Jak bekasa.

Lisiewicz kiwa głową nie dowierzając.

No, chcesz się założyć?

Lisiewicz.

A, nie chcę!

Geldhab.

Tak dla próby.

Lisiewicz.

Czyś Wać Pan szalony!

Geldhab.

Wygrałbym, bo jak strzela, jestem zapewniony:

Raz tu przypadkiem strzelił, jednakże nie chybił,
Jak wyrznął! pokazując.

W same okno, i dwie szyby wybił.

Lisiewicz.

Fraszki.

Geldhab.

Nic się nie boisz?

Lisiewicz.

Nie.

Geldhab.

Wcale?

Lisiewicz.

Nic wcale.

Geldhab.

A kiedy tak, więc dobrze, przednie, doskonałe.
Słuchajże przyjacielu: ten major przeklęty,
Na mnie, ciebie i Xięcia okropnie zawzięty,
Trzeba się bić, lub milczyć, chcąc przywrócić zgodę;
Zatém zrób nam tę grzeczność i wielką wygodę,
Strzelaj się za nas wszystkich, powiem żeś ty winny...

Lisiewicz.

Nie, nie...

Geldhab.

Proszę cię.

Lisiewicz.

Nie chcę, nie; mam projekt inny...

myśląc mówi pomału.

Dobrze można... rzecz... skończyć, i bez krwi wylewu...

Trzeba, żebyście z Xięciem nie bojąc się gniewu,
Wpadli z góry na niego. Powiedźcie mu śmiało,
Że nie chcecie odmieniać, co się raz już stało;
Że twoja córka, Xiężną musi być koniecznie.
Tylko z nim żwawo, huczno, nawet i niegrzecznie,
A on sam zaraz będzie załatwiał tę zwadę,
Tylko krzyczcie . . .

Geldhab.

A Wać Pan?

Lisiewicz.

Ja na wieś pojadę.

Geldhab.

Tak? Wać Pan widzę śmiały do dawania rady;
Lecz taką rzeczą nasze pieniężne układy . . .

Lisiewicz.

Jakto, mógłbyś je znosić? czyjażeto głowa
Pierwszy projekt wydała? czyjażeto mowa
Xięcia nam zniewoliła? Całemi godziny
Chwaliłem mu twe cnoty i twojej rodziny,
Aż nieraz głosu brakło. I za te staranie
Takaż nagroda? taka . . .

Geldhab.

Ale mój Mospanie,
Chciejże sobie rozważyć, za cóż ja mam płacić,
I razem córkę, Xięcia i pieniądze tracić?

Lisiewicz.

Wszak jeszcze nie stracona.

Geldhab.

Tém lepiej, lecz rada . . .

Lisiewicz.

Innej poszukać teraz, i działać wypada,
Chodźmy do Xięcia, niechaj z komendantem mówi.

Geldhab.

Niech idzie do senatu, niech senat stanowi.

Lisiewicz.

Ten poradzi . . .

Geldhab.

Rozstrzygnie . . .

Lisiewicz.

W najkrótszym sposobie.

Geldhab.

Wszak to napaść . . .

Lisiewicz.

Obelga na mojej osobie.

Geldhab.

Gwałt względem mojej córki.

Lisiewicz.

To mniejsza, lecz przecie . . .

Geldhab.

Ale nie mniejsza, proszę . . .

Lisiewicz.

Któż słyszał na świecie,
Ażeby jeden major . . .

Geldhab.

Śmiał mój dóm szturmować!

Lisiewicz.

Łajać!

Geldhab.

Grozić!

Lisiewicz.

Chcieć strzelać!

Geldhab.

Rozbijać!

Lisiewicz.

Rabować!

Geldhab.

Chodźmy.

Lisiewicz.

Chodźmy.

Geldhab.

Zobaczy, z Xięciem jaka sprawa.

Lisiewicz.

Jutro Pana Majora nie ujrzy Warszawa.

Przytrzymując Geldhaba.

Jednak mnie przestrzeż, jeśli zoczysz go z daleka;

Chcę unikać, bom w złości, a szkoda człowieka.



A K T III.

S C E N A I.

Flora, Lubomir.

Flora siedzi przy stoliku, przegląda książkę i odpowiada nie patrząc na Lubomira.

Lubomir.

Wybacz Pani, że jeszcze do ciebie przychodzę,
Nie skarżyć się, już serca nadzieją nie zwodzę;
Lecz oznajmić niestety! że pełnić twę wolę,
Spełniłem szczęście Xięcia i moje niedolę.

Flora.

Dziękuję.

Lubomir.

Zapewniłem go, że z mojej strony,
Zamiar związku waszego nie będzie burzony.

Flora.

Spodzielam się.

Lubomir.

I owszem, gdy znam chęci twoje,
Odwracać od nich będę troski, niepokoje.

Flora.

Dziękuję.

Lubomir.

Gdybym dawniej przewidzieć był w stanie,
Nie byłbym ojca twego odrzucał żądanie;
Nie byłbym go na spory niemiłe wystawił,
A tobie mém przybyciem tyle zmartwień sprawił.
Bądź spokojną, szczęśliwą, kochaj Rodosława,
Innego nie chcę szukać nad twą miłość prawa,
Gdy tę tracę, cóż znaczy twych obietnic siła?
Pocóż masz jej ulegać, gdyś serce zmieniła?
Dziś jeszcze moje duszę łudziłem przyjemnie.
Że gdy cię tracąc cierpię, ty cierpisz wzajemnie.
Mówilem z twoim ojcem w zbytecznym zapale,
Gdyż myśl o twoich, moje podwajała żale;
I gdem groźby używał w ostatniej potrzebie,
Pamiętałem o tobie, zapomniałem siebie.
Ach! pochlebiałem sobie twą miłością stałą;
Kochałem cię nad siły, myśląc że za mało,
Że ty jeszcze... Lecz dosyć, niech ci los życzliwy,
Ile pragnę, da rozkosz a będę szczęśliwy;
Jednak smutne przeczucie...

Flora.

Ach, nie wróćmy proszę
Do uwag raz skończonych; troski czy rozkosze,
Szczęście czy też niedola, będą mym udziałem,
Nie troszcz się, wiem co czynię.

Lubomir.

Gniéwać cię nie chciałem;

Ale twój wzrok oziębły srodze czuć mi daje,
Że ci moja rozmowa natrętną się staje.

Czyś się nawet przyjaźni wyrzekła już teraz,
I najpięrszej miłości przysięganęj nieraz
Czyż ci nawet niemiłe i samo wspomnienie?

Flora z ironią.

Zająć się nim nie mogę, chociaż wielce cenię.

Lubomir.

Ach! czemuż ciebie tracąc, siły nié mam tyle!
O, jakże was zapomnieć szczęścia drogie chwile?
Jak pysznym mi się zdawał, jak pięknym świat cały,
Uciecha, rozkosz dla mnie we wszystkiém jaśniały;
Com widział, słyszał, uczuł, gdzie mnie myśl wabiła,
Wszystko miłość tajemna wdziękiem swym stroiła.
Dopiero przy rozstaniu czucie me poznałem,
Wahać się było wstydem, lecz ileż cierpiałem!
Tu mnie miłość pociąga, tam ojczyzna woła;
Lecz na jęj głos, kto Polak, któż się oprzeć zdoła?
Poszedłem, a gdym walczył z wrogiem i przygodą,
Miłość twa zachęceniem była i nagrodą;
Gdym krzyż otrzymał, nawet gdym odebrał ranę,
Pięrszą miał myśl, że ciebie godniejszym się stanę.
Wszystkom znosił cierpliwie nadziei oddany,
Bom cię kochał i byłem, ach! byłem kochany!
Wróciłem...ciebie...ojca...Ach! Floro, tę chwilę
Mogłażes ty zapomnieć?

Flora.

Na cóż jęków tyle?

Nie skarżyć się przychodzę, wszak mówiłeś przecię,
Z resztą głuche na skargi jest Cytery dziecię,
A te żale, rozpacz w miłośnym zawodzie,
Piękne są w elegii, trenach lub też odzie.
Wtedy w wierszach wzgląd mając na muzy natchnienia,
Dla układu czułego, myśli uniesienia,
Poetycznych obrazów i ważności dzieła,
Nawet straszne przekleństwa możebym przyjęła;
Ale tak, wierz mi Wać Pan, w zwyczajnej rozmowie,
Skargi męczą i nudzą.

Lubomir.

Już ich nie ponowię,
I wybac mi tą razą; czas przeszły w pamięci,
Mówiłem co uczułem, mimo własnej chęci.
Jednak słuchaj mnie jeszcze: nie zazdrość zdradliwa,
Nie nadzieja mnie wiedzie, lecz przyjaźń troskliwa:
Odmów Xięciu, by szczęście nadal ci służyło.

Flora.

Nadto téj troskliwości i nadto jój było,
Wszystko z téj troskliwości nieszczęsnej wypływa:
Z troskliwości nas nudzisz, a major wyzywa.
Lepiej było pozostać w swych kolegów gronie,
Ścigać w puszczy niedźwiedzie i ujeżdżać konie;
Tam major silniejszego znalazłby atletę,
Niż starca, Lisiewicza i słabą kobietę.
Tam mógłby godnej siebie Pan Major dójsć sławy,
Potém na łonie Bacha spoczywać z wyprawy;

I Wać Pan pilny uczeń swojego Mentora,
Mógłbyś z czasem z słabemi udawać Hektora,

Lubomir.

Co słyszę? Floro! jakież...

Flora.

Lepiej było zostać,
Niż zmieniać naszą ciszę na Erebu postać;
I gdy już nie pomogło ni straszyć ni prosić,
Heroicznej miłości poświęcenia głosić.

Lubomir.

Na gniew czyż zasłużyłem?

Flora.

Kto nudzi czas długi,
Na mój gniew sprawiedliwy ma dosyć zasługi.

Lubomir.

Ja ciebie nie poznaję...

Flora.

Ach proszę w tej dobie,
Zapomnijmy o dawnym mówienia sposobie,
Poufałości z sobą nie miejmy za wiele,
Myśląc o wzrastającym pośród nas przedziele.

Lubomir.

Niszczysz miłość ku sobie, zostawże szacunek.

Flora.

Dla wielkich w dostojęństwie najmniejszy frasunek.
O moje teraz łaskę świat będzie się starać,

Moim wzrokiem nagradzać potrafię i karać,
Szacunek szlachty panom jest winną daniną,
A ich złość i obmowa pośród wzgardy giną.

Lubomir.

Tak? nié mam co powiedzieć, ten sposób myślenia
Zadziwia mnie, oświeca, razem czucie zmienia.

Flora.

Zatém związek zerwany?...

Lubomir.

Za twą łaskę liczę;
Żegnam cię więc, żałuję, jednak szczęścia życzę.

Odechodzi.

SCENA II.

Flora sama.

Straszna rozpacz nim miota, zazdrość go pożera,
Ale wszak on nie pierwszy z miłości umiéra;
Darmo wszystkich nagradzać darem naszej ręki,
Których często powabne zniewalają wdzięki.

Po krótkim milczeniu.

Wprawdzie dawnemi czasy lubiłam go nieco,
Lecz zwykle nasze gusta z godzinami lecą;
Co wczoraj było piękném, dziś brzydkim być może,
Mamże dla dawnéj woni, zwiędłą nosić różę?
Nareszcie co za śmieszna i razem myśl płocha,
Odmawiać rękę Xięciu, że Lubomir kocha?

Po krótkim milczeniu.

Ach, Jaśnie Oświeconą, gdy wkrótce zostanę,
Jakież szczęście mojemu będzie porównane!
Ileż dla mnie radości i sławy nie będzie?

Idzie do drzwi, powraca i co mówi, wykonywa.

Wchodzę... wszystko się wzrusza... wszyscy stoją w
rzędzie,

Xiężna Pani przychodzi! mocny szmer powstaje,

Xiężna, Xiężna! ten temu do ucha podaje,

Każdy zaraz się kłania, a ja? ja, nikomu.

Idę dalej... wzrok w górę... witam panią domu,

Kilka innych wachlarzem, i czém prędzej łapię

Nawiasem spostrzeżone miejsce na kanapie; siada.

Wtedy sunąc szkło z góry, brzeg na brwiach opieram,

I powoli na koło z uwagą pozieram;

Każdy już niecierpliwy, czy mu wzgląd oznaczę,

Sześć razy mi się kłania, nim go raz zobaczę.

Wstaje.

Takato jest moc Xięstwa! Ja zaś z mojej strony,

Geldhab wchodzi, czytając list

Podług rangi każdego wymierzam ukłony.

S C E N A III.

Flora, Geldhab nie widząc się.

Flora.

Które także dla kobiet na stopnie podzielę.

Na przyład: kłania się, tyłem obrócona do ojca.

Geldhab

czytając list, tyłem obrócony do Flory.

Ach! kłania się.

Ach! kłania się.

Flora zawsze się kłania.

Albo!

Geldhab kłania się.

To łaski za wiele.

Kończy list głośno.

„Do nóg upadam. **Xiążę.**“ kłania się.

A, bardzo dziękuję.

Flora nisko się kłania.

Nareszcie czasem.

Powtórnie kłania się; obraca się ku ojcu.

Geldhab

składając list, obraca się z ukłonem do Flory, i mówi do siebie.

Mości Xiążę! wielce czuję...

[postrzegając się; czas krótki zadziwienia]

Ach Florko, czytaj, całuje ją

czytaj... jak ci się daje list

podoba?

Lokaj.

Pan Piórko.

Geldhab.

Prosić, prosić.

Do siebie **To** wielka osoba.

Do Flory

Idź do siebie, ciesz się, ciesz, wszystko już skończono,
I w dni kilka powitam Jaśnie Oświeconą.

Patrzac za nią.

Xieźna, Xieźna, jak ulał... córeczka kochana!

Flora odchodzi.

SCENA IV.

Geldhab, Piórko.

Piórko.

Do nóg Pańskich upadam,

Geldhab.

A witam Wać Pana;

Hej! liberya moja! hej! Lokaje wbiegają

Krzesel łajdaki!

Piórko.

Cóż za rozkaz...

Geldhab

daje znak lokajom, aby wyszli, potem sadza Piórka i sam siada, mówiąc.

Siadajmy, interes jest taki:

Chciałbym mieć rys pokoleń mojego imienia,

Niby drzewo wyrasta z rycérza ramienia;

Z tego pięknie wyrosłe, różne mając związki,

Niechaj idą gałęzie, a z tychże gałązki;

A z pnia najprościejszego jedna w samej górze,

Niechaj będzie ja. Wszystko na jasnym lazurze...

Piórko.

Już, już wiem, lecz papiéry...

Geldhab dając sakiewkę.

To są, reszta w głowie.

Piórko.

Rozumiem, łatwo znaleźć, mam nawet w połowie.

Geldhab.

Kto historią umie ten wzorów dostanie.

Powieśz w notach na przykład... na przykład mój Panie :

Że pierwszy Geldhab sławny dzieły wojennemi,

Wraz z Henrykiem Walezym z szwedzkiej przybył ziemi;

Potem, że... za... Jagiełłów przez czas bardzo długi,

Wielkie zawsze ojczyźnie czynili usługi...

Lecz gdy ... Krakus świętego zabił Stanisława,

Wraz z nim, Geldhabów rzymskie wypędziły prawa.

Piórko z ironią.

Pan umie historią.

Geldhab z uśmiechem.

Ha! widziałeś z mowy.

Przypomniawszy sobie.

A jeszcze, proszę zważać, by konar środkowy,

Na którym ja wyrażnie w samym będę szczycie,

Wszystkie inne przechodził w honorów zaszczycie;

Włóż kilku wojewodów i kilku hetmanów,

Kancelrzy choć ze czterech, z parę kasztelanów,

I biskupów ... ze sześciu, z resztą jak wypadnie;

Rób jak chcesz, byle było zrobione dokładnie.

Piórko.

Rozkaz Pański wypełnię; lecz wcześniej powiadam,

Ze temu rysunkowi ważności nie nadam;
 Ten poczet senatorów nic nie znaczy wcale,
 Jeśli innych dowodów ...

Geldhab.

Wiem to doskonale;
 Lecz z czasem, gdy zapomnę, a ja natrę śmieie,
 Będę mógł zostać Hrabią?

Piórko.

Trudności za wiele.

Geldhab.

Baronem?

Piórko.

Wątpię.

Geldhab.

Niczém? Piórko wzrusza ramionami.

No, to Szambelanem?

Piórko.

Nie wiem; może nareszcie, będąc wielkim panem ...
 rusza sakiewką.

Geldhab wstając.

Jakoś to ... ale, ale; czy wiesz Panie Piórko,
 Że się Xiążę Rodosław żeni z moją córką?

Piórko.

Słyszałem.

Geldhab.

I to pewnie, kontrakt ułożony.
Powiedz to w mieście . . . bądź zdrów.

Piórko.

Sługa uniżony.

Odchodzi.

SCENA V.

Geldhab sam.

O, szczęśliwy Geldhabie! szczęśliwy człowieku!
O, najszczęśliwszy Panie w dziewiętnastym wieku!
po krótkim milczeniu, zaciągając ręce z radością.
Odemnie na dół idąc całe pokolenie,
Będzie już mitrę nosić, mieć Xięstwa znaczenie.
W górę przodków mi brakło, wkrótce ich dostanę,
I jak dla równowagi na pośrodku stanę;
Śmiało się teraz Geldhab pokaże przed światem,
Gdy na dół i do góry zostanie magnatem.
O, szczęście! . . . córka Xiężna, a mój zięć Xiążęciem,
Ja teściem Xięcia, Xiążę, Xiężna mém dziecięciem;
A wnuczki moje, lube wnuczki i wnuczęta,
Wszystkoto będzie, wszystko Xiężniczki, Xiążęta;
Zatém . . .

biegnie do okna.

Ktoś wjechał, Xiążę . . . znam turkot karęty,
Florko! Florko! . . . on pewnie . . . Florko! . . . te kobiety...

S C E N A VI.

Geldhab, Flora.**Flora.**

Przebóg! cóż znowu...

Geldhab.

Xiążę.

Flora po krótkim milczeniu.

Zawsze się tak strwożę,
Czego tak krzyczyć... Xiążę, czy czekać nie może?

S C E N A VII.

Geldhab, Flora, Major, Lisiewicz.**Major** jeszcze za drzwiami.

Marsz; tam do licha!

Lisiewicz

ciągnięty od Majora bez kapelusza, laski i trzewika; które wkrótce
lokaj wnosi i oddaje.

Nieba! za cóż mnie karzecie!

do Majora prosząc.

Puść...

Major

stawiając go przed Geldhabem.

Stój! w prawo, równaj się!

Geldhab

do Lisiewicza cicho.

Dopadłeś go przecie?

Major.

Tu, do oczów niech jeden drugiemu dowodzi,
Który z was obu kłamie, i który mnie zwodzi,

Po krótkim milczeniu.

Milczycie?

Geldhab pomieszany.

Cóż mam mówić?

Lisiewicz.

Ze mnie dech ucieka.

Flora do Majora.

Do pókiż . . .

Major.

Już, już kończę, niech Panna zaczeka,

Flora z niecierpliwością.

Ja nie chcę . . .

Major.

Wiem, wiem, zaraz odprawię też Xięcia.

Flora w gniewie.

Ależ . . .

Major.

Ach bądź spokojna, znam sztukę ujęcia.

Flora na stronie.

Cóż gadać z tym dragonem? Gdybym się nie bała,
Zarazbym mu niestety! oczy wydrapała.

Major.

Nic się więc już nie dowiem?

Lisiewicz.

Ach luby Majorze,
 Proszę cię, błagam, błagam w największej pokorze,
 Puść mnie z tąd, wszak Pan Geldhab . . .

Geldhab.

Na cóż na mnie składać?

Lisiewicz.

Jednak . . .

Geldhab.

Zważaj . . .

Lisiewicz.

Lecz . . .

Geldhab.

Pozwól . . .

Obadwa razem.

Ach dajże mi gadać.

Major.

Ech, tam do licha, ciszej!

Flora zatykając uszy.

Co za krzyk o nieba!

SCENA VIII.

**Geldhab, Flora, Major, Lisiewicz,
 Lubomir.**

Lisiewicz.

Lubomir! Ach Geldhabie umierać potrzeba!

Lubomir do Majora.

Znajduję cię nareszcie drogi przyjacielu,
Nie potrzebniesz mi służył wśród przykrości wielu.
Nadzieja mnie zawiodła, wszystko się odmienia,
Spadła z oczu zasłona i znikły marzenia.
Flora blaskiem znikomym znaczenia ujęta,
Odrzuca stałą miłość, przysięg nie pamięta.
Chociaż me serce wzgardę nader wielce czuje,
Jednak nad jej zbłąkaniem więcej się lituję;
Bo gdzie przyszłość oparta na wielkości chwale,
Tam krótka bywa rozkosz, a zbyt długie żale.
Lecz na cóż raz wzgardzone powtarzam uwagi?

Major.

Nasze zatém staranie . . .

Lubomir.

Niema żadnej wagi,
Gdy ulega mniej ojca, niż swęj własnej woli.

Flora

klania się bardzo nisko z ironią Majorowi.

Nieinaczęj.

Geldhab

klania się Majorowi.

Do usług.

Lisiewicz na stronie.

Ostygam powoli.

Major

po krótkim milczeniu.

Moja Panno!

Lubomir prosząc.

Majorze . . .

Flora.

Czy nowe wyzwanie?

Major.

Nie; prawdy trochę.

Lubomir do Majora.

Proszę . . .

Flora.

Słucham ją, mój Panie.

Lubomir do Majora.

Nie zaczynaj . . .

Major do Lubomira.

Grzecznie powiem.

Po krótkim milczeniu, do Flory.

Tam do licha! proszę . . .

Lubomir.

Majorze!

Flora.

Wac Pan nie wiesz z tych kilku słów wnoszę,
 Ze chcąc żyć w świecie, nie dość prawdami szafować,
 Nie dość być strasznym, trzeba płeć piękną szanować.
 Słabość jest naszym działem, naszą bronią wdzięki;
 Lecz te oręż nie z jednej wytrąciły ręki.
 Nie zmieniaj Wac Pan prawa, które niebo daje,
 Nam w miłości rozstrzygać, wam błagać przystaje,

W piękném czuciu serc naszych przymus nie jest znany,
I musi być podległym, kto chce być kochanym.
Jeśli na to Pan Major ma co odpowiedzieć,
Słucham.

Lisiewicz na stronie.

Śmiało na honor!

Flora po krótkim milczeniu.

Prawdę będę wiedzieć?

Major.

Już szanując płęć piękną milczyć mi wypada;
Wiem oraz, że rozsądnie nikt ją nie przegada.

Kłania się.

Flora

urazona, obraca się od niego.

Grzecznie!

Major

biorąc na stronę Lubomira.

Wolę być grzecznym i ustąpić trochę,
Z resztą nic też dziwnego, że kobiety płocze.

SCENA IX.

Ciż sami i Xiążę.

Xiążę.

Ze wszystkich tu zastaję najmocniej się cieszę,
Tém bardziej, gdy z pomyślném oświadczeniem śpieszę;
Pomyślném

do Lubomira

dla Rotmistrza

do Flory

i dla ciebie Pani,

Coście z dawna kochali i byli kochani ;

Ja zaś, lubo mém dziełem z udanym żalem

srodze szarpię duszę,

Lecz honor rozkazuje, wypełnić je muszę.

Po krótkim milczeniu.

Nie wiedziałem jak silna miłość wami włada,

Gdy mnie dzisiaj Majora oświeciła rada.

Z razu myślałem, jakiej uchwycić się strony,

Wahałem się, nadzieją przyjemną łudzony :

Może on ją zapomnie, ona mnie pokocha ;

Lecz wnet honor przemówił, umilkła chęć płoża.

Po krótkim milczeniu.

A do tego wiadomość odbieram od brata,

Że ciotka ukochana zeszła z tego świata

I mnie dała majątek niestety! po sobie.

Zatém czas, który trzeba poświęcić żałobie,

Smutek, powinność, rozum, ważne zatrudnienia,

Wszystko dzisiaj dawniejsze zamiary odmienia ;

Chcę więc je odwołując, prawo moje stracić,

do Lubomira.

I chociaż w małej części tobie się wypłacić.

Tyś mi poświęcił miłość, w niej szczęścia zasady,

Ja ci tylko poświęcam przyjemne układy.

Bądź kochanym, szczęśliwym, to ci szczerze życzę,

I pozwól niech cię w rzędzie przyjaciół policzę.

Do Majora wstrząsając mu rękę.

Majorze, z nami zgoda.

Do Flory.

'Ty serca powabie,

Floro! żegnam cię, żegnam!

klaniając się.

Bywaj zdrów Geldhabie!

Odchodzi.

Major

przytrzymując Lisiewicza.

Dokąd, dokąd Mospanie? prosiem na wesele.

Lisiewicz.

Ach do nóżek upadam, honoru za wiele.

Odchodzi.

S C E N A X.

Geldhab, Flora, Major, Lubomir.

Długie milczenie.

Major do Geldhaba.

**Jakże, Xiążę... hm... kocha, wielce cię poważa,
Nie chce zwiększyć majątek, lecz zaszczyt pomnaża!**

śmieje się.

**Być teściem Xięcia, Xięcia! ach, jak to przyjemnie.
Lecz nie chcę się naśmiewać, boś słabszy odemnie.**

Geldhab

do Flory po krótkim milczeniu.

Cóż Florko! he?

wskazując głową.

Lubomir?...

Flora daje znak głową potwierdzając.

Major

spoglądając na Florę i Lubomira.

Z wszystkiego więc wnoszę...

Geldhab.

Co się dotąd zdarzyło zapomnijmy proszę,
Lepiej szukajmy szczęścia w dawnym przedsięwzięciu;
Lubomirze, pozwalam, bierz Florę po Xięciu.

Major.

Szczęść Boże, tam do licha!

Lubomir.

Nie, w jej duszy zmianie,
Uczynić ją szczęśliwą nie byłbym już w stanie.

Do Flory.

Kochałem cię zbyt stale, bo cię inną znałem,
Dziś twój sposób myślenia jest naszym przedziałem.
Szczęścia twojego pragnę, dar twej ręki cenię,
Lecz biorąc go, rozsądnych zamiarów nie zmienię.

Kłania się z wielkiem uszanowaniem i odchodzi.

Major

wysłuchawszy z wielką uwagą.

Dobrze! Takato dumy zwykła jest zapłata,
Nadzieje zawsze próżne i wzgarda u świata.

Do Geldhaha.

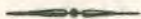
Nadtoś myślał o xięstwie, gdy Xiążę o groszu,
Tak osiadłeś na łodzie, a Panna na koszu.



CUDZOZIEMCZYŻNA.

KOMEDIJA

we trzech Aktach, wierszem.



Kto wielu naśladowe, cudzego nie dojdzie,
a swoje pomiesza.

And. Max. Fredro.

O S O B Y.

RADOST.

ZOFIJA, córka **RADOSTA**.

HRABINA JULIJA, wdowa w średnim wieku.

ZDZISŁAW, brat młodszy **HRABINY**.

ASTOLF.

ETIENNE, kamerdyner **ASTOLFA**.

JAKUB, stary sługa w domu **RADOSTA**.

EKONOM i **KILKU SŁUŻĄCYCH RADOSTA**.

Scena na wsi, w domu RADOSTA.



CUDZOZIEMCZYNA.

A K T I.

Scena wystawia pokój dobrze umeblowany; po prawej stronie stół, na którym leżą damskie robotki; kilka krzeseł.

S C E N A I.

Julija, Zdzisław.

Julija

kładąc robotę i wstając od stołu.

Nie, nie, Panie Zdzisławie, nie będę milczała,
Dzisiaj wydać się musi tajemnica cała.

Zdzisław.

Ależ kochana siostró...

Julija.

Nie, ścierpieć nie mogę,
Ażeby kto do szczęścia sam utrudniał drogę,
I to przez jakieś śmieszne, nedorzeczne myśli.

Zdzisław.

Każdy sobie inaczej drogę szczęścia kręśli.

Julija.

Dopókim zostawała w niezachwianej wierze,

Że prawdziwej swobody chcesz i szukasz szczerze,
Chociaż zawsze otwartość w każdej sprawie wolę,
Przybyłam tu w sąsiedztwo, wzięłam daną rolę.
Lecz dziś widząc, że właśnie, co kryjesz w uporze,
Zyskać rękę Zofii, zjednać ojca może,
Mamże milczyć? sam rozważ.

Zdzisław.

Lecz powtarzam jeszcze,
W dotrzwaniu tajemnicy szczęście moje mieszczę.

Julija.

Kiedy tak, to rób co chcesz, przeszkód ci nie kładę,
Ale każę zajechać, wsiadę i pojedę.

Zdzisław.

Może długo, niestety, i ja nie zostanę;
Ależ ostatnie słowo jeszcze mi nie dane.

Julija.

Wszak przyjęcie Astolfa za odpowiedź służy.

Zdzisław.

Wprawdzie nic mi dobrego dotychczas nie wróży;
Lecz Zofiji tak prędko wyrzec się nie mogę,
I źle czy dobrze, skończę przedsięwziętą drogę.

Julija.

Bądź zdrów.

Zdzisław.

Dobra Julio, posłuchaj mię trochę;
Poznasz, że myśli moje nie są tak zbyt płóche:
Kiedy już kilkoletnią podróżą strndzony

W miłe swoje nareszcie powróciłem strony,
 Kiedy już ostygł zapał tej radości czystej,
 Którą nas poi widok zagrody ojczystej,
 Doznałem w krótkim czasie, że ta wolność nasza,
 Która się tak okropnie małżeństwem zastrasza,
 Która nad wszelkie dobro najdroższą się zdaje,
 Wcześniej czy później trochę ciężarem zostaje.
 Trzeba mieć swoich działań przyczyny nadane,
 Trzeba nosić i więzy, lecz więzy różane,
 Coraz nowych nadziei nie słuchać już głosu,
 I jeśli nie swobodę, znaleźć zakres losu.

Julija.

Pisałam ci wyraźnie...

Zdzisław.

List przerwał dumanie.

Opis Radosta domu, o Zofiji zdanie,
 Którą bardzo chwaliłaś, lecz jednak za mało,
 Wszystko z mojem życzeniem zgodnem się być zdało.
 Lecz wstrzymawszy się w mieście, muszę wyznać
 szczerze,

Nie bardzo miłe wieści zbierałem w tej mierze:
 „Radost, a! stary Radost“ każdy się odzywa,
 „Niezbýt to głowa tęga, lecz dusza poczciwa,
 „Najlepszy Polak w sercu, i jak taki słynie,
 „Lecz dziś cudzoziemczyzną oddycha jedynie:
 „Zrzucił kontusz, pas, czapkę, przywdział modne
 stroje,

„Zmienił siebie, dóm, sługi, nawet wioski swoje;
„Uczy się w dzień i w nocy, nie cudzych języków,
„Lecz tylko słów urywczych, próżnych wykrzykników;
ków;

„Słowem, co cudze, modne, to tylko ma w względzie.
„Ten, kto nie zna jak Polskę, źle przyjętym będzie,
„Lecz kto prawi o Rzymie, Paryżu, Londynie,
„Radosta przyjacielem zostaje w godzinie.“

Julija.

Powziąwszy takie wieści, każdy pewnie zgadnie,
Stósownie do nich działasz, korzystasz z nich snadnie,
Jak prosto z zagranicy do niego przybywasz,
Coraz nowym językiem nie chcąc się odzywasz,
O krajach, modach, dziwach, prawisz nieustannie,
Starasz się ojca bawić a podobać pannie.

Wcale nie; kto tak mniemał, całkiem się omylił,
Na inny sposób, rozum Pan Zdzisław wysilił:
Przyjeżdżasz ... ażem zbladła ... srokatych pięć koni,
Krakowiak z biczem trzaska, każdy chomąt dzwoni,
Kolaska! jakiej nawet już i nie dostanie,
A miast kamerdynera, pacholek w żupanie;
I oznajmiasz beczelnie, zaraz pierwszej chwili,
Żeś za Polski granice nie zrobił i mili,
Że żadnym cudzoziemskim nie mówisz językiem,
A co lepiej, wszystkiego jesteś przeciwnikiem.
Wszystko, co tu kto robi, złém ci się wydaje:
Tu chwałą tylko nowe, ty dawne zwyczaje,
Tak, tu obiad wieczorem, ty z nami nie siadasz

I z Panem Telembeckim o dwunastej jadasz,
Ty o siódmej już chrapiesz, tu nie spią do trzeciej,
Tu wstają o południu, ty nim dzień zaświeci.

Zdzisław.

Ale na cóż wyliczać te mniemane winy?
Jestem tu dziwakiem, wiem, lecz nie bez przyczyny,
Byłbym Radosta śmieszność na korzyść obrócił,
Gdybym się był tą wieścią inną nie zasmucił,
Że i córka tym błędom ulega powoli;
I to mnie przymusiło do wzięcia tej roli,
Zofija dobra, ładna, ma rozumek miły,
Ale jej, baśnie ojca, głowę zawróciły.
Sama jeszcze wyraźnie nie wie, czego żąda,
W nieznana przestrzeń świata z tęsknotą spogląda,
Światłość, znaczenie, moda, są szczęścia obrazem,
Który sprawdzić i pragnie, i lęka się razem;
Z tądto mniema, że męża najlepiej wybierze,
Gdy w nim światową śmiałość i układ postrzeże.
Przyjechać, blaskiem, wrzaskiem, młodą zająć głowę,
Nie jestto nadal szczęścia ustalić budowę.
Chcę i poznać dokładnie i tak być poznany;
Przeto, co mój charakter ten nie jest udany:
Jestem z nią samym sobą, i to tylko kryję,
Że żyłem w wielkim świecie i tam zawsze żyję.
Jeśli bez tej zalety będę jednak w stanie
Podobać się Zofiji, zmienić jej żądanie,
Jeśli poświęci miłość świata, zabaw, mody,
Będę miał jej uczucia niemyłne dowody;

Ale jeśli brak zalet, których nie chcę użyć,
Za jedyną przeszkodę do szczęścia ma służyć,
Ha!

Julija.

Ależ mój Paniczu, wszystko dobrze, ładnie;
Lecz niech ci na myśl, Zosi lat szesnaście wpadnie.
Pewnie Panna w tym wieku piękna i wesola,

z uśmiechem wskazuje Zdzisława

Człowieka co się nażył, zrozumieć nie zdoła;
A potem, nie wiem czemu każdy szuka żony
Wtedy dopiero, kiedy już światem znudzony,
I jeszcze za złe bierze tej młodej osobie,
Jeśli uciech i zabaw trochę życzy sobie.

Zdzisław.

Tak, to... Ale niech skończę, co wyznać zostaje,
Nieumiejętność cudzych języków udaję,
Bo romanse, któremi zajmują się damy,
Których my swoich mało, wiele obcych mamy,
Gramatyką się stały potocznej rozmowy!
Żadna nie potrzebuje łamać sobie głowy:
Myśli, zdania, zwrot sensu, i przyjemność cała
Staną się jej własnością byle pamiętała.
Wziąłem tę broń Zofiji; jej sposób myślenia,
Wdzięk wyrazu i zdania, niech się sam ocenia.

Julija.

Bardzo dobrze...

Zdzisław.

Z tém wszystkiém, nie będę się chlubił,
Lecz Zofija mi sprzyja i ojciec polubił.

Julija.

Ale kiedy ty idziesz mądrym, wolnym krokiem,
Astolf przy tejże mecie stanął jednym skokiem;
Jego stroje, karykle, konie i żokiety
Pono nad twój rozsądek lepsze są zalety.

SCENA II.

Julija, Zofija, Zdzisław.

Zofija wbiegając.

Ach kochana Julijo...

Nagle się wstrzymuje postrzegłszy Zdzisława. Julija zdaje się czekać
co powie, nareszcie.

Julija.

Co Zosiu?

Zdzisław.

Jak wnoszę,

Moja przytomność...

Zofija.

Ach nie, proszę zostać, proszę...

Wprawdzie teraz się tylko za wahanie wstydzę,
Bo w tém, com miała mówić, nic złego nie widzę;
Chciałam prosić Juliją, by z nami jechała
Z tą o milkę, na spacer.

Julija z niedowierzaniem.

To przyczyna cała?...

Zofija.

Ależ bo chciałam także...pokazać ci wprzody...
Astolfa cudny zaprząg, kocz najświeższej mody,
Jakie konie w karyklu, jakie pyszne stroje,
I... znowum się wstrzymała, bo się zawsze boję,
zbliża się do Juliji i mówi ciszej, ale tak żeby i Zdzisław słyszał
Kiedy chwałę te fraszki, urazić Zdzisława.

Zdzisław

z ironią pierwszy więrsz.

Ach więc już do litości dostąpiłem prawa!
Ale piękna Zofijo, strać na zawsze twogę,
Że pochwał w takim względzie zazdrośnym być mogę;
Bo wiem, że jeśli Astolf twoje serce zyska,
To nie dla tego tylko, że koczem połyska.
Takie fraszki dla duszy słabe są ogniwa,
Łatwo ich się dostaje, jeszcze łatwiej zbywa.

S C E N A III.

Julija, Zofija, Zdzisław, Radost.

Radost w surducie, pod spodem szpencer i również pantaloney z pończochami; chustka grubo zawiązana. Nalega trochę na nogę i laską się czasem podpięra.

Radost.

A charmant, charmant, superbe! już Hrabina wstała.

Zofija w rękę go całuje; Radost głaszcząc ją pod brodę.

Buon giorno moje dziecię...ślicznaś moja mała.

A! Zdzisław, ranny ptaszek ... cóż? ... podług zwyczaju
Może już z polowania?

Zofija i Julija siadają, Zofija od sceny; haftują.

Zdzisław.

Byłem w bliskim gaju,
Ale psy nie goniły, bardzo ostre pole.

Radost.

Nie goniły, *a, charmant!* dla tego ja wolę
Par force, par force...eh goddam! to mi polowanie!
Hussa! przez płoty, rowy, niech się co chce stanie!
Po angielsku! *a, charmant,* krocie uciech, krocie.
Mój Tarant, dobry szłapak, lecz staje przy płocie,
A gdzie rów to się kładzie, więc nie mogę ścigać;
Ale mnie na rok przyszyły, Anglik będzie dźwigać.
Konie i psy sprowadzam, a wtedy dopiero
Wszystkich myśliwych proszę niech się do mnie zbierają.

Julija.

Ależ Panie Radoście, któż w wieku Wać Pana
Tak poluje.

Radost.

Radotage, Komtesso kochana!

Dla wieku nie polować! idea nielada!
Co tu wiek ma do rzeczy? sam Astolf powiada,
Że Lord Fic...Fec...jakże...Fen... bodaj się nie święcił,
Ot ten, coto, rok temu na łowach kark skrecił...
Comment donc, diable! no mniejsza jak się nominował,
To gdzie! starszy odemnie, a jednak polował.

Zofija.

Nie ojczy, i ja na to zezwolić nie mogę,
Dotąd jeszcze kulejesz i cierpisz na nogę.

Radost prostując nogę.

Nie bardzo.

Zofija.

Zawsze z koni masz jakieś przypadki.

Radost.

Tak, prawda, nogę wybił, było *casus* rzadki.

Zdzisław.

Jakto z konia?

Radost z fanfaronadą.

Na kursach raz mi się trafiło.

Zdzisław.

Gdzie?

Radost jak wprzód.

Na kursach powiadam.

Zdzisław.

Lecz gdzież miejsce było?

Radost.

Od bramy do arędy.

Zdzisław.

Tu, tu?

Radost.

Tak, tu, u mnie.

Zdzisław.

Po wzgórkach?

Radost.

Tak.

Zdzisław.

I mostkach?

Radost.

Nie bardzo rozumnie.

Wiem, wiem, *mais c'était charmant!*

Zdzisław.

I któż tam był jeszcze?

Radost.

Ja i moi dworzanie. Wszystkich w szereg mieszczę,
W szereg... przy bramie... wszystkich... *superbe!*...

staję razem;

Mamy wszyscy wyruszyć za danym rozkazem.

Moja nieboszczka ciotka miała głos jak tuba,

Jeszczem jęj dał za dyszkant starego Jakuba;

Słuchamy... w tém oboje już krzyczą co mogą,

Eh goddam, jak pocisnę Taranta ostrogą!...

Zarazem koniuszego przy mostku wyminął,

Ekonom wraz ze siodłem z kobyły się zwinął,

Potém jeden i drugi, obadwa pisarze,

Zostali ten przy gumnie, tamten przy browarze;

I leśniczy gniademu okładając boki,

Już, już, nie był przedemną, jak na cztery kroki,

W tém żyd idąc... bo żyda zawsze pełno wszędzie;

Nuż do lisięj kapuzy; a mój Tarant w pędzie
 Jak forknie, stanie, wierźgnie... musiałem zeskoczyć.
 No, w Anglii na kursach, żyda ani zoczyć;
 Lecz u nas!, u nas! *goddam!* jak tu kursa robić?
 Jednak i moja wina, trzeba przysposobić
 Miejsce, konie i ludzi. Wszystko to urządzę.

Julija.

I wszystko niepotrzebnie.

Zofija.

Ach, i ja tak sędzę.

Zdzisław.

Przypadki zawsze będą.

Radost

siadając po lewej stronie sceny.

O, gadajcie sobie!

A ja na przyszłe lato nowe kursa zrobię.

Ale widzę, że jesteś lękliwy Zdzisławie.

Zdzisław zbliżając się do Zofiji.

O, czasami i bardzo, lecz nie w takiej sprawie:

Lękam się, kiedy przyszłość położę na szalę,

A nie wiem co przeważy, nadzieja czy żale.

Radost w zamyśleniu.

W mijaniu cała sztuka, a to łatwo umieć.

Zdzisław do Zofiji.

Kiedy mnie nie rozumią, lub nie chcą rozumieć.

Julija.

Rzecz jasną każdy pojmie, więc niema bojaźni.

Zofija.

Dowodem zrozumienia, jest dowód przyjaźni.

Zdzisław.

Wolę nienawiść, wolę, jak przyjaźń w nagrodę
Nadziei serca, którą...

Radost wstając.

Do skutku przywiodę!

Zdzisław

idąc ku Radostowi i dziękując.

Ach Mości Dobrodzieju...

Radost

odprowadzając na stronę Zdzisława i pokazując.

W końcu... meta stanie,

Przy której damy będą; tak, meta mój Panie.

Charmant, superbe!... tylko że...

Wpada w zamyślenie i siada.

Julija.

Jemu kursa w głowie.

Zdzisław.

Ach kiedy wyrok szczęścia w jedném leży słowie,

Wtedy lada głos ludzki dochodząc z daleka,

Zdaje się, że spełnienie nadziei wyrzeka;

Ale jakże boleśno, gdy z niczém przemija!

Nieszczęście nas zasmuca, niepewność zabija.

Ach Zofijo! zbliż mało - oddaloną porę;

Błagam cię, dzisiaj, teraz, niech wyrok odbiorę.

Zofija.

Nie nie słyszę.

Zdzisław.

Z tym żartem prośba nie ulata;
Siostró przyczyn się za mną.

Zofija.

Nie, za mną proś brata,
Proś, niech mnie nie zawstydzą, niech mnie tak nie
dręczy;

Jutro od tego słowa, nie mnie nie wyręczy,
Na cóż dzisiaj wspominać chwilę rozstrzygnięcia?
Lękam się coraz bardziej w miarę jej zbliżenia,
I jeśli ojciec zechce, to jeszcze odłożę...
Ale nie, jutro koniec...

Radost wstając.

Nie, to być nie może.

Julija, Zofija, Zdzisław.

Czemu?

Radost.

Bo dwie mil tylko, moim gruntem będzie;
Dwie mało; więc aż Lublin zatrzyma nas w pędzie.

Julija

śmieje się.

Lublin? mil trzy chcesz pędzić?

Radost.

Z czegóż śmiać się tyle?
Po pięć w Anglii robia.

Zdzisław.

Ależ inne mile.

Radost.

Inne?

Zdzisław.

Mniejsze.

Radost.

Tak, *charmant!* przypominam sobie.
O, zaraz w moich drogach, taki podział zrobię!
Przecię zimo czy latem, czy polem czy lasem,
Miło, angielską miłą przejechać się czasem.

SCENA IV.

Ciż Sami, Astolf.

Zupełnie ubrany jak Radost.

Radost

idąc na przeciw Astolfa, i podając rękę.

Buon giorno.

Astolf.

Bon jour, Mesdames.

Radost

obracając się przed idącym Astolfem.

Patrz, mój surdut nowy.

Astolf

z uśmiechem spojrzawszy z boku.

Nie zły.

Przysuwa z hałasem krzesło do Zofiji; siadając.

Cóż *Comtesse Julie*, ustał dziś ból głowy?

nie słuchając odpowiedzi i wyciągając się na krzesło.

Panna Zofija zawsze piękna jak nadzieja.

Radost

na stronie; poprawiając surdut.

Nie zły!

Astolf

do Zdzisława z przyciskiem.

Do nóg upadam Pana Dobrodzieja!

Radost

przypatrując się surdutowi Astolfa i swój poprawiając.

Nie zły! taki jak jego.

Astolf

do Zdzisława, jednym zawsze głosem od początku sceny.

Pod stopki mnie ściele.

Julija cicho do Zofiji.

Nieznośny.

Zofija podobnie do Juliji.

Prawda, czasem.

Zdzisław do Astolfa.

Nacóż słów tak wiele?

Nacóż się tak z językiem, i z myślami biedzić,

Czyż po polsku, *dzień dobry*, nie można powiedzieć?

Radost.

***Dobry dzień*, czy *dzień dobry*, twardo i nie ładnie,**

A w cudzych mowach, to z ust jak z procy wypadnie:

Bon jour, guten Morgen, good day; skarby, skarby
Panie!

Jak się masz? how do you do? co za przywitanie!

A bądź zdrów: farewell, farewell, krótko węzłowato,
Farewell. Dobranoc: good night, good night; cóż ty
na to?

I tak wszystko w angielskiem. Na przykład, rzecz mała:
Dziękuję ci, I thank you; a, czułość wspaniała!

Farewell, I thank you, good night; ha co za dźwięk
boski! *)

Ale już nie to, trzeba wyznać, język włoski.

Buon giorno! come sta? ella sta bene?

Per servirla; cosi, cosi. Corpo di Baco!

krzywi się i kiwa ręką.

Niemiecka od francuzkiej uboższa jest mowa:

polskim mocnym akcentem.

Guten Morgen! Wo kommen Sie denn her? Ich
komme aus Lithauen. Sie kommen aus Lithauen und
sprechen so gut deutsch. Kann man Ihnen mit einer
Schale Kaffeh dienen? krzywi się i kiwa ręką.

Tak więc francuzka mowa, wszystkich mów królowa.

To mi zaś w angielszczyźnie najmilszém się zdało,

Że niewyraźność wdziękiem, nawet sztuką całą:

Jeden stara się ukryć, drugi zgadnąć słowa,

Tak zawsze jest zabawa, choć nudna rozmowa:

*) Wszystkie angielskie słowa podług wymowy policzone: *gud-de,*
hau-du-iu-du, fer-uell, gud-nayt, ay tsenk iu, goddem.

Astolf ziewnąwszy.

Ach *mon cher Monsieur* Radost, i dobry Zdzisławie,
Połóżcie też już koniec tej dzielnej rozprawie;
Co nam do takich rzeczy; bogactwo języka
Wszak z bogactwa kieszeni zupełnie wynika.
Twardy język i suchy, kiedy kieszeń pusta,
A z głodu posiniałe, niewymowne usta.

Śmieje się głośno.

Zofija do Juliji cicho.

Co za koncept.

Julija podobnież do Zofiji.

Nie mądry.

Radost.

Ależ *mon cher ami*,

Nie możemy się zawsze zatrudniać fraszkami.

Do Zdzisława.

Prawda?

Do Astolfa Potrzebne także czasem roztrząszenia
I nad erudycją.

Do Zdzisława.

N'est-ce pas?

Zdzisław.

Bez wątpienia.

Radost.

Wszak o literaturach sądzić jestem w stanie?

Zdzisław.

Teraz i mniej znający daje swoje zdanie.

Zofja do Juliji.

Co téż nie wygadują!

Astolf.

Widzę więc, że chcecie

Bym zasnął, jak wczoraj Pan...

Radost.

O... o... już, już plecie;

do Zdzisława uniewinniając się.

Takem był zasnął koło drugiej po północy,

Że się wstrzymać od spania nie było w mej mocy.

Astolf.

To nie wiem, czyś Pan osłabł, czyś się nami znudził,

Ale to wiem, żeś chrapnął, ażeś się przebudził.

Zdzisław śmieje się głośno.

O słabości niegodna! noc przepędzić we śnie.

Radost uniewinniając się.

Ależ bo byłem chory.

Zdzisław.

Ależ bo tak wcześnie.

Astolf.

Teraz dopiero Zdzisław powieć nam kazanie:

Że śmieszne i szkodliwe długie w noc czuwanie;

Że nasze dziady, baby, prababy, pradziady,

Nie takie zostawiły dla wnuków przykłady;

Że póki z zagranicy nie przyszły zwyczaje,

Szczęśliwe w swęj prostocie były nasze kraje;

Nie znano co to miasta, co bezsenne gody,

Co zbytki w stołach, winach, co wykwintne mody;
Ale siano, młócono, i zjadano... z przyciskiem
hreczkę.

Śmieje się głośno.

Zdzisław.

Nie, kazania nie powiem, lecz małą bajeczkę.
„Witaj,“ rzekł orzeł „żurawiu z podróży,
Twój powrót cieszy i wiosnę nam wróży;
Usiądź żurawiu na bliższych zagonach,
Powiedz, coś widział w cudzoziemskich stronach.
Ci co tak daleko lecą,
Zwykle korzystają nieco;
I z twojej pewnie będziem mieli łaski,
Nowe poprawy, nowe wynalazki:
Jak żywność chować,
Gniazda budować,
Wroga unikać,
Jak się czubić... jak i zmykać“...
„Stój!“ przerwie żuraw, „stój stary gaduło.
Cóż ci się we łbie usnuło,
Że się każdy trudzi lotem,
By was uczyć za powrotem.
Przeleciałem cudze kraje,
Bo tak nasze chcą zwyczaje,
A nie po to, by się męczyć,
Wszystko śledzić, siebie dręczyć;
Lecz mądrze chodzę, rezolutniej krzyczę,
To umiem, tego uczyć ci się życzę,

A poznasz wkrótce, że te wasze baśnie“...

„Nie kończ!“ orzeł wrzasnie,

„Niech cię sępy porwą w sztuki

Za te myśli i nauki!

Niech na nieszczęście do swych gniazd nie wraca,

Kto pamięć o nich na chwilę utracą,

Kto niebacznym na przykłady,

Przynosząc z sobą pozbiierane wady,

Zbiór tylko cudzych śmieszności nam stawi.“ —

O jakże wiele jest u nas żurawi!

Radost.

Charmant Astolfie, *n'est-ce pas?* dobrze rzecz wy-
stawia;

Taki głupiec podobny całkiem do żurawia,

Co się na naszych łąkach wygłodzi, wypasie,

I potem leci schudnąć w trzechmiesięcznym czasie.

A, charmant, charmant, n'est-ce pas?

Do Astolfa.

Ale nie myśl sobie,

Żeby każdy wojażer miał być w tym sposobie.

Do Zdzisława.

Prawda? *n'est-ce pas?*

Zdzisław.

Sens jasny.

Julija.

O tych tu osnowa,

Których całym rozumem cudzoziemska mowa.

Radost.

I orzeł dobry, dobry; nie słuchał włóczęgi,
I verba veritatis wyciął mu jak z księgi;
 Lubię go, lubię za to, i więcejbym lubił,
 Gdyby pana żurawia był trochę poczuł.

Astolf.

O, miał rozum, i słowne przekładał dowody.

Radost.

Czemu?

Astolf.

Bo może stary, a żuraw był młody.

Radost

w miarę zapалу odmienia postawę.

Stary, stary, cóż z tego? Patrzcie u kata!

Jak gdyby zwyciężały same tylko lata!

I ja choćem niemłody, już pod siwym włosem,

Jeszczebym na harc wyszedł z nie jednym młokosem.

Z coraz większym zapalem.

Coto wiek! teraz, zaraz, niech kto w drodze stanie!

Niech mnie tylko zaczepi! Coto! Ech Mospanie,

Jak się wchwyć do korda...

mówiąc „Ech Mospanie“ chwytą się za głowę i poprawia perukę na ucho,
 jak się czapkę poprawiało, potem przy ostatnim wierszu chce chwycić za
 kord, w ten moment zdaje się jak przebudzony postrzedz swój ubiór;

zostaje chwilę w téj pozycji, potem mówi z spuszczoną głową powoli
 i z ciężkiem westchnieniem.

Było to tak ... było!

Astolf po krótkim milczeniu.

Eh bien?

Radost

na te francuzkie słowa podnosi głowę i podrygując wraca do dawnéj przesadnej postawy.

A, charmant, charmant!

Astolf.

Bajek słuchać miło;

Lecz podobno na spacer miały jechać damy.

Jedźmyż . . .

Do Zdzisława.

Za pozwoleniem . . . jeśli jechać mamy.

Wszyscy się ruszają. Radost i Astolf ku przeciwnym drzwiom. Damy wychodzą.

Radost wywołując.

Jakubie!

Astolf podobnież.

Etienne! Daj tu mego kapelusza . . .

obracając się ku Zdzisławowi poprawia się.

Mój kapelusz . . . przepraszam.

Zdzisław.

Nikt się nie obrusza.

Astolf.

Jednakże cię przepraszam; prawdziwie się boję,

Boś gotów na mnie strzelić za polszczyznę moję.

Zdzisław wzrusza ramionami.

Radost.

Allons! stary! ruszaj się!

Jakub, *Etienne* przynoszą kapelusze.

Jakub.

Ta idę, tfy!

Radost.**Żwawo!**

głaszcząc go po łysinie i śmiejąc się.

Czubka niéma?

Damy wracają.

Jakub gniewliwie.**Hm! czubka!****Radost**

obraca go, śmieje się sam podrygując na jednej nodze.

*La pirouette!***Astolf** śmieje się.**Brawo?**

Radost Juliji podaje rękę, Astolf uprzedza Zdzisława i podaje rękę Zofiji.

Jakub do Radosta, obruszony.**Otby Panicz statkował.**

Damy, Radost i Astolf wychodzą. Jakub po krótkim milczeniu.

Wiém ja co się święci.

Spoglądając na Etienna.

Pszczółka tam być nie może, gdzie się truteń kręci.

Wychodzi przedrzyżniając Etiennowi, który wzajemnie.

SCENA V.**Zdzisław, Etienne.**Zdzisław wrócił ode drzwi; nie widząc za sobą stojącego, mówi
pierwsze wiérsze.**Zdzisław** dostając list.

Nie słucha mnie... zatem list... albo, nie... list wolę;

Siostra... nie, nie, w pokoju położę na stole...

chce iść ku drzwiom pokoju Zofiji, wraca postrzegłszy Etienna, i siada
tyłem do niego.

Jest natręt!

Etienne.

Sługa Pański! Pan się widzę nudzi...

Ej, za granicąto żyć!... tamto widać ludzi...

W Francyi nie tak jak tu, tam pastuszek łąda

O tyci, a już Panie po frauczku gada.

To Panie inne rzeczy, to Francya Panie,

Niech się Podlasie schowa!

Zdzisław

więcej tyłem się obracając; do siebie.

Przecież raz przestanie.

Etienne.

Tam pieców niema... tytuń, to bez fajek kurzą;

No, wódka diabła warta, ale wina dużo;

A dopieroż w Paryżu, albo i Londynie...

Londyn Panie na wyspie, woda w koło płynie,

Na krypach nas przewieźli, wtenczas most zerwało.

Zdzisław obraca się z zadziwieniem do Etienna.

Nie pierwszy Pan się dziwi, widziałem niemało,

Wiém wszystko; kiedy gadam, nikt mi nie zadrzymie.

A niechno Panu zaczę rozprawiać o Rzymie.

Zdzisław.

O Rzymie... cicho.

Astolf milczał...

głośno

chciałem wspomnieć właśnie;

Tamto przez morza, skały...

Etienne

przerywając śmiechem.

A to co za baśnie!

śmieje się.

Najciężej do Anglii, z tamtąd jak po stole.

Zdzisław.

Czy tak?

Etienne.

Ale ja Panie, ja Francją wolę.

Zdzisław.

Więc z Panem byłeś wszędzie?

Etienne.

Ha! niechaj sam powie.

Zdzisław na stronie.

Prawda, sam to powiedział... ależ po tej mowie...

zrywa się i chodzi pędkiem.

Czyżby i Astolf kłamał?... Zaraz próbę zrobię...

Poczekajno Paniczu dopiekię ja tobie!

Etienne.

A o Renie Pan słyszał? Ren, Panie, to rzeka,

Do *Mayence*, miasta Panie, płynąc już z daleka...

Zdzisław nagle bierze kapelusz i wychodzi.

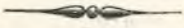
Etienne zdziwiony odprowadziwszy go oczyma.

Ja gadam, on wychodzi... nikt nie chce wiedzieć,

Wartoż tu wojażować, proszę mi powiedzieć?

stoi z założonemi rękoma.

Zasłona spada.



A K T II.

W tym akcie wszyscy prócz Zdzisława inaczej ubrani; Astolf również z Radostem. Astolf siedzi zamyślony, Radost wychodzi z swego pokoju bez fraka, który za nim Jakub niesie. Ekonom z papierami.

S C E N A I.

Radost, Astolf, Ekonom, Jakub.

Radost.

Mon cher, patrz, dobrze chustka? guz dobrze ściśnięty?
Po angielsku?

Astolf.

Źle.

Radost

zaglądając Astolfowi pod szyję.

Jakże?

Astolf siedząc poprawia mu niedbale chustkę, Radost wdziawszy frak.

A frak, patrz, co? wcięty?

Astolf.

Najpiękniej.

Radost do ekonoma.

Badź Wasze zdrów.

Ekonom kłania się i wychodzi, Radost za nim woła.

A! prawda, hé! ami!

Widziałem kilka koni dotąd z ogonami.

Goddam! co to znaczy, he?

Ekonom kłaniając się.

Ależ muchy w lecie.

Radost do ekonomy.

A w Anglii much niema?

do Astolfa.

N'est-ce pas? co on plecie!

do ekonomy.

Uciąć . . A! i twój deresz jeszcze ogón nosi.

Ekonom kłaniając się.

Staruszek, niech Pan . . .

Radost.

Uciąć! nikt się nie wyprosi.

Jutro Waszeć bez wąsów, deresz bez ogona;

Bardzo proszę.

Daje znak ręką. Ekonom i Jakub odchodzą.

SCENA II.

Radost, Astolf.

Radost.

Przesady, rzecz niewyciężona!

Nic nowego nie można do kraju wprowadzić,

Trzeba się wprzódki zawsze, aż do znoju wadzić . . .

na stronie.

Dobrze, żem sobie wspomniał, trzeba go wybadać

Czemu dziś Zdzisławowi nie chciał odpowiadać.

Czy był, czy nie był w Rzymie, muszę dojść koniecznie.

Astolf

usłyszawszy; na stronie z nieukontentowaniem.

Znowu Rzym! Lecz z nim mogę rozmawiać bezpiecznie.

Radost

siadając tyłem trochę do Astolfa przy przeciwnej stronie sceny; do siebie.

Od czegoż zacząć? ... hm, hm ...

Astolf na stronie.

Ślepo we mnie wierzy.

Radost na stronie.

Od zręcznego pytania odkrycie zależy.

Myśli nad zapytaniem nucąc piosnkę: „Wlazł kotek na płotek“, głośniej albo ciszej podług myśli, i zażywając tabakę; co powtarza przed każdym zapytaniem.

W Rzymie długo bawiłeś?

Astolf.

Bawiłem rok cały.

Radost

odwracając się nagle; na stronie.

Był. Rok nie dzień, skryć trudno ...

obracając się; kontent z konceptu.

W zimie są upały?

Astolf.

W zimie? nie niema.

Radost

odwracając się, na stronie.

Nie był. Wszak tam ciepłe kraje.

Astolf na stronie.

Chce mnie badać, nie dobrze; posądzać się zdaje.

Radost wynuciwszy piosnkę.

Papięza, czy widziałeś?

Astolf.

Widziałem i nieraz.

Radost

odwracając się.

Był. Bo gdzieżby go widział. Dojdźże końca teraz?

Astolf.

Ach *mon cher Monsieur*, wielką sprawiłeś mi radość;

Lubię jego ciekawość, uczynię jej zadość,

Będę mu opisywał te powabne kraje.

Z Włoch! z Włoch teraz brać będziemy mody zwyczaje,

Tamto nam w każdym względzie nie braknie na wzorze,

klaniając się.

A któż lepiej nad niego naśladować może?

Radost.

Tak, naśladować umiem, niema i gadania,

Lecz słyszałeś jak silnie ojczyzna się wzbrania.

Astolf.

Bo w tém błędzisz przy całym swym wielkim rozumie:

Te polskie ekonomy, żaden nic nie umie,

Wypędź wszystkich; Anglików, Francuzów dostanie,

Którzy choć nie polepszyć, odmienić są w stanie.

Nareszcie i to miło, gdy z czasem usłyszę,

Że swój wjazd do Polski, mój ekonom pisze,

Gdzie kraj znajdzie przestrogi w barbarzyństwa

względzie,

A le Baron polonais, co trzy kartki będzie.

Radost.

Mam jednego Anglika, i ten wszystkiem rządzi,
Ale cóż? wśród Polaków, dla tego też błądzi.

Astolf.

No, ale ma już błądzić ten co będzie rządził,
To wolę przecie, żeby po angielsku błądził,
Niż po polsku.

Radost.

A, i ja wolę, oczywiście!

Astolf.

Savez - Vous quoi? Daj krzyżyk temu żupaniście,
Weź natomiast Anglika, mego masztalerza.

Radost.

Masztalerz ekonomem?

Astolf.

Cóż to tak uderza?

Idą na ochmistrzynie markietanki cudze,
Czemużby *John* polskiemu niemiał zrównać słudze?
Wszak i on cudzoziemiec.

Radost.

Anglik, prawda i to.

Nieraz com brał za śmieszne, poklaskiem okryto,
A gdym pytał, mówiono: tak robią Anglicy.
Nawet *croyez - moi mon cher*, bo byłem w stolicy,
Gdyby który w bót głowę, w czapkę włożył piętę,
To ubranie z oklaskiem byłoby przyjęte;

Ergo, swego własnego gdy niémamy zdania,
Trzeba ślepo brać cudze i to bez pytania.

Charmant! n' est - ce pas! A goddam! ja się tutaj bawię!

Wybacz, że cię samego na chwilę zostawię,
Muszę . . . Otóż i Zosia, godnie mnie zastąpi.

Odchodzi.

SCENA III.

Zofija, Astolf.

Astolf.

Przecież znalazłem chwilę, której los tak skąpi,
Mogę . . .

Zofija

zwracając się ku drzwiom.

Zaraz . . .

Astolf zastępując.

Momencik.

Zofija ku drzwiom.

Juliją . . .

Astolf.

Dwa słowa.

Zofija.

Nie, nie.

Astolf odступując.

Wszakże to nasza ostatnia rozmowa.

Zofija zostaje gdzie stała i obraca się powoli ku Astolfowi

Po krótkim milczeniu.

Chcę Zofiją pożegnać.

Milczenie. Zofija idzie pomału i staje przy krześle.

Dzisiaj zaraz jadę.

Milczenie. Zofija siada powoli, opiera się na stole trochę odwrócona od Astolfa.

Zdzisław został szczęśliwszym . . . przeszkód mu nie kładę.

Zofija z nieukontentowaniem.

Zdzisław ?

Astolf.

Ach gdyby uczuć bez granic, bez miary,
Którym nie podlegając nie można dać wiary,
Uczuć, które nasz umysł w ostateczność wiodą,
Ręka twoja Zofijo, miała być nagrodą,
Któżby do niej nademnie mógł mieć więcej prawa ?
Ale inne przyczyny wynoszą Zdzisława.

Zofija.

Przyczyny ? i jakieżto ?

Astolf.

Jego sposób życia.

On żyjąc wśród cichego przed światem ukrycia,
W jednostajnym pokoju, wszystkiem cię otoczy,
Czego twe myśli pragną a szukają oczy.
Zmieniając twe mieszkanie, nie zmienisz zwyczaju,
Tak jak i tu, słowika słuchać będziesz w gaju,
Jak tu, czysty wód krzyształ odbije twe wdzięki,
Jak tu, kwiat czekać będzie dotknięcia twej ręki.
Drogie wiejskie rozkosze!

Po krótkim milczeniu.

Ja, nie jestem w stanie,
Twoje piękna Zofijo, uiszczyć żądanie.

Zważając jakie wrażenie robią jego słowa.

Nieszczęściem, pewien układ zawczasie zrobiony
Przymusza mnie opuścić lubie tobie strony.
Chciałażbyś wyjść ze swego, że tak powiem, świata?
Dobrowolną wygnanką zostać na trzy lata?
Nie widzieć swych przyjaciół i drogiej rodziny?
Ze mną samym dalekie przebiegać krainy,
I niczem nie wstrzymana, nieznana nikomu,
Coraz pod nowym niebem szukać swego domu?

Milczenie. Astolf zdaje się czekać odpowiedzi. Zofija zdaje się niemódl
zebrać się na nie.

Lecz wiem, że kto w domowej wychowany ciszy,
Niechętnie żyje w miastach, z przykrością zgiełk słyszy;
Że zmienność mody w strojach, ledwie nie co doba;
Tym co do niej niezwykli, rzadko się podoba;
I że wszystko co nowe, ludzie czy zwyczaje,
Lubiącym jednostajność ciężarem się staje.

Podobne milczenie jak wprzód.

Pojmuję także bardzo, choć mieszkam w Warszawie,
Że można się zakochać w ziemiańskiej zabawie:

Wolno i z przyciskiem.

Dla rozrywki urządzać i chodować trzody,
Sprawiać pieczołowicie warzywne ogrody,
Wglądać w zbiór lnu, konopi, i płócien bielewie,
Patrzeć na wzrost cielątek i krówek dojenie,
Karmić rzadkie kokoszki o złocistym czubie...

Zofija

z niecierpliwością.

Któż Wać Panu powiedział, że ja tak wieś lubię?

Astolf.

Jakto? piękna Zofija tych zabaw nie lubi,
 A Zdzisław jej wyborem wkrótce się pochłubi?
 Cóż ci to za myśl każe szukać tam swobody,
 Gdzie w uczuciach zapału, w chęciach niema zgody?
 Zdzisław choć stanie w świecie obok swojej żony,
 Czuć będzie, bo ma rozum, ile poniżony;
 I bądź pewną, nie długo na scenie zabawi,
 Osadzi cię za Dniestrem, lub samą zostawi.
 Przytém, nie myśl Zofijo, że jesteś nieznana:
 Ciebie i ciebie tylko wszędzie wychwalano,
 Wszyscy cię pragną poznać i widzieć w Warszawie,
 Poznają cię więc wkrótce, ale przy Zdzisławie.

Śmieje się głośno.

Przebac ten śmiech niewczesny;

śmieje się

lecz wystawiam sobie

śmieje się

Jak ten dobry wieśniaczek wyda się przy tobie.

Śmieje się.

Lecz ja mu nie uwłaczam, nie czynię zniewagi;
 Człowiek uczciwy, czytał dzieło Xiędza Wagi,
 Gospodarz pracowity, przystojny mężczyzna,
 Ale trochę... prostaczek, każdy mi to przyzna.

Zofija wstając.

Słucham Pana Astolfa, wymowie się dziwię,
Lecz go dotąd zrozumieć nie mogę prawdziwie.

Astolf.

*Nie chcesz zrozumieć, powiedz, i to męką moją,
Tyś nieczuła, mnie tylko czucia nie pokoja;
Lecz jeśli chcesz szczerości a gardzisz wymową,
O najdroższa Zofijo!... klęka.*

Zofija.

Ach! wybiega.

Astolf.

Zofijo! słowo!

SCENA IV.

Astolf

wstając.

Cóżem za głupstwo zrobił!...kląłem niepotrzebnie;
Dobrzem zaczął i mówił, a skończył haniebnie.
Z jaką wżgardą milczała! czy kocha Zdzisława?
Nie. Lecz mnie już posadza...Przeklęta rozprawa!
Tak, niema co i wątpić, już wpadli na drogę,
Odkryją tajemnicę, zgubionym być mogę.
Zdzisław, Zdzisław to zdziałał... z układu mnie badał;
Lecz z kądże on... ha! *Etienne* może się wygadał.
Etienne! Etienne! Stefanie!

otwiera drzwi.

Ty gapiu, Stefanie!

SCENA V.

Astolf, Etienne.

Etienne

za drzwiami.

Słucham, biegnę.

Postępując za Astolfem, który chodzi dużym krokiem.

Już jestem...jestem...jestem...Panie.

Astolf w gniewie.

Ty byłeś gdzieś trębaczem?

Etienne prostując się.

W kompanii drugiej

Półku pierwszego strzelców, na Pańskie usługi.

Astolf.

I dla tego, żeś trąbił za Renem dwie mile,

Kłamiesz, he?

Etienne.

Jak się uda.

Astolf.

Dowcipu nie tyle,

Bardzo proszę. Twoją niewstrzymana mowa

Szkodzi mi tu najwięcej i zgubić gotowa.

Etienne.

Mnie tu na rękach noszą.

Astolf.

Tak jest, na kułakach,

Widać po sinym nosie i czerwonych znakach;

Lecz powiedz, nie lękaj się, wyznaj, czy w tej dobie
Gadałeś co z Zdzisławem, tak, w swoim sposobie?

Etienne.

I czegożbym się lękał, zem mu duby prawił,
Sam Pan jego zdziwieniem byłbyś się ubawił.

Astolf przystępując.

Otóż słowo zagadki. Cóż mi trzyma ręce,
Że...

Etienne cofając się.

Słowo Pańskie, słowo...

Astolf.

Że ci łba nie skrećę?

Rzuca się na krzesło. *Etienne* ode drzwi bliżej powoli przystąpiwszy.

Etienne.

Jak Pan chciałeś, zostałem wielce poważany,
Na sposób cudzoziemski przerabiam dworzany;
Wczoraj, jak się *John* ze mną do Marka zabierze,
Ostatnie polskie wąsy padły jak październik,
A z ferezyi szpencer takim mu wykroił,
Że się dzisiaj z radości, jak *Bela* opoił.

Astolf.

Tak, to sposób jedyny: prawdą wesprę baśnie.
Idź, proś Pana Zdzisława.

Etienne.

Otóż i on właśnie.

Odchodzi.

SCENA VI.

Astolf, Zdzisław.

Astolf.

Zdzisławie, łatwo zgadnąć, więc nie chcę w to wchodzić,
Komu chciałeś bajeczką przyciąć i zaszkodzić;
Lecz powiem, żeś się bardzo omylił w tej mierze:
Ten, co miał na tym stracić, śmiał się w duszy szczerze.
Ale później o Włoszech, gdyś zaczął badanie,
W krótcem zamilkł... bom nie był odpowiedzieć w stanie.
I wiesz przyczynę?

Zdzisław z uśmiechem.

Niewiem, lecz mi powiesz może.

Astolf.

Zaczawszy od *a* do *zet* odbyte podróże,
Ubóstwianie cudzego, polszczyzny nagana,
Przesada w mej osobie... wszystko rzecz udana.

Zdzisław.

Astolfie!

Astolf.

Gdy poznałem, że zła droga prosta,
Tak do serca Zofiji, jak względów Radosta,
Po ich własnych śmiesznościach inną sobie ścielę.
Chcąc się córce podobać, na wzór jakich wiele,
Przesadną eleganta przyodziałem postać;
Ojca zaś śmieszność dzielę, chcąc mu miłym zostać.

Zdzisław.

I jakież koniec temu?

Astolf.

Z panną się ożenię.

Zdzisław.

Czy tak?

Astolf.

Młoda i dobra, łatwo ją odmienię.

Zdzisław.

A ojciec?

Astolf.

Ten rad nierad musi się przeprosić;
Że go także nawrócę, mogę sobie wnosić,
Do czego drogę zwolna już teraz ugładzam,
Gdy każdą jego śmieszność do zbytku przesadzam.

Zdzisław.

Oszukujesz go jednak.

Astolf.

Zdzisławie! Poprawa
Nie jest złém oszukaństwem.

Zdzisław.

Niemasz do niej prawa.

Astolf.

Chęć dobra.

Zdzisław.

Korzyść własna.

Astolf.

Obie w jednym rzędzie.

Zdzisław.

Czemuż mi to powierzasz?

Astolf.

Byś milczał w tym względzie.

Zdzisław.

Cóż ci ręczy?

Astolf.

Twój honor.

Zdzisław.

Honor, w fałsz wprowadzać.

Astolf.

Honor, szczere zwierzenie i ufność nie zdradzać.

Zdzisław.

Ostrzedz, powinność moja.

Astolf z ironiją.

I w dobrym sposobie,

Bo spełniając ją niby, pamiętasz o sobie.

Zdzisław.

Chcesz bym ci pomógł?

Astolf.

Nie chcę, i nie jesteś w stanie.

Napraw, coś mi zaszkodził, zarzuć twe badanie,

I nie zwiększaj śmieszności, którą już ponoszę.

Zdzisław.

Nie, nie, szczerym być muszę.

Astolf.

Co za szczerość, proszę!

Lecz jestżeś zawsze takim? powiedz mi Zdzisławie!
 Zawsze lubisz otwartość w każdej swojej sprawie?
 Nie myśl, że ja cię nie znam, żeś wszystkich w błąd
 rzucił:

Widziałem cię był w Wilnie, gdyś z Paryża wrócił.
 Oba więc bardzo prostą nie idziemy drogą;
 Nie wchodzę jakie twoje zamiary być mogą,
 I względem oszukaństwa uwag ci nie robię.
 Wydaj mnie, a oddalisz w téjże samej dobie;
 A gdy sam tu zostaniesz, bez żadnej zawady,
 Łatwiej twoje do skutku przywiedziesz układy.
 Zrób tak, ale się spytaj wprzód samego siebie,
 Ulegasz honorowi, czy własnej potrzebie.

Odchodzi.

Zdzisław sam.

O piekielnie! piekielnie! cierpię jak na męce.
 Jestem więc jego wiernikiem. Po krótkim myśleniu.

Ha! związał mi ręce
 Mądrze!... Mogłem go odkryć, najłatwiej wysadzić,
 Teraz muszę go bronić; w złości
 bo nie mogę zdradzić!

SCENA VII.

Zdzisław, Julija.

Julija.

Ach Zdzisławie, słuchaj mnie! jakie mam domysły,
 Słuchaj, od ich sprawdzenia twe losy zawisły.

Dzisiaj mi moja Zuzia zrobiła zwierzenie,
 Że się *Etienne* Astolfa kocha w niej szalenie;
 Gdy różne jego słowa powtórzyła ściśle,
 Wiesz, jak teraz z pewnością o Astolfie myślę?

Zdzisław.

Na przykład?

Julija.

Że jest oszust.

Zdzisław.

Julijo!

Julija.

Udaje,

Zwodzi nas, nigdzie nie był, a o wszystkiem baje;
 Nawet przypomnij sobie, dziś podczas śniadania,
 Jak się mieszał, jak zamilkł na twoje pytania.

Zdzisław.

Co za myśl!

Julija.

Jakto wątpisz?

Zdzisław.

Wątpię.

Julija.

I z przyczyny?

Zdzisław.

Bo... bo go znam.

Julija.

Ty go znasz? wszak przed pół godziny...

Zdzisław

coraz bardziej się niecierpliwić.

I cóż z tego, ale wiem.**Julija.**

Co wiesz?

Zdzisław.

Kto?

Julija.

Ty.

Zdzisław.

Co wiem?

Julija.**To, co mi masz powiedzieć.****Zdzisław.**

Ja ci nic nie powiem.

Julija.**Zdzisławie!****Zdzisław.**

Droga siostró, Julijo kochana!

Proszę cię, proszę, błagam, padnę na kolana,

Nie pytaj się, nie badaj, nie dręcz, nie męcz tyle,

I zostaw, zostaw proszę, zostaw mnie na chwilę!

Julija.**Idę, idę; Zdzisławie, co się z tobą dzieje!****Tak, każdy z was w miłości drzymie lub szaleje.**

Odchodzi.



S C E N A VIII.

Zdzisław sam.

Dobrze, dobrze na honor, dobrze plan zakreślił,
 Lecz o lubej Zofiji nie dość dobrze myślił,
 I to go może zgubi. Ojca przyjaźń zyska,
 Ale u córki został celem pośmiewiska...
 Lecz kto, co, może ręczyć, ręczyć za kobiety?
 Kto zgadnie, jakie dla nich trzeba mieć zalety?
 Czasem cacko, błyskotka, bawidełko małe
 Zająć może ich duszę, zmienić życie całe.

S C E N A IX.

Zdzisław, Zofija.**Zofija** oddaje list.

Przyjąć nie mogę; na cóż tajemne pisanie?
 Czyż nam kto kiedykolwiek rozmowy zabrania?

Zdzisław.

Ty Zofijo zabraniasz, ty unikasz zawsze,
 Dawniej i twe wejrzenia bywały łaskawsze!
 Cóż, że moja nadzieja o dzień się przedłuży?
 Twoje ścisłe milczenie szczęścia mi nie wróży.
 Może litość... rozumiem, czytam w twojem oku,
 Już mi i jutrzejszego nie trzeba wyroku;
 Wyrwę się z tych miejsc lubych, wyrwę się jak z życia,
 Zapragnę i nie znajdę przed sobą ukrycia,

A ty wspomnisz Zofijo, bo poznasz żeś w błędzie,
Że cię nikt tak nie kochał, nikt kochać nie będzie.

Zofija z uczuciem.

Zdzisławie!

Zdzisław.

O Zofijo!

Zofija odsuwając się, na stronie.

Co czynię, o nieba!

Po krótkim milczeniu.

Wola ojca...

Zdzisław.

Rozumiem, więc nie potrzeba:

Zegnam cię...

Czeka odpowiedzi.

Zofija po krótkim milczeniu.

Wac Pan jedziesz?

Zdzisław.

Na cóż czekać dłużej.

Zofija.

Jedziesz pewnie?

Zdzisław.

Najpewniej.

Zofija urażona.

Szcześliwej podróży.

Zdzisław.

Każesz jechać?

Zofija.

Ja?

Zdzisław.

Każesz zostać?

Zofija.

Ja?

Zdzisław.

Więc jadę.

Czeka odpowiedzi, po krótkim myśleniu.

Jechać, czy nie? odpowiedz; dajże mi choć radę.

Zofija.

Nie, nie, jutro odpowiem.

Zdzisław.

Zaczekam, zostanę;

Lecz jakież obietnice Astolfowi dane?

Zofija.

Żadne.

Zdzisław nie dowierzając.

Zofijo!

Zofija.

Żadne.

Zdzisław.

Lecz Radosć mu sprzyja.

Zofija.

Prawda, Astolf go bawiąc dość zręcznie podbija;

Ale w waszej rozprawie dzisiaj przy śniadaniu,

Tak śmiesznym, tak się dziwnym okazał w swém zdaniu,

Tak sprzecznym z samym sobą, że pono nie zblądzę,
Gdy go o chytry układ i kłamstwo posądzę.

Jeśli dla mego ojca winnych niema względów,
Kłamie, śmieje się skrycie, a korzysta z błędów,
O, wtedyby mnie żadna nie wstrzymała siła,
Ilem dziś obojętną, tylebym gardziła.

Zdzisław popędliwie.

Tak jest, Zofijo, Astolf...

wstrzymując się

wcale mnie nie zwodzi.

Radost wchodząc.

Zosiu, Julijsa sama na ogród wychodzi.

Zofija wychodzi.

S C E N A X.

Radost, Zdzisław.

Radost

biorąc go na stronę, i obziérajac się.

Powiedźno mi w sekrecie *mon cher*, co to znaczy,
Że się Astolf o Włoszech tak trudno tłumaczy?

Zdzisław.

Alboż ja wiem.

Radost.

Hm, nie wiesz, ale twoje zdanie?

Zdzisław.

Zdanie? Ja niéмам zdania.

Radost.

O, figlarz! Mospanie.

Masz ty tęgi rozumek! biorąc go na stronę.

Gdyś spytał nawiasem,

Jak się zaciął na Rzymie!

Zdzisław wyrывая się.

Bo się jaka czasem.

Radost.

Ależ o! cóż bo pleciesz; jak po mydle prawi

I rzadko komu miejsce na słówko zostawi.

Zdzisław.

Może więc nie chciał wówić.

Radost.

Tak sobie uroił?

Tak, kaprys, widzi mi się... Przecież zaspokoił

Bóg zapłać, bojaźń moję; zbłądziłem jak widzę,

Bąłem się czy nie kłamię, a ja się tćm brzydzę.

Więc bćdzie zięciem...

Zdzisław.

Czym?

Radost.

Moim.

Zdzisław.

Co? Wać Pana?

I Zofija chce...

Radost.

Wprawdzie obietnica dana

Pod warunkiem, pewien punkt jeżeli wyjaśnię...

Zdzisław.

A Zofija? . . .

Radost.

Lecz ten punkt, wyjaśniłeś właśnie.

Zdzisław.

Ja, jam wyjaśnił? brawo! cieszę się tём szczerze;
Lecz Zofija, Zofija?

Radost.

Spytana w tej mierze.

Już przed czterema dniami . . .

Zdzisław.

Przed czterema dniami?

na stronie.

Fałszywa! . . .

Radost.

Zezwoliła.

Zdzisław do siebie.

Czy mnie sen nie mami?

Więc do tryumfu tylko potrzeba mnie było!

Radost.

Kontent jestem, że wszystko tak się ukończyło.

Zosim szczęścia w tём pragnął, Zosia temu rada.

Zdzisław.

Jakto, i mnie jej ojciec, jak nic to powiada?

Mnie, który ją tak kocham i to od tak dawna?

Radost.

Kochasz ją? jakto, zawsze? a to rzecz zabawna!
Myślałem żeś zapomniał.

Zdzisław.

Zarty zbyt bolesne.

Radost.

A ty porzuć, wierzaj mi, miłości niewczesne.
Zosia nie jest dla ciebie, to młode i płochę,
A ty już na sensata zakrawasz mi trochę.
Dla twego i jej dobra sprzecznym ci w tej mierze;
Ale wierz mi Zdzisławie, ja cię kocham szczerze:
Przykro, przykro mi będzie, jak mnie już porzucisz,
Zawsze się sprzeczał ze mną, lecz teraz zasmucisz.

Zdzisław.

Próżne słowa.

Radost.

Nie prózne; jak syna cię lubię,
I wiesz co, jak już Zosia odjedzie po ślubie,
Ot, zostań się tu ze mną, będziemy wraz mieszkali.

Zdzisław na stronie.

Zofija mnie zdradziła! odchodzi nagle.

SCENA XI.

Radost po długim milczeniu.

Kacize to znali!

chodzi poprawiając perukę

Ale cóż, Zosia tak chce . . . tak żałośnie wzdycha! . . .

Pocziwy, biedny Zdzisław! siada.

Charmant! fe, do licha!

po krótkim myśleniu, hawiąc się tabakierką.

Hm, hm, hm, *charmant, charmant*, burza po pogodzie!

Jakubie!

S C E N A XII.

Radost, Jakub.

Radost zamyślony.

Gdzie Pan Astolf?

Jakub.

Z Paniami w ogrodzie.

Radost.

Słuchaj!

Jakub.

Słucham.

Radost.

Astolf gdzie?

Jakub.

W ogrodzie z Paniami.

Po krótkim milczeniu zbliża się do ucha Radosta.

On mi się nie podoba, mówiac między nami.

Radost.

Komu?

Jakub.

Mnie.

Radost.

Charmant, charmant.

Jakub.

On mody wprowadza.

Radost.

Hm, hm.

Jakub.

On Paniczowi wszystko złe doradza.

Radost.

Stary Jakub *radoteur*.

Jakub.

Za nieboszczki Pani

Pytano się: a Jakub, chwali to czy gani?

Jam Panicza piastował, czasami i skropił . . .

Radost.

Pamiętasz jakem w studni czapkę ci utopił?

Jakub.

Albożto jedne figle! . . .

Radost.

Łebski chłopak byłem.

Jakub.

Ho, ho!

Radost.

Albo do stołu, jak cię raz przyszyłem?

Jejmość woła Jakuba, a Jakub ze stołem . . .

Śmieją się obadwa.

Jakub.

A wróbel?

Radost.

O, za wróbla cztery plagi wziąłem.

Jakub.

Hej, hej! nie te to czasy! Jakub nic nie umie,
Starzy słudzy po kątach, nowa czeladź szumi:
W stajni Czech, Francuz w kuchni wszystko ścięra,
tłoczy,

Bigosu nikt nie liźnie, barszczu ani zoczy;

Każdy: „Monsie“ i „Monsie,“ wszystko „à la mode“

A wszyscy diabła warci, wszędzie widać szkodę;

Architekt co zbuduje, to jakby na lato,

A Panicz płaci, płaci, tego płaci za to.

I ten Anglik talarki zabiera daremno;

Coto za rządzca! Boże, zmiłuj się nademną!

Ja nie jestem gospodarz, lecz przecież nie ślepy,

Że na miejscu pszenicy, tysiąc korcy rzepy.

Radost.

Radoteur stary Jakub.

Jakub.

Oni jedzą może:

Lecz nam rzepę jeść! naco? kiedy mamy zboże.

Radost.

Charmant.

Jakub.

A co najbardziej serce mi przemika,

Że i z Panicza robią powoli... śireyka.

Radost.

Jakubie, jesteś głupi.

Jakub odchodzi z spuszczoną głową. Radost obziiera się za nim i z dobrocią.

O!... stary!... Jakubie!...

Wróć się...

wstaje i głaszcząc go pod brodę.

No, no, już zgoda... ty wiesz że nie lubię
Kiedy mnie kto poprawia... no, no, zgoda z nami.
podnosząc głowę Jakubowi.

Śmieję się... pamiętasz wiśnie?

śmieje się.

Jakub

w miarę przypomnienia rozwesela twarz.

Te, te, pod siatkami?

Radost śmieje się głośno; Jakub zaczyna się śmiać. Oba naprzeciw siebie stojąc, coraz bardziej się śmieją. Zasłona spada.



A K T III.

S C E N A II.

Radost bez fraka, floret w ręku, maska drócia na twarzy. Plastron, rękawica, drugi floret na ziemi.

Radost

woła ku drzwiom obrócony i podnosi maskę na czoło.

Astolfie! *goddam!* czekaj! . . . nie tęgi w tej walce . . .

Aha! mozem niechcący okrzesał mu palce;

Nie umiem pchać i zbijać kiedy mnie naciska,

I zawsze na krzyż macham, aż mi floret pryska.

Ale nie, nie, do Zosi zapewnie pośpieszył.

Kochany! z mego słowa jak dziecko się cieszył;

To mąż, to, dla Zosiuni, z tym użyje świata,

Z tym zwiędzie cudze kraje . . . lecz Zdzisław u kata

Na sercu cięży . . . milczy, nikogo nie wini,

Wzdycha . . . Ha! Zosia tak chce, *c'est charmant!*

c'est fini!

siada i obciera czoło.

Uf! niezdolne łaskotki, bronić się nie mogę,

A i nacięrać trudno, bo cierpię na nogę.

Jednak broń cudna! . . . Rycérz! kto się dobrze bije.

O, jak lubię:

fechtuje siedząc.

Un, deux, trois, hi, he, ha! nie żyje!

fechtując posuwa się trochę z krzesłem, tak, że ku drzwiom obrócony, mówiąc „ha!“ ostatnie dał pchnięcie. Jakub z kilku służącemi w zimowych strojach; lecz wszyscy prócz Jakuba w trzewikach. Radost zmieszany nagle wejściem, mówiąc pierwszy wiérsz, rzuca po za siebie maskę, plastron, itd.

SCENA II.

Radost, Jakub, Kilku Służących.

Radost.

Cóżto jest? czego? poco? wchodzić niespodzianie — Co? he? jak? — Ale wiem wiem — lecz próżne gadanie — Krzywdy nie macie — płatnia dobra, a strój *charmant* — Zatem służyć będziecie — *fer-vell* — *Allez vous en!*

Pierwszy Służący.

Będziem służyć do śmierci, będziem służyć szczerze.

Wszyscy kłaniając się.

Ale niech nas Jegomość inaczej ubierze.

Radost.

Nie, nie, tak po francuzku.

Drugi Służący.

Żeby choć trzewików...

Radost.

Chaussé, chaussé, tak ładnie. Precz! dosyć tych krzyków.

Pierwszy Służący.

Już po Świętym Marcinie...

Drugi Służący.

Wiatr mroźny podcina.

Radost.

A we Francyi niema Świętego Marcina?

Chaussé, chaussé, tak pięknie.

Pierwszy Służący.

Nikt z nas nie wytrzyma.

Jakub.

Tam może śniegu niema.

Radost.

Co? tam śniegu niema?

otwierając drzwi do Astolfa.

Astolfie! . . . albo i ty . . . chodźno tu Mospanie.

S C E N A III.

Ciż sami, Etienne.

Radost.

Najlepiej was objaśnić ten człowiek jest w stanie;

Człowiek wcale nie głupi.

Etienne

wprzód się kłania; potem prostując się.

Honoru za wiele.

Radost.

Człowiek robił wojaże.

Etienne podobnież.

Pod stopy mnie ściele.

Radost po krótkiem myśleniu.

W Francyi, bywa śnieg?

Etienne.

Śnieg? Tak czasem zawieje,
Że ją trudno i znaleźć!

Radost do siebie.

No, tak się nie dzieje.

Z przyciskiem po krótkim myśleniu.

Francuzi, znają bóty?

Etienne.

Znają, lecz nie noszą.

I w najmocniejsze mrozy o trzewiki proszą.

Radost.

Słyszycie! proszą. Niema co i gadać, niema.

Etienne

poprawiwszy chustkę na szyi.

Hm! jakem był w Paryżu, taka była zima,
Że jak największe jodły, drzewa cytrynowe...

Radost

nie dowierzając, lecz nieśmiało.

Cytrynowe w Paryżu? cóż za cuda nowe.

Etienne.

Chciałem rzec migdałowe.

Radost.

A, co tak, to ale.

Na stronie.

Aha! zarazem postrzegł, że bryknął w zapale.

Etienne.

Com ja już widział w świecie, com ja krajów zmierzył,
Żebym tu zaczął gadać, niktby nie uwierzył.

Jakub.

Ja pierwszy.

Etienne.

Ale ja wiem, wiem, o co tu chodzi:

Tym spleśniałym hajdukom to obuwie szkodzi.

To są tylko wymysły, niech ich Pan nie słucha;

Jeśli któremu zimno, niechaj w łapę chucha;

Francuz na takie mrozy, że się w mózgu świeci,

W koszulce i sabotach, jak na sankach leci.

Radost.

Saboty! bravo! *charmant!* saboty, trzewiki,

Trzewiki z drewna *charmant!* ustaną te krzyki.

Zaraz każdemu parę wydłubać rozkażę;

Słyszycie! mieć będziecie sabotów po parzę.

Wytrąca ich powoli.

No, precz, precz, precz. *A charmant! des sabots,* saboty

odchodząc do swoich drzwi.

Jakubie, niech się bednarz weźmie do roboty.

SCENA IV.

Jakub, Etienne długie milczenie.

Jakub kłaniając się.

Pana Referendarza . . . Pana wojażera.

Etienne z udaną pokorą.

Wolne żarty Waszmości . . .

Jakub kłania się.

I kamerdynera . . .

Etienne.

Mości Panie Jakubie, nie drwij sobie proszę:

z westchnieniem.

Dosyć ja już i wstydu i strapienia znoszę.

Jakub.

A na cóż było jakieś wspominać soboty.

Etienne.

Bo przykrzejsze nam własne, niż cudze kłopoty.

Jakub.

Czasem.

Etienne.

Jak mi Pan zagra, tak ja skakać muszę.

Albożto także mało dręczy moje duszę,

Gdy widzę, jakie dziwy i zbytki w tej chwili!

Jakub.

Żeby bednarze z drewna trzewiki robili!

Serce boli człowieka.

Etienne

naśladując potroszę sposób mówienia Jakuba.

Każdy panicz młody

Wszystko zaraz po ojcu zmienia podług mody.

Jakub.

Zaraz dom stary burzy.

Etienne.

A wystawia nowy.

Jakub.

Bramę z wieżyczką zrzuca.

Etienne.

Zasypuje rowy,
Tnie strzyżone szpalery.

Jakub.

Nawet i altany.

Etienne.

Teraz trawnik za grządki.

Jakub.

Kwiaty za parkany.

Etienne.

Słowem wszystko nic po tém, lepiej dawniej było!

Jakub

częstując go tabaczką.

No, kiedy tak rozmawiasz, to cię słuchać miło.

Etienne.

„Jak bywało, niech będzie,“ dopóki mawiano,
Dobre, wesołe myśli i tymfiki miano.

Jakub.

Teraz szum, blask, trzask wszędzie, a pieniędzy mało.

Etienne.

Albo ot, jak w ten moment, kiedyżto się działo?

Młody śmieje się w duszy, drwinki sobie stroi,

naśladować kiwanie głowy i udając głos Jakuba.

A stary kiwa głową i jak duda stoi.

Ucieka. Jakub puszcza się za nim w złości, i bardzo powoli dobiegłszy do drzwi, wraca zadyszany.

Jakub.

Żebym go był uchwycił! byłby miał za swoje!

Poczekaj! ja ci drwinki nie takie wystroje.

Proszę, jak się ułożyć umieją hultaje.

Postrzega Zofija.

A! Panna Zosia! smutna, i płakać się zdaje.

S C E N A V.

Zofija, Jakub na stronie.

Zofija z spuszczoną głową, przychodzi aż naprzód sceny. Jakub pokazuje na migi, że się Zofija kocha; potem śmieje się.

Zofija.

Czegóż chcę? . . . kogóż szukam i spotkać się boję?

siada.

Ach biedna głowa moja! . . . biedne serce moje! . . .

Więc Astolfa, Astolfa, mam już zostać żoną.

Któregom nie kochała i nie Kocham pono!

A Zdzisław . . . Boże! Boże! wszakżem sama chciała.

Ale tak nagle . . . jego żale . . . miłość stała . . .

I moje serce . . .

wstaje.

Nie, nie, ulegnę potrzebie:

Mój ojciec już dał słowo za mnie i za siebie.

Ależ dopiero jutro miałam odpowiedzieć . . .

Lecz gdy słowo odzyskam, będę znowu wiedzieć,

Komu . . . Astolfowi? . . . nie. Zdzisław . . . Boże, Boże!

Nie wiem co czynić! wstrzymać; a! mój ojciec może . . .

Lecz dał słowo, nie złamie. Ach, ja nieszczęśliwa!

Gdziepójść? co czynić? . . . Zdzisław może się spodziewa,

Czeka; lecz gdzież jest? . . . gdybym . . .

Jakub krzaka, Zofija przestrasza się.

Ach, to ty Jakubie.

Czy na dół nie schodziłeś?

Jakub śmieje się skrycie.

Ja chodzić nie lubię.

Zofija.

Może widziałeś?

Jakub.

Kogo?

Zofija.

Tak, kogo.

Jakub.

Nikogo.

Zofija po krótkim milczeniu.

Czy kto jedzie?

Jakub.

Jedzie.

Zofija.

Kto?

Jakub.

I nie jeden drogą.

Zofija.

Lecz z tąd nikt nie wyjeżdża?

Jakub.

Z tąd?

Zofija.

Z tąd.

Jakub śmiejąc się skrycie.

Pan? służący?

Zofija z niecierpliwością.

Pan.

Jakub.

Pan? który?

Zofija z niecierpliwością.

Pan Zdzisław.

Jakub na stronie.

No wyszło niechący.

Kiwając głową.

Pan Zdzisław miałby jechać?

Zofija.

Właśnie pytam o to.

Jakub.

Nie prędko on pojedzie i nigdy z ochotą.

Zofija.

Gdzież?... cóż robi? widziałeś?

Jakub na stronie.

Muszę trochę zgrzeszyć,

I skłamię odrobinę, aby ją pocieszyć.

Do Zofiji.

O, widziałem, widziałem, zdrowy i wesoły;

Z Panem Astolfem skaczą przez krzesła, przez stoły,

Taki tam śmiech na dole!... taki hałas, wrzawa!

A nikogo [nie słyszeć jak Pana Zdzisława.

Niech się Panna nie smuci, wkrótce go zobaczy
Zdrowego, wesołego ... ale cóż to znaczy?

Zofija jedną ręką zasłania oczy, drugą daje znak Jakubowi, aby się oddalił, co ten czyni niechętnie.

Zofija sama.

Tak, kiedy on się cieszy, to i ja się cieszę,
Pójdę zaraz do ojca, dzień ślubu przyspieszę.

Ociéra łzy.

Ach ja się bardzo cieszę, kiedy on się cieszy,
Pójdę, pójdę do ojca, niech mój ślub przyspieszy.

SCENA VI.

Zofija, Julija.

Zofija.

Julijo! nie uwierzysz, jak jestem szczęśliwa;
Do prawdziwego szczęścia już mi nic nie zbywa,
Ustały wszystkie troski, bojaźni, nadzieje,
Dziś los mój się ustalił, wszystko mi się śmieje:
Bo wiesz, Astolf otrzymał ojca przyrzeczenie,
A ja kocham Astolfa, kocham go szalenie!
Będziemy zawsze w mieście, zawsze w ciągłej wrzawie
Nie myśleć o czém inném tylko o zabawie;
Będę u siebie sprawiać bale i wieczory,
Coraz nowy mieć zaprząg, najświeższe ubiory;
Będę czytać romanse, trudnić się modami,
I na wieś tu do ojca przyjadę czasami.

Wszystko cudnie, wybornie, nic, nic mi nie zbywa,
Ach Julijo, Julijo, jak jestem szczęśliwa! śmieje się.

Julija.

Lecz czemuż, do twych życzeń dochodząc szczęśliwie,
Te łzy w oczach?

Zofija ocierając łzy.

Ze śmiechu, ze śmiechu prawdziwie.

Julija.

Zosiu, ty mi coś kryjesz?

Zofija.

Cóżbym ja ci kryła?

Wprawdzie trochę płakała i stroskaną była,
Myśląc, że moje szczęście zasmuci Zdzisława,
Który choć do przyjaźni nie był stracił prawa;
Jego przyszłość zatruta, żal i miłość stała
Ciężyły na mém sercu, jakby ziemia cała.

Julija.

A teraz?

Zofija.

Teraz ze mną inaczej się dzieje.

Zdzisław kontent, z Astolfem jak dziecko szaleje,
I z kim jeszcze? z Astolfem! nad miarę wesoły;
W największych krzykach skacze przez krzesła przez
stoły,

I kiedy ja szalona kryję się i szlocham,
On się cieszy niewdzięczny, że go już nie kocham.

Julija.

Potrzebneż ci do szczęścia są Zdzisława żale?
Czyż blasku, jego rozpacz, przyda twojej chwale?
Igrałaś z jego szczęściem aż prawie do znoju,
I jeszcze mu zazdrościsz ostatki pokoju.
Ach, wierzaj mi Zofijo, mnie mówić się godzi,
Więcej niż miłość własną to czucie dowodzi.

Zofija

rzucając się w objęcie Juliji.

Ach Julijo, Julijo! kocham go nad życie!

Julija.

Zatém téj tajemnicy będę mieć odkrycie.

Zofija.

Nie znałam mego serca i żyłam w tym błędzie,
Że zawsze woła ojca moją wolą będzie;
Tak, niemylna różnica, co między Zdzisławem
I Astolfem położył, zdała mi się prawem:
„Zdzisław“ mawiał mi często „nie jest mąż dla ciebie;
Człowiek prawy, rozumny, gorliwy w potrzebie,
Lecz z nimbyś, choć kochana, młodości nie znała,
Osadziłby cię na wsi, i już przyszłość cała.“
Przyznam ci się, te słowa nie spełzły daremnie,
Myśl, że wiek młody stracę, jak utkwiała we mnie.
Z drugiej zaś strony, Astolf przyszłość mi zakreślał,
O jakiej, któż w swém życiu choć raz nie pomyślał?
Przyjemny memu ojcu, nawet i mnie miły,
Byłyby się me czucia ku niemu zwróciły,

Gdyby zbyt przesada i zajęcie sobą
Nie były jego skazą, mając być ozdobą.
Dziś dopiero, gdy ojciec dał już nasze słowo,
Zacząłam wszystko dawne przebiegać na nowo,
I tracąc już Zdzisława, dopierom poznała,
Żem jego tylko, jego jednego kochała!
A wieść, że swój los przyjął bez serca boleści,
W mojem, teraz wzgardzonem, rozpacz tylko mieści.

Julija.

I cóż więc myślisz robić?

Zofija.

Pójdę do klasztoru.

Julija.

A, pozwól mi się rozśmiać z twojego wyboru.

Klasztor? ... a bale, mody, ów świat ulubiony?

Zofija.

Ach Julijo! bez niego nie chcę i korony.

Julija.

A z Zdzisławem i chatka...

Zofija.

Mścij się, mścij, masz prawo.

Julija.

Któż ci mówił, że wesół, że skacze tak żwawo?

Zofija szlochając.

Jakub.

Julija.

To skłamał. Zdzisław ledwie do poznania,

Właśnie niosę ci jego smutne pożegnania;
Odjeżdża, i z wszystkiego to mu najboleśniej,
Żeś mu czekać kazała, gdy już inny wcześniej...

Zofija.

Julijo, idź, śpiesz, biegaj, niech nie jedzie w błędzie,
Idź, powiedz mu, że jestem niewinną w tym względzie.

Julija.

Jakto?

Zofija.

Przed kilką dniami, w zwyczajnej rozmowie,
Gdym wcale nie myślała o ostatniem słowie,
Odpowiedziałam ojcu na zwykłe pytanie,
Że zawsze jego rozkaz mą wolą się stanie;
I to było powodem, że milcząc przedemną,
Astolfa obietnicą zapewnił tajemną.
Zdzisław więc o nieszczeróść możeż mnie obwinić?

Julija.

Kochasz go więc?

Zofija.

Nad życie.

Julija.

I cóż będziesz czynić?

Zofija.

Mówiłam, do klasztoru...

Julija.

Nie rób się dziecięciem;
Trzeba nam się ratować inném przedsięwzięciem.

Zofija.

Nie, nie, ojca uporu nic w świecie nie nagnie;
Dał słowo, więc nie cofnie, i Astolfa pragnie.

Julija.

Prośba, łązy wiele mogą.

Zofija.

I mówić się boję,
Zwłaszcza, że niby zrobił na żądanie moje.

Julija.

Otóż i on; odważnie.

Zofija.

Ach, cała truchleję!

Julija.

Tylko zwolna.

Zofija.

Ratuj mnie.

Julija.

Płacz i miej nadzieję.

SCENA VII.

Radost, Zofija, Julija.

Radost

mając papiéry w ręku.

Fe fe, źle źle, szkaradnie! od kołka do kołka
Wszystkich, wszystkich wypędzę, a przyjmę pachółka;
Ten lepiej rządzić będzie: same tylko szkody,
A na miejscu intraty, expensy dowody.

Julija.

Cóż się stało?

Radost.

Wszystko źle; fe! tego nie lubię,
Gdy mnie kto jak indyka i parzy i skubie;
Chciałem cudzoziemczyzny, prawda, ależ sędzę,
Że się jej nie sprzeciwią, mieć polskie pieniądze.
A ci obcy służalcy lubią cudze tracić,
Myślą, że na to wioski, aby ich opłacić.
Francuzy, Włochy i te przemądre wyspiarze,
Wszystko jutro precz pójdzie, wszystkich wyгнаć każe.

Julija.

Ale cóż?...

Radost pokazując papiéry.

Proszę, pisze i pisze bez miary.

Obracając się ku drzwiom, w największej złości.

A ja Monsie Fiurliurluk, ja chcę mieć talary!

Ochłonawszy.

Ulice powysadzał i w gwiazdy i w koła,
A gromada przed drzwiami o swe grunta woła.
W miejscu dawnych narzędzi przemądre maszyny,
Które dwa dni naprawiaj, pójdą pół godziny.
A gdy wszystko parowe, gdzie się okiem rzuci,
Młyn stoi, browar zgorzał, młóćarnia nie młóci.
Stodoły jak pałace a próżne sąsiedki,
I tysiące głupstw jeszcze, z tej głupiej opieki.
Lecz co z tego najprzykrzej, najbardziej niemiło,
Co mi w tej całej sprawie oczy otworzyło:

Że mnie trzeba pieniędzy, tu ani tymfika!
A, Mościa Dobrodziejko, to duszę przenika!

Do Zofji.

Czegóż ty znowu płaczesz?

Julija.

Ach, wielkie zmartwienie.

Radost z wielkim przyciskiem.

Twój Astolfek nie zginął, kocha cię szalenie!

I to panicz, co powie, to zawsze przesadzi,

pokazuje na czoło,

I jeszcze mu tu świta, lub fałszywie radzi.

No proszę Pani, kiedy teraz mnie namawiał,

Żebym nad rzeką, w górze, na skale, młyn stawiał

A wodę tam na koła będą nieść sikawki.

Wodą...pstrykać...na koła! chyba dla zabawki.

I ganiąc polskie młyny ten pod niebo wznosi,

Bo mówi, że to szwedzki...Ale cóżto Zosi?

Julija.

Nie śmie mówić.

Radost.

Hm, hm, hm, czémże tak strwożona!

Julija.

Chce wstąpić do klasztoru.

Radost.

Do klasztoru? ona?

śmieje się.

No, do tego klasztoru, wiem ja dobrze drogę.

Zofja całuje rękę ojca.

Ach ojczy, ja Astolfa żoną być nie mogę.

Radost.

Żarty?

Zofija.

Nie, dobry ojciec.

Julija.

A wiedząc dokładnie,
Że zawsze ojca wyrok, kiedy raz zapadnie,
Nic go zmienić nie zdoła, święte jego słowo...
Nie chce się już naprzykrzać, obrażać namową,
z westchnieniem,

I klasztor jęj młodości schronieniem się stanie;
Bo słowo tu jest drugim, pierwszym powołaniem.

Radost.

Ale... cóż bo Wać Pani!... chybabym oszalał,
Żebym słowo odbierał, na ten krok zezwalał.

Julija.

Jednak Panie Radoście, cóż wypadnie z tego.
Że kochając jednego, pójdzie za drugiego?

Radost.

Co co, jak jak, kochając... kochając...

Julija.

Zdzisława.

Radost.

Zdzisława? Otóż macie!... chodź, po krótkim myśleniu,

A, to dziwna sprawa.

A, Zdzisława, Zdzisława... późne obudzenie!

Po krótkim myśleniu.

Nie, nie, co raz przyrzekłem nigdy nie odmienię...

Do Zofiji.

Wszakżem bo cię się pytał. Ale te dziewczęta,
To zawsze oczka na dół i buzia ściśnięta;
Czy która chce, czy nie chce, to się zawsze wzbrania,
Zawsze siak tak, a potem płacze, jęki, łkania!...
A kaciż zgadnąć mogą co się z niemi dzieje!

Julija.

No no, Panie Radoście, więc mamy nadzieję...

Radost.

Nie, Mościa Dobrodziejko, najmniejszej w tym względzie:
Dałem słowo, i słowo dotrzymanem będzie.

SCENA VIII.

Oiż Sami, Astolf.

Astolf.

Permettez Monsieur Radost, niech z ust pięknych słyszę
Pewność słodkiej nadziei, którą się kołyszę.

Radost

bierze za rękę Astolfa, i przed Zofiją mówi.

Zofijo, twój mąż przyszedł.

Chodzi w głębi sceny zamyślony.

Astolf.

Powtarzać nie trzeba,
Ze szczęście, którem dzisiaj obdarzają nieba,
Wdzięcznością mnie Zofijo, przejmuje ku tobie;
Wdzięcznością, której doznasz w każdej życia dobie.

Tak potem twoim mężem, jak teraz czcicielem,
Szczęście twoje mieć będę, moich życzeń celem;
I tego tylko jeszcze jedynie się boję,
Żebym był zawsze w stanie zgadnąć myśli twoje...
Ale jednakże, przytęm, pozwól niech się dziwię...
To milczenie i te łzy... cóż myśleć prawdziwie?
Permettez Monsieur Radost! jakieś duchy wieszczę...

Radost podając mu rękę.

Zosia twoją, masz rękę, czyż ci nie dość jeszcze?

Astolf.

J'en suis charmé; lecz ten żal, który oko czyta...

Julija.

Kiedy ojciec przyrzeka, któż się córki pyta?

Astolf.

Merci...rozumiem trochę. Lecz łaskawy Panie,
Mówiłeś, że przystała na moje żądanie.

I już miałem upraszać, by ślubu nie zwlekać,
Chcąc jak najprędzej z lubej ojczyzny uciekać,
Chcąc przenieść się, jak lotem, w ubóstwione kraje,
Gdzie przyjemniejsze nieba, ludzie i zwyczaje;
Gdy na miejscu radości żal tu w twarzach czytam,
I nikt nie odpowiada, choć się trzykroć pytam.

Radost.

Słowa nie łamię.

Astolf.

Prawda; ale cóż to znaczy,
Niechże kto, z łaski swojej, przecie wytłumaczy.

Julija.

Kiedy panna chce wstąpić płacząc do klasztoru,
Łatwo zgadnąć, czy z ojca kontenta wyboru.

Astolf

odmienny przybiera sposób mowy.

I zupełnie zgaduję. Lecz że nie jest rada,
Czyż koniecznie w klasztorze zamknąć się wypada?

Julija.

Jak inaczej uniknąć a nie złamać słowa?

Astolf.

Więc ze strachu przedemną to zrobić gotowa?
O, nigdy nie miał myśli, takiej broni użyć.
Wracam słowo, gdym nie mógł miłości zasłużyć.

Julija wybiega.

SCENA IX.

Radost, Zofija, Astolf.

Radost.

Hm, hm, hm.

Zofija.

Czy to pewnie?

Astolf.

Pod jednym warunkiem.

Zofija.

A ten!

Astolf.

Byś nie gardziła Astolfa szacunkiem.

Zofija.

Nigdy, nigdy.

Radost.

Hm, hm, hm.

Astolf.

Jeszcze prośba mała:

Czyś podobną odpowiedź Zdzisławowi dała?

po krótkim myśleniu.

Zdzisław został szczęśliwszym.

Zofija z spuszczoną głową, cicho.

Ja się z tém nie kryję.

Astolf.

Dla spełnienia twych życzeń, wszystkiego użyję.

Do Radosta.

Zdzisław kocha Zofiją, kochany wzajemnie;

Miał rywala, ma teraz przyjaciela we mnie.

Wraz ze mną na ich szczęście Pan Radost zezwoli,

Gdy mu będzie wiadoma zmiana naszej roli:

Zdzisław został Astolfem, Astolf zaś Zdzisławem,

To jest: nie zmianą nazwisk, lecz własności prawem.

Ten, co zwiędził Europę, w wielkim świecie żyje,

Jest Zdzisław. Ten, co w blasku skromną duszę kryje,

Co na wsi wychowany, w niej uciechę widzi,

Jest Astolf i swęj zdrady przed wami się wstydzi.

Radost zamyślony.

I ma się czego wstydzić.

Astolf.

Lecz choćem was zwodził,

Przyznajcie, więcym pomógł, niżeli zaszkodził.

A gdy każdy z nas pilnie w tej sprawie poszuka,
Dla każdego się znajdzie niemała nauka.

Radost.

No, no, no, prawdać i to, niema co powiedzieć.

Zofija

zachodzi z przeciwnej strony Astolfa, i całując rękę Radosta.

I jakże?

Radost.

Co?

Zofija wskazując głową.

Z tamtém.

Radost.

Z czém?

do Astolfa. Ale chciałbym wiedzieć.

Czemu się Zdzisław tai?

Astolf.

O tém sam wam powie.

Radost.

Hm, hm, hm, coto proszę u tych młodych w głowie!

SCENA X.

Radost wychodzi.

Zofija, Astolf.

Astolf.

Tracąc cię już Zofijo, lepiej cię poznaję;

Ceniłem twoję duszę zbyt mało, przyznaję.

Biorąc rolę, prawdziwie godną pośmiewiska,

Mógłżem myśleć, że śmieszność twoje serce zyska.

Lecz przebacz, twój wiek młody, ojca twego zdanie
Wproważył mnie niestety, w to mylne mniemanie.

Zofija.

Szukajmy zapomnienia przeszłego stosunku
W dziele stałej przyjaźni i zmianie szacunku.

SCENA XI.

Zofija, Astolf, Julija, Zdzisław.

Zdzisław.

Ach Zofijo! Astolfie! gdzież wyrazów zbierę . . .
By tobie wyznać miłość, tobie dzięki szczerę.

Zofija.

Prędko chciałeś odjechać.

Zdzisław.

Mógłemże inaczej?

Zofija.

Tak łatwoś mnie porzucił.

Zdzisław.

Łatwo? Powiedz raczej

Tyś chętnie oddalała.

Zofija.

Ja chętnie, o Boże!

Lecz mógłś się spodziewać . . .

Zdzisław.

Ale któż się może . . .

Julija.

Właśnie czas zacząć kłótnią i skargi rozgłaszać,
A to wszystko dla tego, żeby się przeproszać.

Zofja.

Julijo!

Julija.

Ale scenę w ten moment odmienię,
Gdy spytam, czy Radosta macie zezwolenie?

długie milczenie.

Astolf.

Zdaje się...

Zofja.

Spodzielam się...

Zdzisław.

Mam nadzieję przecie...

Julija.

Idźcieże więc do niego, czego stać będziecie.
A że ci zakochani dziecinnieją prawie!
No, idźcie śmiało, Zosiu, dalejże Zdzisławie!

SCENA XII.

Ciż Sami, i Radost.

Radost po polsku ubrany, bez peruki, czapka na bakier, karabela
przy hoku, wchodzi poprawiając suknię.

Radost.

Tak lepiej... i że lepiej mogę się poszczycić,
Jest przecie co poprawić, chwyta się za czapkę
jest i za co chwycić.

Za kord.

A! Zdzisław!

grożąc. Potem Waszmość z wszystkiego się sprawi,

A teraz . . . Niech was dzieci, Pan Bóg błogosławi!
 Będziem w domu siedzieli razem wszystko troje.
 Co cudze, diabła warte! a najlepsze swoje!

Zdzisław.

Nie, wszyscy za granicę jedźmy na lat parę,
 Zbierajmy to, co dobre, czy nowe czy stare;
 A potem, gdy wrócimy, każdy z was mi przyzna,
 Że miłe cudze kraje, lecz milsza ojczyzna!

A L B O.

MIASTO SCENY X, XI, XII.

S C E N A X.

Radost, Zofija, Astolf, Julija, Zdzisław.

Zdzisław.

Ach Zofijo! Astolfie! gdzież wyrazów zbierę . . .
 Radoście!... ojcze!... przebacz, niech wyznanie szczére...

Radost surowo.

Potem, potem się Waszmość ze wszystkiego sprawi,
 A teraz . . . Niech was dzieci, Pan Bóg błogosławi!
 Będziem w domu siedzieli razem wszystko troje.
 Co cudze, diabła warte! a najlepsze swoje!

Zdzisław.

Nie, wszyscy za granicę jedźmy na lat parę,
 Zbierajmy to, co dobre, czy nowe czy stare;
 A potem, gdy wrócimy, każdy z was mi przyzna,
 Że miłe cudze kraje, lecz milsza ojczyzna!

DAMY I HUZARY.

KOMEDIJA

we trzech Aktach, proza.



Pochłēstwo ma w sobie osobliwy przy-
smak; chociaŹ go kto rzekomo odrzuca,
przecieŹ ono smakuje.

And. Maz. Fredro.

O S O B Y.

MAJOR

ROTMISTRZ

EDMUND, PORUCZNIK

**KAPELAN (wyznania luter-
skiego)**

} półku **HUZARÓW**,
na urlopie.

PANI ORGONOWA

PANI DYNDALSKA

PANNA ANIELA

} siostry **MAJORA**, jedna star-
sza i grubsza od drugiej.

ZOFIJA, córka PANI ORGONOWÉJ.

JUZIA

ZUZIA

FRUZIA

} służące

GRZEGORZ

REMBO

} stare **HUZARY.**

Scena w domu MAJORA, na wsi.



DAMY I HUZARY.

A K T I.

Duży pokój. Czworko drzwi bocznych; dwoje w głębi. Na środku stół z mapami; stolik po prawej stronie, na którym gra szachów, przy nim wgłęb szkrzypki. W głębi broń różna; dzidy, cęł, głowy tureckie do karuzeli słuujące, także w głębi.

S C E N A I.

**Major, Rotmistrz, Kapelan, Porucznik,
Rembo.**

Major na środku, ogląda strzelbę; po lewej Porucznik nabija; po prawej Rotmistrz oparty na strzelbie, patrzy na szachy; przy nim siedzi Kapelan zatrudniony strzelbą; w głębi Rembo. Wszyscy w szpencerach ubrani na polowanie, w wojskowych czapeczkach.

Major.

Czy tylko pewnie? bo to czasem . . .

Rembo.

Nie śmiałbym przecię zwodzić Pana Majora; niech zaraz zginę, jeśli nie widział na własne oczy kozła i dwie sarny. Wszystko troje wyszło razem do bydła, na ciemną dolinę, jak ten kąt, ta struga . . . oto jak ta wielka łoża, gdzie Xiędz Kapelan prześlepił zająca . . . aż tu obces kundys jeden i drugi: huf, huf! . . . Ech Panie! jak nie pójda sarny moje! strach! aż się

ziemia trzęsła! . . . przez Garb, Wielką Banią, po nad Bartkowy potok . . .

Major.

Ho, ho, ho! . . . sarny dotychczas na drugim końcu świata.

Rembo.

Zlekły bo się fur idących gościńcem, i hajże łakami nazad w jasieninę.

Major.

Nam więc drogą od kopców zastąpić wypada.

Rembo.

Ja z dębniaków cicho psy podpuszczę, a każda na strzelbę, jak na rożen wpadnie.

Major.

Dalój Panowie! I na urlopie nie dam wam próżnować.

Kapelan.

Zaraz, zaraz.

Porucznik.

Ja dogonię.

Major.

Biorąc lulkę ze środkowego stoła i kiwając głową, do Remba.
Zawołaj Grzesia. Rembo odchodzi.

Rotmistrz

do Kapelana, patrząc na szachy.

Wygram, jeśli wieżę cofnę.

Kapelan.

Wątpię.

Rotmistrz.

Załóż się.

Kapelan.

Dobrze.

Rotmistrz.

Nikt tu nam nie ruszy, za powrotem przekonam, i talarka schowam.

SCENA II.

Ciż Sami, Grzegorz;

stary Huzar z ogromnemi wasami.

Major.

Tylem razy mój Grzesiu, już cię o to prosił, abyś kładł wszystko na swojem miejscu. Poco tu na mapach lulkę zostawiasz? tam w szafce ma swój numer; nie nawidzę nieporządku.

Oddaje lulkę i zdmuchuje mapy.

Otóż, otóż, nie mówiłem? plama ... i ta baszta ... *à propos*, a klucznica?

Grzegorz.

Kłusem wywieziona. Odchodzi.

Kapelan.

Bogu dzięki.

Rotmistrz.

Ostatnia więc białogłowa usunięta z naszego domu; będzie raz przecie cicho i spokojnie.

Major.

Okropnie gadała.

Porucznik.

Bo stara, bo stara.

Major.

O ho, ho, Panie Poruczniku, wiem na co Pan zakrawa, ale nic z tego. Wolę huk mozdziérzy, niż kobiéce świérgotanie. Nic z tego, i pokażę że i żołnierz potrafi domem rządzić bez kobiety.

Porucznik.

Piękny rząd!

Kapelan.

Dobry, dobry.

Rotmistrz.

Wyśmienity.

Major.

Wyśmienity.

Porucznik.

Czy zawszeście go Panowie wyśmienitym znajdowali? Czy zawsze przykrém było kobiéce świérgotanie? długie milczenie.

Major.

Chodźmy na polowanie.

Rembo wbiegając.

Goście jadą!

Major.

Któryś z kolegów.

Rembo.

Gdzie tam! kilka pojazdów! największa parada.

Odchodzi. Oficerowie jeden po drugim, zbliżają się powoli do okna.

Major.

Dla Boga! landara.

Porucznik.

I kocz.

Rotmistrz.

I bryka.

Porucznik z ukontentowaniem.

Ach! damy!

Major, Rotmistrz

odskakując na środek pokoju.

Damy!

Porucznik rachując.

Jedna, dwie, trzy...

Major, Rotmistrz

z załością spoglądają na siebie.

Trzy!

Porucznik.

Cztery, pięć...

Major jak wprzód.

Pięć!

Rotmistrz podobnie.

Pięć!

Porucznik.

Jeszcze jedna...

Major, Rotmistrz razem.

Sześć!

Porucznik.

Jeszcze jedna.

Major, Rotmistrz razem.

Siedm! siedm!

Kapelan wstając.

Siedm!

Zatykając uszy znowu siada i tak oparty o stół, do końca sceny zostaje.

Porucznik.

Co widzę! wybiega.

Rotmistrz

zblizając się nieśmiało do okna.

Cóżto za baby! Co za gmachy! Co za graty!

Major

zblizając się do okna.

Ach, to siostry moje.

Rotmistrz.

Przepraszam cię...

Major.

Niemasz za co, znam ja je dobrze.

Chodzi po pokoju coraz prędzěj.

Siostry, siostry, damy, przyjąc je wypada ... Grzesiu mundur!... mój mundur Grzesiu!... czy diabli nadali... Grzesiu mundur!

Grzegorz z mundurem chodzi za nim.

Rad im być muszę ... mój mundur Grzesiu! ... mój mundur!... cieszyć się trzeba, czy diabli nadali!

Grzegorz.

Niech Pan mundur włoży.

Po lewój stronie sceny Major wdziewa mundur, przez zapomnienie na swój ubior. Postrzegłszy się, chce zdjąć, i ściąga razem rękaw szpencera; nie może ręki wyrwać, gdy wchodzi Pani Dyndalska z dwoma pieskami na rękę, za nią Juzia, kosz w rękę ze szczeniętami i kilka pudełek. Przy Majorze dalej wgląbsz stoi Rotmistrz, za nim Kapelan;

Grzegorz z mundurem wychodzi.

SCENA III.

Major, Rotmistrz, Kapelan;

następnie

Pani Dyndalska, Juzia. Panna Aniela, Zuzia.

Pani Orgonowa, Zofija, Fruzia. Porucznik,

Rembo.

Dyndalska.

Jak się masz Panie bracie?

Do Juzi.

Ostrożnie gawronie! nie upuść szczeniąt.

Major pomieszany.

Witam, witam.

Dyndalska do Juzi.

Czegóż trzymasz? połóż!

Do Majora.

Jakże się miéwasz?

Do Juzi.

Czemuż nie na stole? jakieżto głupie dziewczę!

Juzia kładzie wszystko na szachach i wychodzi. Dyndalska siada. Aniela wchodzi, za nią Zuzia z dwoma klatkami, w jednej sroka, w drugiej wiewiórka, i z różnemi gratami.

Aniela.

Wieki już braciszku, jakieśmy się widzieli.

do Zuzi.

Postawże klatki, czego będziesz stała?

Major.

Witam, witam.

Aniela do Zuzi.

Gdzie, gdzie, gdzie! ślepa! cóżto stołu nie masz?

Zuzia stawia klatki na mapach i odchodzi. Poruszenie Majora. Rotmistrz go za suknię wstrzymuje.

Major cicho do Rotmistrza.

Mapy.

Rotmistrz do Majora.

Pst!

Major stara się pokryć nieukontentowanie i spogląda czasem na mapy.
Słychać hałas i krzyk kobiet za scena.

Rembo za sceną.

Nie rusz; a harap! a fe! a zasię!

Orgonowa

tyłem wchodząc i trzepiąc rękoma.

Zasię! zasię, bo zemdleję.

Rembo za nią wchodzi trzymając kota nad głową, którego we drzwiach
Orgonowa odbiera.

Biédny Filunio! moja duszka droga! jak się trzęsie!
Biédny Filunio!... Jak też możesz Panie bracie trzymać
takie obrzydłe psiska? Jakiemiś kajdankami podcięły
mi nogi i tylko co nie rozdarły lubego Filunia.

Rembo.

To na sforze Zagraj z Pisklą jak kota zwietrzyły,
hajże po kocie! obces na Jejmość! a Grzmocisz i
Popraw... wychodzi na znak Majora.

Orgonowa.

Fi, co za nazwiska! przebrzydłe kundysy... le-
dwie dyszę... całam w pocie.

Siada przy Dyndalskiej i Anieli. Za Orgonową weszła Zofija z Porucznikiem niosącym klatkę z kanarkiem, którą zawieszają w głębi rozmawiając po cichu. W ciągu téj sceny, dziewczęta powynosiły kota i pieski.

S C E N A IV.

Orgonowa, Dyndalska, Aniela,

siedzą w rzędzie po prawej. Po lewej stronie na przeciwko, stoją;

Major, Rotmistrz, Kapelan;

w głębi;

Zofija, Porucznik. *)

Major.

Witam, witam Panie siostry w moim domu, i bardzo
przepraszam kota, za niegościnność Piskli i niecnoty
Zagraja.

Orgonowa.

Patrz Panie bracie, moja córka.

*) Piérwsze drzwi po prawej stronie, do pokoju *Orgonowej*; piérwsze po lewej, do *Dyndalskiej*. Drugie po prawej, do *Majora*; drugie po lewej; do *Rotmistrza i Kapelana*. W głębi jedne do pokoju *Anieli*; drugiemu wchodzą.

Zofija się zbliża i kłania.

Owa Zosiunia mała ... Anibys ją poznał pewnie... wyrosła, wyładniała, nieprawdaż? Za jej wychowanie nie powstydzę się także. W pierwszej stolicy świata, mogłaby bezpiecznie rozmawiać, i to niejednym językiem. Miała i guwernantkę, Madam znakomitą, i na wyższych naukach w mieście, pół roku strawiła.

Aniela.

Talenta gdy rozwinie...

Dyndalska.

Ach, Anielko luba, co też nie wygadujesz! Już je rozwinęła: czyliż nie śpiewa całego Rossyniego, tak, że każdy słuchać musi? Czyż nie tańczy, tak, że nigdy taktu nie chybi? Czyż nie maluje, tak, że jej kwiatek wszystkich zwodził, i że Pan Sędzia chcąc powąchać, nosem go zmazał?

Aniela.

To Pan Referendarz.

Dyndalska.

Ależ Pan Sędzia, mój aniołku!

Orgonowa.

Cicho, cicho Dyndalsiu; nie trzeba ją w oczy chwalić, ona sama pokaże co umie.

Aniela do Majora.

Jakże ci się podoba?...

Dyndalska

szturkając ją łokciem.

Cóżto za pytanie!

Aniela.

Nie dasz mi gadać, kochana siostruniu.

Dyndalska.

Bo głupstwa gadasz, moja duszko.

Orgonowa.

Cicho, cicho siostruniu. Do Majora.

Któż są ci Panowie?

Major.

Rotmistrz Sławomir. W szkołach jeszcze przyjaźń nas złączyła; razem wdzieliśmy mundur, razem go nosili i razem może w jednej złożym go mogile. — Nasz poczciwy Kapelan, także dawny towarzysz, prawdziwy przyjaciel ludzi; wiele robi, mało mówi, naśladować go należy. — To, mój Edmund, już wam po części znany z mojego listu. W jednej nieszczęsnej utarczce, kiedy każdy o sobie tylko myślał a ja raniony pod ubitym leżałem koniem, on mnie szukał, postrzegł, zebrał kilku walecznych, natarł na nieprzyjaciół i osłonił własnymi piersiami; cofał się, nacięrał, znowu się cofał i znowu nacięrał, aż póki naszych wzrastająca liczba zwycięstwo nam nie wróciła. Tamto mnie, mnie broniąc, odebrał tę kryzę przez skronie, która więcej warta, niż dziesięć wieńców!

ściska go z rozczuleniem.

Zofija mimowolnie.

Ach to pięknie być odważnym!

spuszcza oczy na bystre spojrzenie matki i ciotek.

Orgonowa.

Dobrze, dość tego, teraz do interesu. Chcę pomówić z tobą Panie bracie, zatém pozwolą Panowie...

Oficerowie odchodzą, i Zofija do swego pokoju na znak Orgonowej.

S C E N A V.

Orgonowa, Dyndalska, Aniela, Major.

Orgonowa.

W jedném zwięzłym słowie wszystko ci opowiem; nie lubię niepotrzebnej przemowy, bo kto ma rozum łatwo pojmie i zrozumie, gdy mu jasno rzecz przełożę. Zatém bez przemowy; lepiej w krótkości powiedzieć o co chodzi, a potém dać przyczyny i dowody. Nareszcie, takem mocno czytana, tylem żyła w wielkim świecie, tyle mam roztropności i przenikliwości, że się w zdaniu nigdy nie mylę i chyba szalona głowa sprzeciwić mi się może. Przystępując więc do rzeczy, powiem, że powziąwszy wiadomość, żeś na urlopie i żeś do wsi swojej przyjechał, zaraz zgadłam, że wojskową służbą znudzony, chcesz ją porzucić i na wsi osiąść. Myśl chwalebna, ale do tego potrzeba...

Dyndalska prędko.

Pozwól kochana siostruniu, niech ci przerwę: gdy się kogo chce przekonać, nie zawsze najkrótsza mo-

wa, najlepszą mową bywa. Trzeba naprzód dać przyczyny, co do czego nas nakłania, potem rzecz wyłuszczyć, a na końcu dać dowody na poparcie swego zdania. Lecz nim do zamiaru przystąpię, wypada uczynić rzut oka na poprzednicze zdarzenia i obecne położenie. A że to rzecz wielkiej wagi, na rozdziały ją podzielę, w których Panu bratu dowiodę:

licząc na palcach.

Że dotychczas źle miał w głowie, że ponosi wielkie straty, że wojskowość nic niewarta, że na wsi osiąść rzecz najlepsza, że rozumnie radzę . . .

Aniela.

Lepiej, duszko moja, napisz dzieło o tem, a teraz pozwól, niech najprościejszą drogą zbliżę się do celu . . .

Orgonowa.

Gadajcie, o gadajcie, gdy tak bardzo gadać lubicie; gadajcie, bardzo proszę. Ja nic nie powiem. Ja nic nie wiem. Ja nic nie umiem. Gadajcie, łaskę mi zrobicie.

Dyndalska.

O, i owszem, ja będę milczała; niech kochana siostra rozprawia, gdy jej tak przykrą chwila milczenia. Albo ją może wyręczy, wymowna Anielka.

Aniela.

Ach, gdzieżbym ja się śmiała porównać w wymowie z kochanemi siostrzyczkami, słuchać będę rozdziałów, lub drugiej przemowy bez przemowy.

Orgonowa.

Proszę mówić, bardzo proszę.

Dyndalska.

Bez ceremonii, bardzo proszę.

Aniela.

Mówcie, mówcie, bardzo proszę.

Orgonowa, Dyndalska, Aniela.

Bardzo proszę.

Orgonowa idąc ku drzwiom.

Nie przeszkadzam.

Dyndalska podobnież.

Zostawiam.

Aniela podobnież.

Odchodzę.

Orgonowa, Dyndalska, Aniela,

klaniając się po kilka razy ode drzwi.

Mówcie, mówcie, proszę; bardzo proszę.

Wychodzą.

SCENA VI.

Major, Rotmistrz, Kapelan, Porucznik,

następnie wchodzą zamyśleni i stają przy Majorze, który od początku przeszłej sceny nieporuszenie na środku stoi. Rotmistrz, Porucznik w mundurach; Kapelan w surducie.

Rotmistrz

po krótkim milczeniu.

Cóż tam słyhać?

Kapelan.

Zaprzęgać nie każą?

Porucznik.

Jakimże rozkazem zaszczyliły nas damy?

Major.

Ra ra ra ra ra, rozumięcie?

Rotmistrz.

Któż to zrozumieć?

Major.

I ja nie rozumiałem, w uszach mi tylko dzwoni.

Rotmistrz.

Jednak . . .

Major.

Nic nie wiem.

Porucznik.

Przecie . . .

Major.

Nic, nic u kata! Gdy jedna mówi, druga jej za-
zdrości, jedna od drugiej mędrszą się mniema; tak
choć wszystko zawsze w jednem słowie, gadaninie
końca niema, a o co rzecz idzie, mądry kto zgadnie.
Jednak, czy się dowiemy czy nie, wypada przyjąć je
godnie. Połączmy nasze starania. Nieszczęście tylko
że nikogo nie mamy takiego w domu, coby umiał da-
my przyjąć.

Porucznik.

Aha: źle, kobiet niema.

Kapelan.

Niema gdyrać komu.

Rotmistrz.

Szkoda w samej rzeczy, żeśmy się ostatniej pozbyli.

Major.

Hej! Grzesiu! Rembo! Zaraz wszystko będzie.

Rembo i Grzegorz wchodzą.

Do Remba.

Niech Kutasiński na łysego wsiedzie i dalej w pogoń za klucznicą; a jak ją dojdzie, niech baba nie trzepie, nie rozprawia, i czém prędzej na łysego wsiada.

Kapelan.

Nie uchodzi, nie uchodzi.

Porucznik

śmiejąc się, do Remba.

I niech tęgim kłusem wraca.

Kapelan.

Ale nie uchodzi.

Major

Ale czemu? czyż nie kłusują nasze markietanki?

do Remba.

Z resztą jak zechce, niech robi; byle mi

patrzac na zegarek

na jedenastą klucznicę przystawił. Marsz! Jedno już jest. Rembo odchodzi.

Rotmistrz.

Wszystko to jeszcze fraszka, ale obiad, obiad, to sek; bo nie zwodźmy się umiejętnością Kordesza.

Słynie on wprawdzie w obozie, jak najlepszy kucharz; ale cóż umie dobrze zrobić, mówiąc między nami: huzarską pieczeń i pieczeń huzarską.

Kapelan.

Nie uchodzi, nie uchodzi.

Rotmistrz.

Dla dam, innych przysmaczków, innych łakoci potrzeba. Trzeba jakiegś na stół ozdoby, coś pięknego, coś lekkiego.

Major.

Wiém, wiém czego trzeba. Wszystko to Grześ robi. Bywał po różnych miastach, po różnych dworach, widział różne kuchnie; Grześ, Grześ robi ciasta.

Grzegorz.

Ale . . .

Major.

A ty mój Edmundzie, zatrudnisz się z łaski swojej, szykiem potraw; bo to słyszę, teraz rzecz wielkiej wagi, czy ryba po mięsie, czy mięso po rybie. A Grześ, chłopak w ciemie nie bity, robi, choć czego nie umie.

Grzegorz.

Ale . . .

Major.

Ale zrobisz ciasta.

Grzegorz.

Ale ja Panie Majorze, dalibóg nie umiém.

Major.

Zrobisz; ja każę i basta. Jest więc i drugie. Dobrze nam się wiedzie.

Rotmistrz.

Trzebaby jeszcze przy stole jakiej rozrywki damom.

Major.

Muzyczki? Co mówicie?

Rotmistrz.

Zapewne, czegoby trzeba; ale z kąd?

Major.

Z kąd? Grześ i Rembo trąbią doskonale.

Kapelan.

Nie uchodzi, nie uchodzi.

Major.

O, dajno pokój Kapelanie; wszystko nie uchodzi.

Porucznik.

Ale zmiłuj się Majorze, wszystkie do jednej, wystraszysz z własnego domu.

Major.

Czém, czém u diabła? Nie trąbiąże walca doskonale? Niech im tylko czasem Kapelan w takt głową kiwnie, a zobaczycie jak wytrąbią gładko. Ale co za myśl nagle mi przychodzi!... wybornie, przedziwnie!... Ty, ty Rotmistrzu musisz się tém zająć: każ postawić pod okny jadalnego pokoju... postawić... wiesz co? zgadnij!... mozdziérzyk nabity... Jak krzyknę: wiwat damy! rym! z mozdziérza.

Kapelan.

O, na honor nie uchodzi wstaje.

Porucznik wstając.

To żadnym sposobem być nie może. To nie z żołnierzami sprawa.

Major wstając.

Ale już proszę . . .

Porucznik.

Uważ przecię, że to kobiety.

Major.

Jest i kaznodzieja! Brawo, brawo, kobiety . . . nie wiedziałem. Coto u diabła, że ci Panowie młodzi myślą, że starzy nigdy młodem nie byli. Jak wy teraz żyjecie, myśmy żyli dawniej . . . a może i lepiej, i tężej, kiedy o to chodzi. Proszę! hm! Oni tylko wiedzą, jak się z damami obchodzić. I jam całe życie nie rąbał, i jam się bawiał z damami i zawszem dogodził; zatem gadaj nie gadaj, ja z mozdierzka wystrzełę.

Rotmistrz.

Można bezpiecznie; bo choć się trochę popłoszą, to zapewne z przestachu złych skutków nie będzie!

Major.

Tak jest, złych skutków nie będzie.

Rotmistrz.

A zabawić trzeba.

Major.

A zabawić trzeba.

Do Grzegorza.

Mozdziérz pod oknem postawić. Marsz! Ale, ale, proszę cię mój Grzesiu, jak będziesz trąbił, nie dmij też tak mocno, zwłaszcza w drugiej części; na tej odbitej nocie, zawsze tak ci w trąbie wrzaśnie, że aż słuchać niemiło; lekko . . . a patrzeć na Kapelana.

Grzegorz odchodzi. Fruzia wchodzi dygając na obie strony. Tylko

Porucznik jęć się odklonił; Kapelan odwraca się i odchodzi.

SCENA VII.

Major, Rotmistrz, Porucznik, Fruzia.

Fruzia.

Moja Pani się kłania, dygając.

i prosi Pana do siebie.

Major.

Kogo? Porucznika?

Fruzia.

Nie, Pana Majora dygając.

Major.

Czemuż na niego patrzysz, kiedy mówisz do mnie?

po krótkim milczeniu.

Idź, powiedz twojej Pani, że wieczór służyć jej będę mojemi uszami; tylko proszę, abyśmy sam na sam byli; teraz nié mam czasu. Fruzia dyga i odchodzi.

S C E N A VIII.

Major, Rotmistrz, Porucznik.

Rotmistrz.

Na co odwlekać? wcześniej później trochę, zawsze cię to czeka.

Major.

Ach mój kochany, dobrze i dzień cały.

Rotmistrz.

Ale taką rzeczą ich odjazd nie prędko nastąpi.

Major.

Prawda i to. Odbyć potrzeba tę nieszczęsną rozmowę. Ach wy sobie nie wystawiacie, co to za rzecz straszna.

S C E N A IX.

Ciż sami, Fruzia.

Fruzia dygając.

Moja Pani teraz, nie wieczór chce mówić z Panem i zaraz tu przyjdzie.

Major.

Twoja Pani jak widzę, nie lubi powtarzać rozkazów.

Fruzia.

O i bardzo nie lubi!

Rotmistrz do Porucznika.

Dla nas tu widzę dzisiaj miejsca niéma, chodźmy przejść się trochę, albo jedźmy konno . . .

Major.

Nie zostawiajcieze mnie samego! Idźcie do ogrodu, bądźcie w odwodzie.

Odchodzi. Krótka scena niema. Major nie chce uważać Fruzi, która wdzięczy się z trzpiotostwa; odwraca się, pokręca wasy, nōci; jednak mimowolnie jak spojrzy, zaraz się odwraca spotkawszy jej oczy.

Nareszcie Fruzia na znak wchodzącej Orgonowej wychodzi.

S C E N A X.

Major, Orgonowa.

Orgonowa.

Jesteśmy sami.

Major.

Tak, jesteśmy sami.

Orgonowa.

W czterech słowach rzecz skończę.

Major.

Tego mi trzeba.

Orgonowa.

Sama mówić będę.

Major.

Tak, sama jedna.

Orgonowa.

Usiądźmy siadają.

Z początku zaczynając . . .

Major.

A od końca nie możnaby zacząć?

Orgonowa.

Cóżto za myśl dzika.

Major.

Bardzo roztropna, bo pamiętam com się dowiedział z przeszłej rozmowy, i jeśli teraz podobnie . . .

Orgonowa.

Jaką ty się braciszku z wiekiem gadułą zrobiłeś!

Major.

Milczę.

Orgonowa.

Do słowa przyjść nie mogę.

Major.

Słucham.

Orgonowa.

Ponieważ chcesz służbę porzucić . . .

Major.

Ale ja nie chcę służby porzucać.

Orgonowa.

Naco to kryć?

Major.

Szczerze mówię.

Orgonowa.

Na wsi chcesz osiąść . . .

Major.

Ani myślę.

Orgonowa.

Tylko nie sprzeczaj się zemną, bo nigdy nie skończę.

Major.

Słucham więc.

Orgonowa.

Bardzo robisz rozumnie, ale trzeba . . . trzeba, trzeba krótko mówiąc, abys się ożenił.

Major zrywając się.

Czyś Wać Pani szalona?

Orgonowa.

Grzecznie, niema co mówić.

Major siadając.

Chciałem powiedzieć: chyba byłbym szalony!

Orgonowa.

Dla czego?

Major.

Spojrzyj na mnie a masz odpowiedź. Mnie? w tym wieku, brać młodą żonę? Co za myśl, co za myśl! Nigdy małżeństwa nie byłem przyjacielem a tém bardziej teraz. W obozie posiwiały, szabla i koń, to moje były kochanki; a jeślim czasem pokochał, to po huzarsku: póki dobrze, póty miłość. I ja teraz mam się w amory wdawać? Byłbym szalony, a jeszcze szaleńsza ta, coby się za mnie wybrała.

Orgonowa.

Ja więc dziś mówić nie będę.

Major.

Gadaj sobie Wać Pani na wszystkie cztery wiatry, gadaj do sądneho dnia, ale nie o mojem ożenieniu.

Orgonowa.

Chwilę tylko cierpliwości; ożenienie ożenieniu nie równe.

Major na stronie.

Zawsze diabła warte.

Orgonowa.

Nie wiesz kogo ci za żonę przeznaczam.

Major.

Nie ciekawym.

Orgonowa.

Moję Zosię.

Major.

To dziecię?

Orgonowa.

Ma lat ośmnaście.

Major.

A ja piędziesiąt sześć; cztery lata starszy od Wać Pani.

Orgonowa.

Bez rachuby, bardzo proszę.

Major.

Nawet podobno Wać Pani piędziesiąty trzeci.

Orgonowa.

Same widzę obelgi odnoszę za moje dobre chęci.

Major.

Za dobre chęci dziękuję, a układu nie przyjmuję.

Orgonowa.

Zastanów się tylko, uparty Majorze: dziewczyna

na wsi bogobojnie wychowana, cały swój los wdzięczna ci będzie, będzie kochała, szanowała, więcej jak ojca, niż męża; a ty otoczony dziećmi . . .

Major.

Trudno, trudno.

Orgonowa.

Będziesz błogosławił chwilę, w której zostałeś powolnym moim zamiarom. Nie gardź, proszę cię, szczęściem, które ci się zdarza.

Major.

Szczęściem nie gardzę; ale szczęścia nie widzę zatruć czyją młodość dolegliwościami wieku starego i wystawić się na pośmiewisko całego półku Huzarów.

Orgonowa.

Co za troska! Niechno się trafi któremukolwiek z tego całego półku Huzarów, młoda, ładna, dobra dziewczyna; a zobaczysz, że co innego drugiemu radzić a co innego samemu działać. Dla tego proszę Pana brata, zaprzestać wszelkich narad z tym swoim Rotmistrzem, z tym swoim Kapelanem i z tym swoim wysmukłym Porucznikiem. Każdy odradzać ci będzie a sam gdyby mógł, trzy razyby się ożenił. Namysł się więc, ale sam, bardzo proszę.

Odchodzi.

S C E N A XI.

Major.

Krótkie namyslenie, bardzo krótkie. Mam rozum, Bogu dzięki. Woła przez okno.

Chodźcieno koledzy! — Powiem im; czemu niemam powiedzieć? Będą się śmieli wraz ze mną. Mnie się żenić? mnie! Dreszcz mnie przechodzi. Młoda żona! ha, ha, ha, piękną zacząłbym kampaniją.

S C E N A XII.

Major, Rotmistrz, Kapelan, Porucznik.

Major.

Siadajcie siadają w koło stołu.

Dowiedziałem się nareszcie o co chodzi. Fraszka! Co powiecie . . . chcą mnie ożenić.

Wszyscy.

Ożenić?

Major śmiejąc się.

Tylko ożenić.

Porucznik.

Z kim?

Major.

Z Zosią, moją siostrzenicą.

Kapelan.

Nie uchodzi, nie uchodzi.

Porucznik na stronie.

Co słyszę!

Do Majora.

A Major?

Major.

I możesz się pytać.

Rotmistrz.

Nie chce, oczywiście.

Major.

Chybabym oszalał.

Kapelan.

Brawo.

Major.

Ale miarkuję, że moje Panie siostry nie tak łatwo odstąpią zamiaru.

Porucznik.

Przymusić, nie przymuszają.

Major.

Zapewne. Ale chciałbym jak najmniej o tém słyszeć.

Rotmistrz.

Niech gadają, a my nie słuchajmy.

Major.

Nie sposób nie słuchać.

Rotmistrz.

Uprzykrzy im się nareszcie.

Major.

Co, gadanie? żartujesz Panie kolego.

Porucznik.

Trzeba to rozważyć.

Major.

Byłem się nie żenił.

Kapelan.

Nie uchodzi.

Rotmistrz.

I ja tak myślę.

Porucznik.

I ja także. Ale cóż Zosia na to?

Major.

Jeszcze nie wiem.

Rotmistrz.

Moje więc zdanie...

SCENA XIII.

Ciż Sami, Orgonowa, Zofja.

Orgonowa.

Cóżto? rada wojenna. Wszyscy wstają; milczenie.

Major

cicho do Rotmistrza przy nim stojącego.

Rotmistrzu powiedz, proszę, że to być nie może.

Rotmistrz podobnie do Kapelana,

Kapelanie, powiedz jej co myślisz.

Kapelan do Rotmistrza.

Nie uchodzi; niech Major mówi.

Rotmistrz do Majora.

Powiedz, że nie chcesz.

Major.

Uradziliśmy...

Orgonowa.

Pewnie nic dobrego. Milczenie.

Biorąc na stronę Majora.

Zostańmy się sami.

Major.

Dziękuję, tego nie potrzeba.

Orgonowa.

Panowie pozwolą... Kłania się. Oficerowie odchodzą. No Majorze, teraz możesz z Zosią...

Major.

Ależ Pani siostró...

Orgonowa.

Zostawiam was sam na sam.

Major.

Ale...zatrzymaj się...później...

Orgonowa.

Trzeba skończyć. Zosiu słuchaj...

Major idąc ku drzwiom.

Pozwól...zaraz...krew z nosa...

Orgonowa.

Ale wrócisz?

Major.

Wróćę, wróćę. Odchodzi.

S C E N A XIV.

Orgonowa, Zofja.**Orgonowa.**

Proszę sobie z głowy wybrać wszystkie romanse, jakieś tylko kiedykolwiek słyszała, albo może przypadkiem i czytała. Dla losu, nie dla miłości idzie się za mąż. Twój wuj jest człowiek uczciwy, ma dobrą wieś, która pewnie w inne wpadnie ręce, jeśli się z tobą nie ożeni.

Zofja.

Ależ kochana matko, mam nadto dobre o nim mniemanie, abym mogła myśleć, że mnie zechce mimo mojej woli.

Orgonowa.

Jakto mimo woli? czyż masz Wać Panna inną, jak wolą matki?

Zofja.

Wypełnić ją mogę; ale mieć tę samą, trudno sercu rozkazać.

Orgonowa.

Tylko nic o sercu.

Zofja.

Nareszcie, może on nie zechce dla siebie samego.

Orgonowa.

Zechce, jak ty zechcesz. Znam go dobrze, nieraz mi już ustąpił dla tego tylko, aby się nie sprzeczać.

Zofija.

Dla czegoż kachana matko, koniecznie pragniesz tego małżeństwa?

Orgonowa.

Dla twojego szczęścia.

Zofija.

Ale jeśli to będzie mojem nieszczęściem.

Orgonowa.

Nadtoś jeszcze młoda, byś to nadal rozpoznać mogła. Matka za córkę stanowić powinna.

Zofija.

Jestem jednak w stanie poznać, że jego wiek z moim wcale niestósowny.

Orgonowa.

Jak się ząbki przecierają! ktoby się spodziewał... wiek niestósowny.. Młodzik jaki, trzpiot, byłby Wać Pannie dogodniejszym?

Zofija.

Ten, coby mi się podobał, byłby najdogodniejszym.

Orgonowa.

Dość tego...więcej ani słowa... Nie pójdziesz za Majora, to wiesz co cię czeka.

Zofija.

Ach, kochana matko, cóż ja ci przewiniłam.

Placze.

Orgonowa.

Słuchaj Zosiu, ja cię kocham, szczerze twego szczęścia pragnę. Nie bądź więc dzieckiem, nie opuszczaj losu, który ci się zdarza. Mój brat jest charakteru łagodnego, ulégającego, żona z nim zrobi co zechce; tylko nie trzeba tracić odwagi, jeśli z razu znajdują się trudności. Każdy mąż z początku o tém tylko myśli, aby nie dać się zawojować. Sroży, puszy się, rozkazuje, wszystko na swoim postawić musi, Pan, Pan samowładny, pierwszych tygodni. Ale tylko cierpliwości, tylko cierpliwości; zmorduje go, sprzykrzy mu się ciągła walka i ciągła straż siebie samego, a żona rozumna co sobie raz ułoży, nigdy odstąpić nie powinna i jedną zawsze drogą, krok po kroku stawiając, powoli, powoli, ale nieochybnie dojdzie do celu, a tym jest: być Panią w domu, z pokorą, a Pana uznawać. Zostawiam cię; bądź rozsądną, bądź posłuszną matce a dobrze wyjdiesz; Major tu zaraz będzie, staraj mu się podobać,

głaszcząc ją pod brodę,

i pamiętaj, że na tém twojem zamęściu polega szczęście twojej matki. Odchodzi.

SCENA XV.

Zofja później, **Porucznik.**

Zofja po krótkim myśleniu.

Myślę, myślę i pewnie nic dobrego nie wymyślę. Matce oprzeć się trudno; szczęścia wyrzecz się trze-

ba. Ach Edmundzie! Edmundzie! nie nie będzie z naszej miłości.

Porucznik

który się był zatrzymał w głębi.

Z każdej ta smutna wróżba?

Zofija.

Dobrze, żeś nadszedł. Radź czémprędzej... zmiłuj się... radź co robić, bo zginiemy oboje.

Porucznik.

Zginiemy, a to dla czego?

Zofija.

Czyż nie wiesz, że jest wola mojej matki, abym poszła za Majora?

Porucznik.

I cóż z tą!

Zofija.

Edmundzie, cóżto za pytanie? Miałoby twoje oświadczenie przed chwilą nie być szczere? Miałoby mnie zawieść serce moje?

Porucznik.

Ani jedno, ani drugie. Matka chce wydać cię za Majora a ja właśnie z jego oświadczeniem przychodzę, że bardzo cię kocha i właśnie dla tego, że kocha, że nie się z tobą nie myśli i nie chce.

Zofija.

To jeszcze nie koniec.

Porucznik.

Droga Zofijo! miejmy nadzieję; chciejmy ją mieć. Od chwili jak cię tu zoczyłem, jakieś niewymowne przecucie szczęścia, duszę moję napełnia. Ciebie tu spotykam, ciebie, którą od tak dawna na próżno szukałem.

Zofija.

Wszystkie i mego ojca były starania daremne; nie mógł się nawet dowiedzieć, z którego półku żołnierze, na których czele wyrwałś go śmierci, a mnie najokropniejszemu nieszczęściu. W ostatniej życia godzinie wspominał cię z wdzięcznością i mnie ją przekazał w jedynej spuściznie.

Porucznik.

Więcej niż wdzięczność, zyskałem miłość twoję.

Zofija.

Najszczęrszą a i najświętszą, bo uprawnioną ostatnią wolą ojca.

Porucznik.

Innych praw nie roszczę.

Zofija.

A mogeż zapomnieć...

Porucznik.

Kochana Zofijo! wierz mi ... moja czynność wychodzącym z niebezpieczeństwa zdała się dziełem anioła; ale w rzeczy, ledwie warto ją wspomnieć. Żałowałem tylko, że zbliżający się nieprzyjaciel nie dozwolił mi zabezpieczyć dalszej waszej podróży

i że w tém zamieszaniu żadnej a żadnej nawet o waszém nazwisku, nie powziąłem wiadomości.

Zofija.

Mój ojciec w podróży, został przymuszony nagłą słabością zatrzymać się dni kilka w domku jednego leśniczego. W trzy dni po przechodzie naszego wojska, stanęło we wsi kilkaset różnej broni żołnierzy. Rabunek zaczął się wkrótce i do tego stopnia doszedł wściekłości, że podpalano domy bez żadnej przyczyny. Odciągnięta od ojca, widziałam już zajmujący się dach, gdy głos twój słuch mój uderzył. Zdało mi się zaraz w ten czas, że słyszę głos znajomy, i potem, ilem razy cię wspomniała, zawsze jak dawną znajomość: serce moje twojém było, nim się jeszcze zbliżyłeś do niego.

Porucznik.

Jak ja, tak i każdy oficer byłby cię ojcu powrócił i kazał pożar ugasić. Szczęście więc tylko moje, że mnie się to trafiło. Patrz Zofijo, wstążka któraś upuściła; od tego czasu nie zeszła z serca mego: nie-wiedząc gdzie, kto jesteś, jej wierny byłem.

Zofija.

Z osobna widzę, Bóg przyjął przysięgi nasze. Ale Edmundzie, moja matka nic nie wie o tém. Nie-szczęściem rodzice moi nie żyli z sobą od lat dziesięciu i dośoby było powiedzieć, że to było wolą męża, aby ją nieprzeblaganą na zawsze uczynić.

Porucznik.

Nic więc jéj jeszcze o tém nie mówmy.

Zofija.

Zwierz się Majorowi, wezwijmy jego pomocy.

Porucznik.

Mógłbym ufać jego pomocy, gdyby tylko nie w téj mierze. Jest niezwyciężony nieprzyjaciół małżeństwa i choćby mi nie przeszkadzał, straciłbym pewnie jego przyjaźń, może i szacunek.

Zofija.

Nieszczęsne uprzedzenia!

Porucznik.

Z drugiej strony jestem pewny, że moim rywalem nie będzie; raz, że się mniej boi całego szwadronu nieprzyjacielskiego, niż jednej żony; a powtóre, że nadto ślachtetnie myśli, aby chciał być sprawcą czyjegokolwiek nieszczęścia.

Zofija.

Ale wiedz jeszcze o tém, że jeżeli nie pójdę za niego, Smętosz, obrzydły człowiek, głupi, brudny, stary lichwiarz moję rękę ma otrzymać.

Porucznik.

Czy podobna? aby matka...

Zofija.

Podług niéj, majątek szczęściem, a do tego, mówiąc między nami, jest trochę upartą.

Porucznik.

To źle, bardzo źle. Myśli.

Zofija.

Jednak kochających, mówią, Bóg nie opuszcza; może matka zmięczy się prośbami naszemi.

Porucznik po krótkim milczeniu.

Nie, na niepewne losu nie stawmy.

Zofija.

Cóż robić?

Porucznik po krótkim milczeniu.

Przykra rzecz udawać, zwłaszcza z przyjaciółmi; ale ich uprzedzenia często nierozsądne, uprawniają poniekąd niewinne oszukaństwo. Trzeba więc, abyś oświadczyła Majorowi, że chcesz pójść za niego.

Zofija.

Dla Boga! to pójdę.

Porucznik.

Tego się nie lękaj, ja ręczę. Twoja matka widząc cię przychylną zamiarowi swojemu, nie straci nadziei przywieść go do skutku i odpowie Smętoszowi, a Major coraz bardziej przynaglony, przyjmie łatwo ostrożnie podsuniętą myśl, mną wyręczyć siebie.

Zofija.

Ach toby dobrze było.

Porucznik.

Staraj mu się jednak podobać; bo zakochać się nie zakocha, a dobrze będzie jak pojmie, dla czego ja kocham.

Zofija.

Mam więc...

Porucznik.

Być matce powolną i Majorowi przyjazną.

Zofija.

Jesteś jednak pewny, że nie zechce...

Porucznik.

Ach tak pewny jestem, jak ty mojej, ja twojej miłości.

Zofija.

Jakikolwiek skutek otrzymamy, Edmundzie, serce Zofiji twojem do śmierci.

Porucznik całując ją w rękę.

Już samo to zapewnienie jest mojem szczęściem. Ale idź, uwiadom matkę o odpowiedzi Majora i postępuj sobie stósownie do naszego układu; miłość i nadzieja niech naszym hasłem będzie.

Zofija.

Do zgonu.



A K T II.

Ten sam pokój. Zamiast broni pootwierane pudełka ze stroikami; zamiast szachów zwierciadło. Na tureckiej głowie czypeczek, na celu suknia. Mapy, klatki sprzątnięte. Słychać za sceną trąbienie, a potem mocny wystrzał.

S C E N A I.

Fruzia, potem **Juzia**, **Zuzia**.

Fruzia wybiegając.

Juziu, **Juziu**! **Zuziu**! **Juziu**, **Zuziu**!

Juzia wbiegając.

Czego?

Zuzia wbiegając.

Cóż tam?

Fruzia biegnąc po pokoju.

Panie się zlekły, Panie chcą zemdleć.

Zuzia ku drzwiom biegnąc.

Dla Boga!

Juzia ku drzwiom.

Może zemdlały?

Fruzia wybiegając.

Niema gdzie! niema gdzie!

S C E N A II.

Major prowadzi Panią Orgonową całkiem na nim wspartą, powoli do jej pokoju; przy niej Zosia, za nią Fruzia. Poczekawszy, Rotmistrz prowadzi podobnie Panią Dyndalską z Juzią; przechodzą do swojego pokoju. Poczekawszy, Porucznik podobnie Pannę Anielę, (Grzegorz z drugiej strony, trąba w rękę) i przy drzwiach zostaje. Kapelan na końcu wchodzi z zawiązaną serwetą, staje w środku na przodzie sceny i tak nieporuszenie stoi do końca sceny.

Słuchać w pokojach.

Wody! wody! wody;

Grzegorz wybiega i wkrótce wraca w jednej ręce trąba, w drugiej konewka ogrodowa.

Fruzia we drzwiach.

Wody! Grzegorz ku niej biegnie.

Juzia we drzwiach.

Wody! Grzegorz ku niej biegnie.

Zuzia we drzwiach.

Wody! prędkiej! Grzegorz wybiega za nią.

Dziewczęta i Porucznik przebiegają scenę w różnym kierunku z flaszeczkami, szklankami itd. itd.

S C E N A III.

Major, Rotmistrz, Kapelan, Grzegorz.

Kapelan zawsze w swoim miejscu z założonymi rękoma; Grzegorz zadyszany, w głębi.

Major obcierając czoło.

Ktoby się spodziewał!

Rotmistrz podobnie.

Któż to mógł przewidzieć!

Major.

Nie trzeba było stawiać pod samém oknem.

Rotmistrz.

Wystrzał był za mocny.

Major.

W samęj rzeczy, że mocny; któż nabijał?

Rotmistrz.

Grześ.

Major.

Pewnie dałeś więcej prochu?

Grzegorz.

Troszeczkę, troszeczkę tylko, Panie Majorze.

Major chodząc.

Troszeczkę! U niego to nic nie znaczy! troszeczkę!
Otóż masz, co to troszeczkę narobiło.

Rotmistrz chodząc.

Nie byłyby się tak polękły.

Major chodząc.

Tak, nareszcie może byłaby jedna zemdląła.

Rotmistrz chodząc.

Tak, jedna, a niech i dwie.

Major chodząc.

Tak, niech i dwie, ale trzy!

Rotmistrz.

Trzy od razu!

Major.

'Trzy, trzy od razu!

Kapelan.

Posłać po doktora . . . krew im puścić.

Rotmistrz.

Nim przyjedzie . . .

Major.

Lepiej niech im Grześ krew puści.

Kapelan.

Nie uchodzi, nie uchodzi.

Grzegorz

stając prosto przed Majorem.

Panie Majorze, podejmuję się.

Kapelan.

Nie można.

Major.

Ale kiedy umie . . . sam widziałem . . . puszczał raz
mojemu trębaczowi, jak go koń uderzył . . . prawda że
nie do razu, ale jednak . . .

SCENA IV.

Ciż sami i Porucznik.

Porucznik.

Przecię nasze damy przyszły do siebie. Pani Or-
gonowa ma jeszcze tylko spazmatyczne ziewanie . . .

Pani Dyndalska lekką kolkę . . . a Panna Aniela co-
kolwiek dreści.

Grzegorz.

Pan Major nie każe?

Major.

Już nie potrzeba. Grzegorz odchodzi.

Porucznik.

Wszystko ustanie po chwili spoczynku.

Major.

Bogu dzięki.

Rotmistrz.

Chodźmy do obiadu.

Fruzia

wchodzi i dygając przed Majorem.

Moja Pani prosi Pana, abyś Pan kazał, aby konie
w stajni nie hałasowały. Bardzo tupają i kichają a to
szkodzi nerwom mojej Pani. Odchodzi.

Oficerowie spoglądają na siebie w milczeniu.

Rotmistrz.

Nerwom szkodzi.

Major.

Koniom kazać, aby nie hałasowały. Grzesiu!

Grzegorz wchodzi. Rotmistrz i Major chodzą.

Konie ze stajni wyprowadzić.

Grzegorz.

Dokąd?

Major.

Dokąd chcesz . . . niech koczują.

Grzegorz odchodzi. Juzia wchodzi.

Juzia dygając przed Majorem.

Moja Pani prosi, abyś Pan kazał powynosić z domu wszystkie armaty, fuzyje i pałasze, bo się lęka nowego przypadku i spać nie może.

Juzia odchodzi.

Chwila milczenia.

Rotmistrz.

Armaty powynosić.

Major.

I pałasze. Grzesiu! Grzegorz wchodzi.

Broń zebrać i na strych wynieść.

Grzegorz odchodzi. Zuzia wchodzi.

Zuzia

dygając przed Majorem.

Moja Pani prosi, abyś Pan kazał zakadzić pod oknami, bo proch bardzo śmierdzi, z czego dreszcz się powiększa. Odchodzi.

Chwila milczenia.

Major.

Grzesiu!

Rotmistrz.

Czegóż chcesz? Grzegorz wchodzi.

Major.

Kazać zakadzić.

Rotmistrz.

Na dworze?

Kapelan.

Bądźcie zdrowi.

Major.

Dokąd?

Kapelan.

Jadę.

Rotmistrz.

Odstępujesz nas?

Kapelan.

Nie wytrzymam.

Rotmistrz.

A to i ja pojedę.

Major.

A to weźcież i mnie ze sobą.

Porucznik.

Ale moi Panowie, jakże chcecie same damy zostawić.

Major.

One sobie tu poradzą.

Porucznik.

Ale one was nie puszczą.

Major.

Cicho! ciszéj.

Trzeba w sekrecie odjechać.

Rotmistrz cicho.

Trzeba ucieć w sekrecie.

Kapelan.

Uciekajmy.

Major do Grzegorza cicho.

Kulbaczcie konie.

Porucznik.

Majorze, Rotmistrzu! . . .

Major.

Pst . . . zbierzmy się . . .

Rotmistrz.

I w nogi.

Odchodzą na palcach do swoich pokojów.

Porucznik sam.

A to pięknie! Jechać nie mogę . . . sam nie zostanę . . .
co tu robić? . . . trzeba przeszkodzić tej ucieczce. Gdy-
bym mógł . . .

idzie ku drzwiom Zofiji, powoli otwiera; na jego znak Zofija wychodzi

SCENA V.

Porucznik, Zofija.

Porucznik.

Zofijo, źle się dzieje.

Zofija.

Cóż takiego?

Porucznik.

Major, Rotmistrz i Kapelan przestraszeni tem, co
się stało a bojąc się jeszcze bardziej, co ich nadal cze-
ka, ułożyli ucieczkę.

Zofija.

Jakto? chcą odjechać?

Porucznik.

Tak jest, tajemnie. Idź, powiedz to matce; tylko

nie mów, że wiész odemnie. Ja także z nimi muszę się wybiierać.

Zofja.

Cóż pomoże moja matka?

Porucznik.

Już ona sobie poradzi, tylko idź i powiedz.

Odchodzą w przeciwnne strony.

Major, Rotmistrz, Kapelan wychodzą bardzo ostrożnie i na palcach powoli postępują; mantelzaczki pod pachą, przy pałaszach. Dają sobie znak, aby być cicho, a zszedłszy się na środku, wychodzą oglądając się i powoli.

Fruzia, a potem Juzia i Zuzia przebiegają ze drzwi do drzwi jak w scenie drugiej.

SCENA VI.

**Orgonowa, Dyndalska, Aniela. Fruzia,
Juzia, Zuzia.**

Wybiegają ze swoich pokojów; za każdą służąca kończąca ubierać. Stają bez tchu na przodzie sceny w koło tuż koło siebie; żadna przemówić nie może.

Chwila milczenia.

Dyndalska odetchnąwszy.

Chcą uciekać!

Aniela.

Uciekać!

Orgonowa

... ciekać!

Dyndalska.

Nie puszczać!

Orgonowa.

Biegaj Dyndalsiu!

Dyndalska.

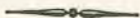
Skocz Anielko!

Aniela do dziewcząt.

Biegajcie!

Orgonowa.

Czekajcie!... proście... Major niech tu przyjdzie... Nie odstępujcie go i kroku... biegajcie!



SCENA VII.

Orgonowa, Dyndalska, Aniela,

siadają.

Orgonowa.

Rzecz niesłychana!

Aniela.

Nie do uwierzenia.

Dyndalska.

Sprawka Panów doradców.

Orgonowa.

Nie inaczej, samby nie śmiał.

Dyndalska.

Panu Rotmistrzowi wszystko nie na rękę.

Orgonowa.

I Kapelanowi.

Aniela.

Albo i Porucznikowi.

Orgonowa.

Ten nic nie znaczy.

Aniela.

Nie wierz temu siostruniu.

Orgonowa.

Już ja ci ręczę. On ani pomoże, ani zaszkodzi. Jest, czy go niema, wszystko jedno. Ale ci starzy, ci starzy, jak zaczną ruszać wąsiskami, toby w ogień wlażł jeden za drugim.

Dyndalska.

Póki będą z sobą, póty próżne nasze starania. My gadamy, gadamy, a Pan kolega kiwnie głową, i jużci po wszystkimu.

Orgonowa.

Rotmistrz najstraszniejszy.

Aniela.

Kiedy tak . . . poświęcę się waszemu dobru: pójdę za niego.

Dyndalska.

Ależ on ma rozum, kochany aniołku.

Aniela.

A dowcip Wać Pani.

Orgonowa.

Niech się stara mu podobać . . . albo go podbije, albo go wystraszy; zatem zawsze dobrze.

Aniela.

Chcę wam służyć mimo waszych urągania i zobaczycie, że swego dokażę.

Orgonowa.

Majora rozczulać.

Dyndalska.

Nie dać mu odetchnąć.

Orgonowa.

Ani momentu; jak go zmęczymy, to na wszystko przystanie. Ja go znam dobrze.

Dyndalska.

Kapelana z obudwoma poróżnić.

Orgonowa.

Ile możliwości mu dokuczać.

Dyndalska.

Zręcznie słówko wsunięte najlepszych często poróżni przyjaciół.

Orgonowa.

Już ja to biorę na siebie; na waszém świadectwie polégam.

Aniela.

Otóż i Major.



S C E N A VIII.

**Orgonowa, Dyndalska, Aniela, Major
i dziewczęta.**

Fruzia wchodzi poważnie, za nią Major, za nim Juzia i Zuzia; zostają przy drzwiach chichotając się między sobą. Chwila milczenia.

Na znak Orgonowej dziewczęta odchodzą.

Orgonowa.

Witamy z podróży. Major się kłania.

Dyndalska po krótkim milczeniu.

Gdzież się Pan brat wybierał?

Major.

Chciałem konia przejechać.

Orgonowa.

Konia przejechać?

Major.

Konia przejechać.

Orgonowa.

Tak, mały spacer zrobić?

Major.

Mały spacer zrobić.

Orgonowa.

I wrócić?

Major z westchnieniem.

I wrócić.

Orgonowa.

Prędko?

Major.

Tak . . . to jest . . . nie wiem . . . bo to . . .

Orgonowa.

Nacoto udawać? lepiej prawdę powiedzieć.

Major.

Dobrze Wać Pani mówisz, nie umiem i nie chcę udawać. Wstają.

Orgonowa.

Chciałeś nas więc odjechać?

Major.

Chciałem.

Orgonowa.

Same zostawić?

Major.

Same zostawić.

Orgonowa.

Tajemnie?

Major.

Bez pożegnania.

Orgonowa.

Do tego stopnia posunąłeś niegrzeczność.

Major.

Mylisz się Wać Pani; to nie była niegrzeczność.

Orgonowa.

Tylko uprzejmość.

Major.

Nie inaczej.

Orgonowa.

W nowym wcale sposobie; gości w domu odjeżdżać.

Major.

Myślałem, że im bezemnie lepiej będzie. Nie umiem, przyznam się, dam przyjmować, i przy najlepszej chęci mógłbym nabroić z niewiadomości wiele złego. Już raz z mojej winy dostałyście mdłości; któż ręczy, że nie pomrzecie jak was jeszcze lepiej uczcić zechcę? Mógłbym zgadnąć, że konie powiększają spazmy, proch dreszcz a pałasze kolki? I mogęż wiedzieć, czego wam trzeba a czego nie trzeba?

Orgonowa.

Wszystkobyś wiedział, gdybyś był kontent z naszego przybycia. Ale niestety! siostry kochające cię... siostry dawno cię nie widzące...

Dyndalska.

Uteśknione brata uściskać...

Orgonowa.

Mimo wszelkich trudności, wybierają się do ciebie...

Dyndalska.

W najniegodziwszą drogę...

Aniela.

Ugrzęzłyśmy dwa razy.

Major

z westchnieniem, na stronie.

Ach, któż was wyciągnął na moję biędę?

Orgonowa.

Przyjeżdżają zająć się twojem szczęściem..!

Dyndalska.

Troskliwe o twoje dobro...

Orgonowa.

I tak je przyjmujesz?

Aniela.

Chcesz porzucać.

Orgonowa.

Uciekasz od nich.

Dyndalska.

Bez względu na ich słabe zdrowie...

Orgonowa.

Nerwy nadwerężone.

Dyndalska.

Takaż to miłość braterska!

Orgonowa.

Taka wdzięczność! ach to boli! zaczyna płakać.

Major.

Ale moja Pani siostró...

Dyndalska.

Niewdzięczność, i od brata! zaczyna płakać.

Major do Dyndalskiej.

Ale Pani siostró...

Aniela.

Odpycha serca nasze! zaczyna płakać.

Major.

Ale moja Panno siostró...

Orgonowa.

Bądźże tu uczynną; ach! ach!

Dyndalska.

Ach! ach!

Aniela.

Ach! ach!

Dyndalska rzucając się na krzesło.

Kolki!

Aniela podobniez.

Słabo mi.

Orgonowa podobniez.

Spazmy!

Major.

Tylko nie mdlejcie dla Boga! Milczenie. Mdleją; co tu robić? Hej! jest tam kto?... wody! wódki! octu!... czy pogłuchli... Grzesiu! Grzesiu!

Wracając się ku nim.

Mdleją! co robić?... Grzesiu, wystrzel z mozdziérza!

Zrywają się wszystkie.

Orgonowa.

Nie wystrzel, nie wystrzel!

Dyndalska.

Dla Boga! nie wystrzel.

Aniela.

Już mi trochę lepiej.

Major.

Moje Panie siostry, gadajcie, róbcie co chcecie, tylko nie mdlejcie; bo do wszystkich diabłów...

Aniela.

Ach fi! co za brzydkie słowo!

Major.

Widzisz Wać Panna, że ani dam przyjmować, ani z niemi umiem rozmawiać. Jednak co każecie wypełnię, prócz jednego ożenienia; tém służyć nie mogę. Dyndalska i Aniela, którym Orgonowa szepnęła, wychodzą do jój pokoju

SCENA IX.

Orgonowa, Major.

Orgonowa.

Któż Wać Pana do ożenienia zmusić może? Kto Wać Pana ciągnie do ołtarza? Wszak wszystko od twojój woli zależy i tylko uprzejmości trochę od ciebie żądamy. Bądź z nami dni kilka, wierz że ci szczerze radzimy, nie słuchaj kolegów i staraj się poznać Zosię.

Major.

Na co to się wszystko przyda?

Orgonowa.

Przynajmniej jedno słowo przemów do nięj. Dla czegoż tak niemiłosiernie gardzisz tém biedném dziećciem! Płaczu biedaczka utulić nie może.

Major.

Znowu płacz; a to wszyscy...

Orgonowa.

Otóż i ona... Zofija przychodzi. Zostawiam was sam na sam; spodziewam się, że się sobie podobacie. Do Majora na stronie. Miej wzgląd na jej młodość. Do Zofji na stronie. Bądź rozsądna, o twój los idzie.

S C E N A X.

Major, Zofija.

Chwila milczenia.

Major.

Mościa Panno...

Zofija.

Kochany wuju.

Major łagodniej.

Moja Panienko.

Zofija.

Co każesz?

Major łagodniej.

Moja Zosiu.

Zofija.

Słucham.

Major na stronie.

Diabli nadali taką sprawę!

Do Zofji.

Zapewne... bez wątpienia... oczywiście... wiesz to... ten... to jest, zamiar twojej matki względem... względem...

Zofja.

Wiem.

Major.

Cóż ty na to?

Zofja.

Ja, nic.

Major.

Mów szczerze.

Zofja.

Szczerze mówię.

Na stronie.

Pierwsze kłamstwo.

Major.

Więc nic?

Zofja.

Nic.

Major na stronie.

Rzecz dziwna!

Do Zofji.

Jednak cię to trochę martwi?

Zofja.

Bynajmniej.

Major.

Widzę z oczów.

Zofija.

Mylisz się Wać Pan Dobrodziej.

Major.

Mylę się?

Na stronie.

Rzecz dziwna! Jakto tej biedaczce powiedzieć: ja ciebie nie chcę? czy diabli nadali!

Do Zofiji, po krótkim myśleniu.

Moja Panienko, chciałbym, abyśmy się mogli zrozumieć.

Zofija.

I ja tego jedynie pragnę.

Major.

Dla dobra nas obojgu.

Zofija na stronie.

Ach Edmundzie, Edmundzie, jakże trudną mi dałeś rolę!

Major.

Twój los szczerze mnie zajmuje.

Zofija na stronie.

I ja go muszę zwodzić!

Major.

Powiedz mi więc: chcesz iść za mąż?

Zofija.

Tak jest.

Major.

Za mnie?

Zofja

po krótkim wahaniu się, cicho.

Tak jest.

Major.

To nie dobrze.

Zofja.

Dla czego?

Major.

Dla czego?

Zofja.

Tak jest, dla czego nie dobrze?

Major.

Zdaje mi się, że Wać Panna możesz to łatwo zmiarkować.

Zofja.

Wcale nie.

Major.

Przynajmniej, dobrego nic nie widzisz?

Zofja.

I owszem.

Major.

I owszem?

Na stronie.

Rzecz dziwna!

Do Zofji.

Mnie się zdaje, że nie byłabyś szczęśliwą.

Zofja.

Od niego to zależyć będzie.

Major.

Ach, nie tylko od mojej woli zależyć będzie, ale i od wielu, wielu okoliczności.

Zofija.

Tych trudno przewidzieć.

Major.

Po części, moja Panienko, po części. Nigdy nie zgłębiałem, co stanowi istotne szczęście w małżeństwie; mniemam jednak, że dwie osoby dobiierać się powinny, jak para koni: równy chód, równy zwrot, równy ogień, wtedy dobrze się jedzie a mniej się morduje. Ale kiedy jeden bystry a drugi leniwy, ten miękki, tamten twardo - usty, ten ciągnie, tamten skacze; to diabła warto! prawda Panienko! Powiedzże mi teraz Wać Panna, jakbyśmy się pobrali; do której pary koni będziemy podobni? do pierwszej, czy do drugiej? — Podobnoś do drugiej: Wać Pannabyś biegła, ja się już potykam; Wać Pannabyś skakała, ja już pokaszluję. Śmieć się, śmieć; lepiej śmiać się, niż głupstwo zrobić.

Zofija.

Nie myśl, ale porównanie rozśmieszyło mnie trochę.

Major.

Więc bez porównania. Wać Panna młoda, lubisz bawić się, i dobrze że lubisz, boto na to pora. Potrzebujesz zatem męża, coby się także lubił bawić; coby cię woził po spacerach, ucztach, balach, tea-

trach, coby po nocy na piszczałce przygrywał gdzieś tam nad strumykiem, gdzieś tam przy xiężycu, jakto tam w waszych romansach opisują. A ja moja Panienko, nie do tego: w dzień służbą zajęty, wieczór fajkę palę a w nocy chrapię, aż się okna trzęsą.

Zofija.

Czyliż tylko uciech i rozrywek w małżeństwie upatrywać trzeba? Jestże młodość wieczną, abyśmy zapominali o późniejszym wieku? Za nicże liczyć uczciwość, łagodność, stałość charakteru tego, z którym mamy przebyć jak wiosnę tak i zimę życia naszego? Mężkami tylko cnotami mężczyźni zyskać mogą nasze serca. Dobra sława męża jest także sławą żony, a jednostajna spokojność jest podług mnie istotnym szczęściem.

Major.

Bardzo rozsądnie, bardzo, bardzo rozsądnie; z tém wszystkiém mój wiek . . .

Zofija.

Wiek doświadczenia.

Major.

Niektóre dolegliwości . . .

Zofija.

Któż bez nich?

Major.

Moje wady . . .

Zofija.

Któż ich niema?

Major.

Ja sam czuję, że można być grzeczniejszym, przyjemniejszym w towarzystwie. Trudno mi się będzie odmienić; nie umiem w bawełnę obwijać.

Zofija.

Dowodzi otwartość.

Major.

Przykrą czasem bywa ta żołnierska otwartość.

Zofija.

I owszem.

Major.

I owszem?

Na stronie.

Rzecz dziwna! dziewczyna młoda, ładna a rozsądna . . . rzecz dziwna!

Do Zofiji.

Ale moja Panienko, nie mówiąc do ciebie, wiele bardzo idzie za mąż dla zyskania wolności... wolności... rozumiesz Wać Panna, jak ja to rozumiem? Jeślim więc na męża niestworzony, to tém więcej na takiego, coby cierpiał pewne figle.

Zofija.

Zbytecznej wolności, wolności bez granic nie pragnę, ale i niewoli w małżeństwie nie spodziewam się znaleźć; wzajemne we wszystkiem obowiązki rządzić powinny.

Major.

Bardzo rozsądnie.

Na stronie.

I chce pójść za mnie . . . rzecz dziwna!

Do Zofiji.

Z tém wszystkiém . . . ja myślę . . . że potrzebaby . . .

Zofija śmiejąc się.

Wyraźnie, wyraźnie kochany wuju.

Major na stronie.

Rozsądna! . . . chce pójść za mnie, żal mi ją zmartwić.

Do Zofiji.

Bo widzisz moja Zosiu, że . . .

Zofija.

Na co przyczyn szukać? nie znasz mnie jeszcze
Wać Pan Dobrodziej . . . to dosyć . . . ale mnie poznać
możesz . . . zostawmy więc czasowi a mam nadzieję
zyskać na tém.

Major.

Nie trudno ci to będzie moja Zosiu.

Zofija.

Czy tak?

Major zbliżając się.

Z temi oczkami.

Zofija.

O! nie o tém mowa.

Major zbliżając się.

Z tą buzią.

Zofija.

O, bardzo proszę.

Major biorąc ją za rękę.

Z tą rączką.

Zofija.

Panie Majorze!

Major obejmując ją.

Z tym kształtem, z temi . . .

Zofija.

Dla Boga, co to jest?

Major.

Ja się sam dziwię.

Zofija.

Spodzielam się . . .

Major.

Wszystkiego się spodzielaj.

Zofija

wyrywając się.

Ach tego nadto! . . .

Major.

Jeszcze mało . . .

Zofija wybiega do swojego pokoju.

SCENA XI.

Major prostując się.

Ech! ech, że mi teraz uszła!

chodzi prostując się.

Odmłodniałem, odmłodniałem . . . dalibóg czuję, że

odmłodziłem . . . i niedziw; luba dziewczyna, ładna dziewczyna, rozsądna, gwałtem chce iść za mnie! . . . Gdybym się ożenił? . . . Niech się co chce dzieje . . . Nie, to nie; niech się nie dzieje co chce . . . ale ja . . . tylko że to . . . bo znowu z drugiej strony . . . ale jednak . . . nareszcie w przypadku . . . a diabła tam, źle! Co tu robić?

SCENA XII.

Major, Dyndalska.

Dyndalska.

No Panie bracie, jakże stoją interesa?

Major.

Różnie, różnie.

Dyndalska.

Zosia pomieszana, Wać Pan zamyślony; dobry znak.

Major.

Znak nie zły, to prawda.

Dyndalska.

Jakże ci się podobała?

Major.

Ładna dziewczyna, niema co mówić.

Dyndalska.

A widzisz.

Major.

Miła.

Dyndalska.

A widzisz.

Major.

Dobra.

Dyndalska.

A widzisz.

Major.

Rozsądna.

Dyndalska.

Nie mówiłam?

Major.

Bardzo rozsądna.

Dyndalska.

To wszyscy wiedzą.

Major.

Gwałtem chce iść za mnie.

Dyndalska.

Gwałtem.

Major.

To nie źle.

Dyndalska.

Bardzo dobrze.

Major.

Ale z drugiej strony . . .

Dyndalska.

Niema drugiej strony . . . Podobają ci się?

Major.

Podobać się, podobała.

Dyndalska.

Więc się żeń.

Major.

Żeń się, łatwo mówić.

Dyndalska.

Cóż ci przeszkadza?

Major.

Co przeszkadza?

Dyndalska.

Na przykład?

Major.

Zgadnij Wać Pani.

Dyndalska.

Nie chcę zgadywać.

Major.

Lat pięćdziesiąt sześć.

Dyndalska.

Fraszki.

Major.

Jęć lat ośmnaście.

Dyndalska.

Fraszki.

Major.

Złe z tąd skutki.

Dyndalska.

Fraszki.

Major.

A, diabła tam fraszki!

Dyndalska.

Kobięty prędko się starzeją.

Major.

No, to prawda.

Dyndalska.

Zosia ma lat ośmnaście?

Major.

Ośmnaście.

Dyndalska.

Za dziesięć lat będzie miała dwadzieścia ośm.

Major.

To prawda.

Dyndalska.

Za piętnaście, trzydzieści trzy.

Major.

Prawda.

Dyndalska.

I już po młodości.

Major.

I to prawda.

Dyndalska.

Cóż za wielka różnica między wami?

Major.

A jużci!

Dyndalska.

Żadnej.

Major.

Jest, jest, niema co mówić.

Dyndalska.

Bardzo mała. A potem Wać Pan niemasz piędziesiąt sześć lat.

Major.

A mam, mam.

Dyndalska.

Ale niemasz.

Major.

Przecież muszę wiedzieć.

Dyndalska.

Ale ja mówię, że niemasz.

Major.

Mylisz się, mylisz.

Dyndalska.

Ale nie mylę.

Major.

Mam metrykę.

Dyndalska.

Nic nie znaczy. Aniela ma czterdziesty, ja czterdziesty drugi skończę, Pani Orgonowa zacznie czter-

dziesty szósty, a Wać Pan o cztery lata starszy, więc masz rok piędziesiąty; rzecz jasna.

Major.

Chyba myłka w metryce.

Dyndalska.

Pewnie.

Major.

No, piędziesiąt, to co innego.

Dyndalska.

A potem, powiedz mi, czy nigdy ci się nie trafiło widzieć szczęśliwe małżeństwo, a nierównego wieku.

Major.

I owszem. Właśnie niedawno Pan Prezes Radosław ożenił się z młodą osobą.

Dyndalska.

I kontent?

Major.

Kontent.

Dyndalska.

Szczęśliwy?

Major.

Szczęśliwy . . . tylko mówią że jego własny sekretarz . . .

Dyndalska.

Sekretarz, sekretarz; ale ty nie masz sekretarza.

Major.

I to prawda. A! a! Pan Fontaziński od trzech lat z młodziuchną żónecką . . .

Dyndalska.

Żyje dobrze?

Major.

Dobrze . . . A diabła tam! zapomniałem, przeszłego roku musiał się rozwieść i jeszcze za rozwód zapłacić.

Dyndalska.

Ależbo wyszukujesz przykłady . . .

Major.

Młody Radost, coto się dla dożywocia ożenił . . .

Dyndalska.

Żyje szczęśliwie.

Major.

Żył dosyć szczęśliwie, tylko że wkrótce zwaryjował i zamknąć go musiano.

Dyndalska.

Na cóż szukać daleko. Wiész w jakim wieku był nieboszczyk Dyndalski, kiedym szła za niego; jednak, Bóg widzi, niemiał przyczyny narzekać na mnie.

Major.

To prawda. Ale też nieboszczyk był zawsze jak nieboszczyk: Wać Pani robiłaś coś chciała.

Dyndalska.

Pocziwa dusza! Wreszcie, on tak chciał a Wać Pan jak zechcesz, to żona będzie robiła co jemu się podoba; wszystko zależy od układu.

Major.

I to prawda . . . niema co mówić . . . wszystko od układu zależy.

Dyndalska.

Pójdę więc . . .

Major.

Ale czekajno . . .

Dyndalska.

Spuść się na mnie.

Major.

Ale bo . . .

Dyndalska.

Bądź spokojny.

Major.

Nareszcie . . .

Dyndalska.

Rzecz skończona.

Major.

Tylko niech to jeszcze między nami zostanie, muszę wprzód . . .

Dyndalska.

Z koleżkami się naradzić.

Major.

Oczywiście.

Dyndalska.

Niepotrzebnie.

Major.

O, proszę . . .

Dyndalska.

Niech i tak będzie.

Na stronie.

Nie traćmy czasu. Odchodzi.

SCENA XIII.

Major sam.

No, kiedy mi kto co do rozumu powie, to i ja umiem ustąpić; nie jestem uparty. Nie utrzymuję złego, dla tego aby nie przyznać, że się dotąd błędziło . . . Luba dziewczyna! . . . Ale ci co powiedzą?.. hm, hm, hm... Miła dziewczyna! . . . Otóż i oni; trochę natrętni, prawdę mówiąc.

SCENA XIV.

Major, Rotmistrz, Kapelan, Porucznik.

Major

z przymuszonym śmiechem.

Chcę mnie gwałtem ożenić; a leto powiadam wam, gwałtem.

Rotmistrz.

One myślą, że trafiły na swego, z którym zrobią
co zechcą, którego za nos będą wodzić,

Major marsa stawia

gdzie im się podoba.

Porucznik.

Niech sobie daremnie głowy nie łamią. Ale zaba-
wić tu z nami mogą.

Major.

Mam lat pięćdziesiąt.

Rotmistrz

odpowiadając Porucznikowi.

Pewnie że mogą, bo je trudno minami wysadzić.

Major.

Rozsądna wcale dziewczyna.

Porucznik

odpowiadając Rotmistrzowi.

Nawet nie należy im zupełnie odejmować nadziei
dopięcia zamiaru. Niech się same powoli domyślą.

Major

z przymuszonym śmiechem.

Koniecznien chce iść za mnie.

Rotmistrz.

Nie dowodzi wielkiego rozsądku.

Major.

Mam lat pięćdziesiąt.

Porucznik

odpowiadając Rotmistrzowi.

Kto wie, co ją zmusza; może rozkaz matki . . .
może chęć stania się jej pomocną . . .

Major.

Gwałtem chcą mnie ożenić.

Kapelan.

Nie uchodzi, nie uchodzi.

Rotmistrz.

Ale to każdy wie.

Major.

Bardzo rozsądna.

Rotmistrz.

Co tam rozsądna, rozsądna . . . jakby tu szło tylko
o rozsądek.

Major.

No, prawdę mówiąc, rozsądek rzecz nie mała.

Rotmistrz.

Chcesz więc się żenić?

Major.

Tego jeszcze nie mówię.

Rotmistrz.

Jeszcze? ale z czasem? . . .

Major.

Należy wszystko rozważyć . . . wszystko od układu
zależy . . . Mam lat piędziesiąt.

Porucznik na stronie.

Cóżto za odmiana? truchleję, to być nie może!

Do Majora.

Nie żartuj sobie z nas Majorze; znamy cię dobrze. Rotmistrz zapala się daremnie, ja gardło moje stawię, że nigdy nie zrobisz takiego szaleństwa.

Major.

Coto szaleństwa! szaleństwa! Proszę być grzeczniejszym, Panie Poruczniku!... szaleństwa!

Kapelan.

Porucznik dobrze mówi. Mój Majorze, mój Majorze...

Major.

Mój Kapelanie, mój Kapelanie, gadaj prędzej, albo nie gadaj wcale.

Rotmistrz.

Żenisz się więc?

Major.

Żenię czy nie żenię a szaleństwem mojej czynności nikt nazwać niema prawa, i kwita.

Kapelan.

Ale kiedy nie uchodzi...

Major.

Co mnie kto ma uczyć, co uchodzi albo nie uchodzi.

Kapelan.

Rób co chcesz. Odchodzi.

Porucznik do Kapelana.

Zaczekaj, pójdziemy razem: jeszcze słowo.

Do Majora.

I szczerze to mówisz? bez żartów? . . .

Major.

Niémam potrzeby sprawiać się przed nikim.

Porucznik odchodzi z Kapelanem.

Hm! szaleństwo! szaleństwo! jaki do rady!

S C E N A XV.

Major, Rotmistrz.

Rotmistrz.

Niemasz się czego gniewać; chciałeś rady, bierzże taką, jaką dają.

Major.

Co innego rada, co innego nagana. Jeślim do tychczas miał fałszywe wyobrażenie o małżeństwie, nie widzę konieczności, abym je do śmierci zachował. Pięknato rzecz stan wojskowy, ale sprzykrzyć się z czasem może: wolność, wolność głosim a zawsześmy pod rozkazami, i na końcu staremu choremu, niema komu i poduszki pod głowę położyć. I cóżto tak strasznego mieć miłą, lubą, dobrą, młodą osobę zawsze koło siebie, co o nas pamięta, co nas głaszcze, cacka, pieści; cóż to tak strasznego? I dla tego żem nieuparty, mam być szalonym! szalonym? Szalony, kto inaczej myśli. Prawda?

Rotmistrz.

Nieprawda.

Major.

Nieprawda?

Rotmistrz.

Nieprawda.

Major.

Bądź zdrow.

Rotmistrz.

Najniższy. Major odchodzi.

SCENA XVII.

Rotmistrz.

Przyjechało ich trzy jak jedna, z kotami, mopsami, srokami, małpami, i jak zaczęły, tyr tyr tyr, tur tur tur, tyr tyr tyr... z rozumnego człowieka głupiec. Jemu się żenić i żenić z dzieckiem! Kiedy już tak zachciał koniecznie, niechby sobie był poszukał co dojrzałego... tylko że to... hm hm hm... siada.

SCENA XVII.

Rotmistrz, Aniela.

Aniela.

Dobrze, że tu zastaję Wać Pana. Jak też możesz być tak spokojnym będąc przyjacielem Majora? jak możesz zezwalać na jego ożenienie?

Rotmistrz

po krótkim milczeniu, zadziwiony.

Nie zezwalam.

Aniela.

Ale nie starasz się odwieść od tego szalonego zamiaru.

Rotmistrz.

Zabronić nie mogę.

Aniela.

Potrzeba jemu odmiany losu? niech mi kto powie.

Rotmistrz.

Zapewne, że nie.

Aniela.

Cóż przyjemniejszego nad stan wojskowy.

Rotmistrz.

Zapewne.

Aniela.

Używa obecności, o przyszłość się nie troszczy.

Rotmistrz.

Zapewne.

Aniela.

Podległy tylko swemu obowiązkowi.

Rotmistrz.

Zasługa jawna, ta za mną mówi, nie potrzebuje łaski niczyjej.

Aniela.

Nigdy sam, nigdy opuszczony.

Rotmistrz.

Zawsze w towarzystwie. . .

Aniela.

Przyjaciół doświadczonych. Bo gdzież lepiej poznać człowieka jak w trudach, biedzie, niebezpieczeństwie?

Rotmistrz.

To prawda.

Aniela.

Tam nie popłacają wykształcone słówka.

Rotmistrz.

Ho, ho!

Aniela.

Tam działać potrzeba.

Rotmistrz.

Jak na męża przystoi.

Aniela.

I na dobrego żołnierza; źle albo dobrze, ale otwarcie.

Rotmistrz.

Prostą drogą i śmiało.

Aniela.

Nigdy się nie bać.

Rotmistrz.

I samego diabła!

Aniela.

Ach!

pomiarkowawszy się.

O tak, tak . . . szczęśliwy, szczęśliwy kto ten stan obrał. Ach, gdybym nie była kobietą, byłabym żołnierzem całe moje życie.

Rotmistrz.

Proszę!

Na stronie.

Do rzeczy kobieta.

Aniela.

Raz nawet myśl mi przychodziła, ale to dawniej, ukryć płęć moją, przywdziać mundur i stanąć w szeregu Huzarów.

Rotmistrz.

W szeregu Huzarów, i ukryć . . .

Na stronie.

Rzadka kobieta.

Aniela.

Ale tylko w kawaleryi chciałabym służyć.

Rotmistrz.

W kawaleryi?

Aniela.

Tak konie lubię.

Rotmistrz.

Konie Pani lubisz?

Aniela.

Szalenie.

Rotmistrz.

To rozum dowodzi.

Aniela.

Sama nawet konno jeźdź.

Rotmistrz.

Konno jeździsz?

Na stronie.

Coto za kobiéta!

Aniela.

Coto za uciecha dobrego dosiąć rumaka, a jeszcze młodego, trochę dzikiego.

Rotmistrz.

z wzrastającym zapalem.

Uczyć go prawie chodzić.

Aniela.

Powoli.

Rotmistrz.

Cierpliwie jak z dzieckiem.

Aniela.

Potém żwawiej.

Rotmistrz.

A ostrożnie.

Aniela.

Kłusować.

Rotmistrz.

Niech się wyciąga.

Aniela.

Galopować.

Rotmistrz.

W koło, w prawo, w lewo.

Aniela.

Spiąć ostrogą.

Rotmistrz.

A to na co?

Aniela.

Czasem, czasem.

Rotmistrz.

Ale na co?

Aniela.

Tak ... ale ...

Rotmistrz.

Chyba że uparty, i to ...

Aniela.

Tak tak, kiedy uparty, i to ...

Rotmistrz.

Ostrożnie.

Aniela.

O, ostrożnie.

Rotmistrz.

Bo można znarowić.

Aniela.

O, można znarowić. Cały dzień siedziałabym w stajni: tego, to tamtego, to znowu tego kazałabym przejeżdżać lub sama przejeżdżała. Coto za rozkosz!

Rotmistrz na stronie.

Na honor, rzadka kobieta.

Aniela.

A potem wieczór fajeczkę zapalić.

Rotmistrz.

Ten smak trudno damom pojąć.

Aniela.

Jakto? Alboż jedna, ja pierwsza tytuń lubię.

Rotmistrz.

Lubisz Pani?

Aniela.

Sama palę.

Rotmistrz.

Sama tytuń pali!

Na stronie.

Coto za kobieta! coto za kobieta!

Aniela.

Tak mam odrębne gusta od całej płci mojej, żem dotąd za mąż pójść nie chciała. Ci miejscy panicze pragną, aby żona tylko się stroiła, bawiła, kręciła, trzpiotała; nie mogą pojąć kobietę, coby lubiła życie obozowe.

Rotmistrz.

Szalone głowy.

Aniela.

Marsze, koczowania, ruch, pracę . . .

Rotmistrz.

Lecz czemuż Pani wojskowego rączką swoją nie zaszczyciła?

Aniela.

Sama płocha młodzież trafiała mi się tylko.

Rotmistrz.

Sama płocha młodzież.

Aniela.

Nikt w wieku rozsądnym.

Rotmistrz.

Nikt w wieku rozsądnym.

Aniela.

Coby ceniał mój sposób myślenia.

Rotmistrz.

Być nie może.

Aniela dotykając jego ręki.

Serca żołnierzy z kamieni.

Rotmistrz całując w rękę.

Nie zawsze.

Aniela.

Niewzruszone, twarde.

Rotmistrz.

I lód twardy a przecię się topi od słońca.

Całuje w rękę.

Aniela niby wyrywając rękę.

Fi, Rotmistrzu.

Rotmistrz.

Nic złego.

Aniela.

Ach, jak mi gorąco.

Rotmistrz do siebie.

Coto za kobiéta!

Aniela.

Chodźmy do ogrodu, tam chłodniej.

Rotmistrz.

Może do stajni?

Aniela.

O, potém, później.

Rotmistrz.

Może fajeczkę?

Aniela.

Później, później.

Rotmistrz.

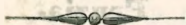
Idę gdzie każesz.

Do siebie.

Coto za kobiéta! Coto za kobiéta!

A K T III.

Tenże sam pokój, w kwiaty ozdobiony.



S C E N A II.

Fruzia, Juzia, Zuzia.

Fruzia prasuje; Juzia szyje; Zuzia przystraja czypeczek na tureckiej głowie.

Fruzia.

Cóż ty Juziu na to?

Juzia.

Na co?

Fruzia.

Na tych naszych Panów. Jakeśmy przyjechały, jakto się patrzyło, jakto się srożyło!

Juzia.

Jak gdyby nas połknąć chcieli.

Zuzia.

Żaden dobrego słowa nie przemówił.

Fruzia.

A teraz jak baranki.

Juzia.

Na jedwabiu możnaby prowadzić każdego.

Fruzia.

Dobrze moja matka mawiała, że kobiety rządzić stworzone.

Juzia.

Ale czemu nie rządzi?

Fruzia.

Jakie ty dziecko! albożto jedno złe na tym świecie?

Zuzia.

Już jabym tu i rządzić nie chciała.

Juzia.

O, i ja nie; mnie strach bierze jak spotkam którego, a zwłaszcza Majora.

Fruzia.

Mnie się zdaje, że gdybym była najodważniejszym żołnierzem, tobym zaraz uciekła, jakbym go tylko zobaczyła. Coto za wasy! dla Boga!

Juzia.

A Rotmistrz jeszcze straszniejszy ze swojemi miotłami.

Pokazując.

Jak jedna idzie do góry, to druga na dół; to znowu tamta na dół a ta do góry; aż dreszcz przechodzi.

Fruzia.

To prawda, że tu między temi wąsiskami, człowiek jak w lesie.

Zuzia.

Obrzydłe Huzary!

Fruzia.

A, dajno pokój Zuziu; Porucznik...

Zuzia.

A, Porucznik.

Juzia.

A, Porucznik. Ten wart być Półkownikiem.

Fruzia.

A jaki swawolny, fe!

Juzia.

Mnie się o to pytaj.

Zuzia.

Jakie wy szczęśliwe; do mnie i nie zagadał.

Juzia.

Ale zato Pan Grzegorz.

Zuzia śmiejąc się.

To mój kochanek.

Fruzia śmiejąc się.

I mój także.

Juzia śmiejąc się.

Muszę go wam odebrać.

Fruzia.

Pst!



S C E N A III.

Fruzia, Juzia, Zuzia, Grzegorz.

Po krótkim milczeniu.

Fruzia.

Czemuż Pan Grzegorz tak smutny?

Grzegorz.

Ach!

Fruzia.

I wzdycha.

Juzia.

Pewnie się kocha.

Grzegorz.

Ach!

Zuzia.

Szczęśliwa ta, co się podobać umiała.

Grzegorz na stronie.

Która tu ładniejsza?

Fruzia.

Kochasz się więc Wać Pan?

Grzegorz.

Kocham, dalibóg kocham.

Fruzia.

Czemuż się nie żenisz?

Grzegorz.

Myślę, dalibóg myślę.

Juzia.

Czy jeszcze co przeszkadza?

Grzegorz.

Nie wiem czy mnie zechcą.

Fruzia.

Którażby nie chciała!

Juzia.

Tylko że z Wać Pana wielki trzpiot być musi.

Grzegorz.

Nie, nie, wierz mi Wać Panna, że nie.

Fruzia.

Motylek płochy, niema i wątpienia.

Grzegorz na stronie.

Nie rozumiem.

Fruzia kiwając głową.

Jakibyto był los biednej żony.

Grzegorz.

Dla czego biednej? Mojej żony los byłby najprzyjemniejszy.

Fruzia, Juzia, Zuzia

otaczając go; ironicznie przez całą scenę.

Najprzyjemniejszy.

Grzegorz.

Zaraz po ślubie wróciwszy do półku, kupiłbym jej ładnego ... konika.

Fruzia, Juzia, Zuzia,

klaszcząc w ręce.

Konika, ach konika!

Grzegorz.

Potém porządną, mocną... baryłeczkę.

Fruzia, Juzia, Zuzia jak wprzód.

Baryłeczkę, ach baryłeczkę!

Grzegorz.

I piękny, z przykrywką, zamykany... koszyk.

Fruzia, Juzia, Zuzia.

Koszyk, koszyk! ach to pięknie! to ślicznie!

Grzegorz.

Miałyby trunki i żywność. A że jestem dobrze znany Panom Oficerom, moja żonaby im tylko dostarczała.

Juzia, Zuzia.

Ach to pięknie! to ślicznie!

Fruzia.

Ale Panie Grzegorzu, a w czasie wojny, jak będzie?

Grzegorz.

Właśnie w ten czas najlepiej.

Fruzia.

Ale strach!

Grzegorz.

Gdzie tam strach. To jest, co może być najpiękniejszego. Proszę widzieć, kiedy szwadron Huzarów na harc wyjedzie.

Fruzia.

Na harc, słyszycie?

Grzegorz.

Pif paf, pif paf!

Fruzia, Juzia, Zuzia.

Pif paf!

Grzegorz.

Dalój piechota: brr ... brr ...

Fruzia, Juzia, Zuzia.

Brr ... brr ...

Grzegorz.

Tu znowu armaty: bom ... bom ...

Fruzia, Juzia, Zuzia.

Bom ... bom ...

Biegając i skacząc w koło niego.

Pif paf ... Brr ... brr ... bom ... bom ...

Grzegorz

kręcąc się w koło i patrząc za niemi.

Lube, lube dziewczęta! Teraz żałuję, że nie jestem Turkiem.

Fruzia.

A fe! Turek.

Grzegorz.

Ja wiem, że fe! ale tą razą dobrzeby mi było, bo mógłbym się z wami trzema, razem ożenić.

Juzia.

Chyba że tak.

Dyndalska z za sceny.**Juziu!****Juzia.**

Słucham, zaraz idę.

Grzegorz zatrzymując ją.**Zaczekaj.****Juzia.**

Nie mogę.

Grzegorz.**Trochę.****Juzia.****Pani woła.** Odchodzi.**Aniela** z za sceny.**Zuziu!****Zuzia.****Idę.****Grzegorz** zatrzymując.**Nie chódź.****Zuzia.****Muszę; do zobaczenia.** Odchodzi.

S C E N A III.**Fruzia, Grzegorz.****Grzegorz.****Ach Panno Fruzio! kochasz mnie Wać Panna?**

Fruzia.

Jakże kochać, kiedyś jeszcze między nami nie wybrał.

Grzegorz.

Ciebie wybieram, sroczko moja.

Fruzia.

Pewnie?

Grzegorz.

Dziś się ożenię, jeśli zechcesz.

Fruzia.

O, na to dość jeszcze czasu.

Grzegorz.

Ale moja niecierpliwość.

Fruzia.

Tak mnie mocno kochasz?

Grzegorz.

Więcej, niż własnego mego konia. Jednak muszę ci wyznać, żem ci twój los przyszły zemną, tylko z pięknej strony wystawił, są i niektóre...

Orgonowa z za sceny.

Fruzii!

Fruzia.

Zaraz, zaraz.

Grzegorz zatrzymując ją.

Jakże będzie?

Fruzia.

Wszystko dobrze.

Grzegorz.

Ach Fruziu!

Fruzia.

Ach Grzesiu! wybiega.

Grzegorz sam.

Mam, którą zechcę. Najlepiej zawsze: z miejsca naciéraj! Coto myśleć; nikt jeszcze samą myślą nic nie zrobił. I Juzia ładna ... i Zuzia ładna ... i Fruzia ładna ... najładniejsza ... ta będzie moją.

SCENA IV.

Rotmistrz, Grzegorz.

Rotmistrz wchodzi, troskliwiej ubrany, nalévając perfumy z flaszeczki na chustkę.

Grzegorz nie widząc Rotmistrza.

Luba dziewczyna!

Rotmistrz nie widząc Grzegorza.

Rzadka kobieta!

Grzegorz usłyszawszy.

Pan Rotmistrz ją widział?

Rotmistrz z uśmiechem.

Widziałem.

Grzegorz.

Prawda Panie Rotmistrzu, że jak sarneczka.

Rotmistrz.

Jak sarneczka? hm ... tego nie znajduję.

Grzegorz.

Ciągle skacze.

Rotmistrz.

Skacze? ... hm ... tego nie widziałem.

Grzegorz.

Nigdy stępo, zawsze klusem.

Rotmistrz.

Klusem ... hm ... A tak, chcesz powiedzieć, że konno jeździ klusem.

Grzegorz.

Konno jeździ?

Rotmistrz.

Jeździ, jeździ.

Grzegorz.

A do diabła, za pozwoleniem, w to mi graj; to się każdemu podoba, prawda Panie Rotmistrzu?

Rotmistrz z uśmiechem.

Grześ ma rozum.

Grzegorz.

Z taką się żenić.

Rotmistrz.

Jaki pochlébniś.

Grzegorz.

Dziś się jeszcze z nią ożenię.

Rotmistrz odskoczywszy wpatruje się w niego; milczenie.

Rotmistrz.

Ty?

Grzegorz.

Ja.

Rotmistrz.

Ty, ty?

Grzegorz.

Jużci nie Pan Rotmistrz.

Rotmistrz w złości.

Co ty gadaasz?

Grzegorz.

Ja ... ja ... ja ...

Rotmistrz.

Z kim ty śmiesz się żenić?

Grzegorz.

Z Fruzją, za pozwoleniem.

Rotmistrz.

Z Fruzją? ... stary gaduła! ... idź precz!

Grzegorz odchodzi.

Rotmistrz sam.

Oszalał, jemu się żenić... w tym wieku! Co on sobie dobrego obiecywać może? ... Ale cóż się Panna Aniela tak spóźnia? Może już w ogrodzie ...

patrzy przez okno,

Nie widać.

Podsłuchuje pod jej drzwiami; usłyszawszy nadchodzącego, odskakuje na środek pokoju.



S C E N A V.

Rotmistrz, Porucznik.

Porucznik.

Mówiłeś z Majorem.

Rotmistrz.

Mówiłem ... ale ... wzrusza ramionami.

Porucznik.

Uparty.

Rotmistrz.

Uparty, jeśli to uporem nazwać można.

Porucznik.

Ktoby się był spodziwał.

Rotmistrz.

Rozsądny człowiek, mój kochany, wszystkiego się spodziwa.

Rotmistrz coraz bardziej roztargniony, patrzy często przez okno, odpowiadając od niechcenia.

Porucznik.

Żadnej więc nadziei, aby zamysłu odstąpił.

Rotmistrz.

Żadnej, zapewne żadnej.

Porucznik.

Wiem, wiem dobrze i jeszcze się pytam. Wprowadzić nie mogę mu radzić, ale i odradzać nie mogę.

Rotmistrz.

Najlepiej.

Porucznik.

Będzie z nią szczęśliwy.

Rotmistrz.

Będzie, będzie.

Porucznik.

Ja, odjeżdżam ... ale wprzód wymagam od twojej przyjaźni jednej usługi. Słuchaj mnie: przeszłej wojny ...

Rotmistrz spojrzawszy w okno, nagle wybiega.

Cóż to znaczy? ... nie rozumiem ... nie odkryję mu więc smutnej tajemnicy ... i lepiej .. bo czémżeby mógł mój nagły odjazd uniewinnić przed Majorem. Przyjaźń potępiać mnie będzie, kiedy ja dla niej wszystko poświęcam, wszystkiego się wyrzekam.

SCENA VI.**Porucznik, Zofija.****Porucznik.**

Ach Zofijo!

Zofija.

Edmundzie, cośmy zrobili! żadnejże już niema nadziei?

Porucznik.

Żadnej.

Zofija.

Rozłączyć się musimy?

Porucznik.

Na zawsze.

Zofija.

Odkryj mu miłość naszą.

Porucznik.

Nie mogę. Cóż za cel? Major odstąpiłby pewnie, ale będziesz przez to moja?

Zofija.

Może matka...

Porucznik.

Nie zwodźmy się; nigdy nie zezwoli. W czasie i pomocy przyjaciela, pokładałem nadzieję; wszystko mnie zawiodło. Mamże cię za sobą w nieszczęście pociągać? różnić z rodziną? Nareszcie nie Majora, to Smętosza zostaniesz żoną.

Zofija.

Okropnie.

Porucznik.

Odjeżdżam.

Zofija.

Kiedy?

Porucznik.

Tę godziny.

Zofija.

Już, już tak prędko.

Porucznik.

Mamże być świadkiem...

Zofija.

Nie kończ, nie kończ. Jedź, uchodź Edmundzie.

Porucznik.

Nasza tajemnica wiecznie nią zostać dla Majora powinna. Kapelan wie tylko i ten jedzie wraz ze mną. Ten uczciwy człowiek wsparł mój chwiejący zamiar i ustalił w drodze, której honor trzymać się każe.

Zofija.

Sama więc zostanę; z nikąd ulgi; z nikąd pocieszenia!

Porucznik.

Wiele, wiele cierpieć mamy!

Zofija.

Może nad siły.

Porucznik.

Nie Zofijo; siły muszą wystarczyć, gdy czystem jest źródło nieszczęścia.

Zofija.

Ciebie kochając, drugiemu miłość przysięgać!

Porucznik.

Kochając mnie, i jego jak ojca kochać będziesz. Poznasz najlepszego, najszlachetniejszego człowieka. Jedyna, jedyna moja ulga, jedyne pocieszenie, żeto dla niego szczęścia się wyrzekam, że on go z tobą znajdzie niezawodnie. Ach pamiętaj Zofijo, żeto ja powierzam tobie los, szczęście, spokój dni jego; upiększaj mu każdą chwilę, a przez to i moje życie osładzać będziesz.

Zofija ociérając łzy.

Ach czemuż cię co raz więcej kochać muszę!

Porucznik.

Serca nasze razem zostaną.

Zofija.

Na zawsze.

Porucznik.

Rozłączeni, oddaleni, myśli nasze szukać, spotykać się będą. Uspokój się; są jeszcze .. dla nas ... pociechy ... czyste ... lube ...

Zofija.

Jak uśmiech konających. Krótkie milczenie.

Porucznik.

Raz ostatni pewnie cię widzę. Jak już upłynie czasu wiele, jak już o mnie słyszeć nie będziecie, wspominaj mu czasem o mnie; on mnie także kochał. Powiedz mu, że dla niego wyrzekłem się więcej niż życia, bom się wyrzekł ciebie.

Zofija siada zakrywając oczy.

Albo nie, nie; nie mąć swojej i jego spokojności ...

Klękając i biorąc ją za rękę.

Zofijo, tém pożegnaniem, tém uściśnieniem, tracę prawo do twojego serca; zapomnij mnie.

Zofija.

Nigdy.

Porucznik.

Bądź szczęśliwa.

Zofija.

Bez ciebie.

Porucznik.

Dla mnie.

Zofija płacząc.

O Boże!

Porucznik całując ją w rękę.

Raz więc ostatni.

Zofija.

Edmundzie! raz ostatni...

Sklania się w jego objęcie.

Tu wchodzi Aniela, postrzega, wznosi ręce do góry i wbiega do swego pokoju; poczem Porucznik i Zofija w przeciwne strony nagle odchodzą.

SCENA VII.

Dziewczęta w różnym kierunku przebiegają scenę; potem wychodzą spiesźnie.

Orgonowa, Dyndalska, Aniela.

Dziewczęta w głębi.

Orgonowa.

Cóż takiego?

Dyndalska.

O co idzie?

Aniela między niemi.

O co idzie? co takiego? Będziecie wiedzieć.

Orgonowa.

Słuchamy.

Aniela.

Rzecz straszna!

Dyndalska.

No, dalej.

Aniela.

Rzecz okropna!

Orgonowa.

Gadajże.

Aniela.

Niespodziewana!

Orgonowa.

Cóż takiego?

Aniela.

Co?

Dyndalska.

Co? słuchajmy.

Aniela.

Porucznik...

Orgonowa.

Cóż Porucznik?

Aniela.

Porucznik... kocha się... w Zofiji.

Orgonowa.

Ha, ha, ha, ha.

Dyndalska.

Zbyttnia przenikliwość.

Aniela.

Kiedy przenikliwość, kiedy ha ha ha, nie powiem com widziała.

Orgonowa.

Coś widziała?

Aniela.

Na własne oczy.

Dyndalska.

Cóżeś widziała?

Aniela.

To tylko przenikliwość.

Orgonowa.

Powiedz aniołeczku; ty taka dobra, ty się nigdy nie gniewasz; mój aniołeczku, prędzęj.

Aniela.

Więc słuchajcie.

Dyndalska.

Słuchamy.

Aniela.

Porucznik . . .

Orgonowa.

Cóż!

Aniela.

Porucznik . . . Zofiję . . . w rękę całował.

Orgonowa, Dyndalska.

W rękę całował?

Aniela.

W rękę.

Orgonowa.

Czy być może!

Aniela.

To jeszcze nic.

Orgonowa.

Cóż takiego?

Dyndalska.

Mówże prędzej.

Aniela.

Porucznik ...

Orgonowa.

Cóż Porucznik?

Aniela.

Porucznik ... klęczał przed nią.

Orgonowa, Dyndalska.

Klęczał przed nią?

Aniela.

Klęczał przed nią ... tu ... w tém miejscu.

Dyndalska.

Co za zgroza!

Aniela.

To jeszcze nic.

Orgonowa.

Dla Boga, cóż jeszcze?

Aniela.

Porucznik ...

Dyndalska.

No, no.

Aniela.

Porucznik ... trzymał ją ... w objęciu.

Dyndalska.

Ach!

Orgonowa.

A Zosia?

Aniela.

Zosia?

Orgonowa.

Zosia, Zosia.

Aniela.

Zosia ... była ... w jego objęciu.

Orgonowa.

Rzecz straszna!

Dyndalska.

Niesłychana!

Chodzą obydwie dużym krokiem, stawając przy każdym zapytaniu koło Anieli, która stoi z założonemi rękoma.

Orgonowa.

Kocha się?

Aniela.

Kocha.

Dyndalska.

W rękę całował?

Aniela.

Całował.

Orgonowa.

Kłęczał przed nią?

Aniela.

Kłęczał.

Dyndalska.

Trzymał ją w objęciu.

Aniela.

Trzymał.

Orgonowa.

Fruziu! wołaj Zosię. Nie, czekaj ... Juziu! biegaj ... czekaj ... wołajcie prędko.

Dyndalska.

Juziu! Porucznika, Porucznika!

Orgonowa.

Nie, nie; czekaj, biegaj, szukaj; biegajcie a prędko. No, jeszcze tu?

Fruzia.

Gdzie?

Juzia.

Co?

Zuzia.

Kogo?

razem.

Orgonowa.

Majora gawrony, Majora. Dziewczęta wybiegają.

Rzecz straszna!

Obie rzucają się zmordowane na krzesła.

Aniela.

A ja mówiłam, ja mówiłam, że ten Porucznik niebezpieczny. Ja wiem coto Porucznik! Ale co ja mówię; to zawsze źle... mnie niema co słuchać... mnie i gęby otworzyć nie wolno. Otóż teraz pokazało się, że ja gadać muszę. Teraz nikt mnie nie przekona; zawsze, zawsze gadać będę.

SCENA VIII.

Orgonowa, Dyndalska, Aniela, Major.

Orgonowa.

Panie bracie, Panie bracie! dla Boga, chodźże prędzej! nic nie wiesz co się dzieje; wszystko spoczywa na naszych głowach.

Major.

Cóż się stało?

Orgonowa.

I jeszcze się pyta!

Major.

Ale kiedy nie wiem, muszę się spytać.

Orgonowa.

Ów wysmukły Poruczniś, ów przyjaciel, ów towarzysz, ów, już nie wiem co...

Major.

Cóż zrobił?

Orgonowa.

Chciał Zosię . . . słów mi nie staje,

Major.

Chciał? . . .

Orgonowa.

Wykraść ją chciał, wykraść.

Major.

To być nie może.

Dyndalska.

Spytaj się Anielki.

Orgonowa.

Na własne oczy widziała.

Major.

Co widziała?

Dyndalska.

Że ją kocha, że ją w rękę całował, że klęczał przed nią, że . . .

Major.

To wszystko być nie może. Aniela źle widziała.

Aniela.

Żebyś sam widział, możebyś także nie wierzył?
To człowiek na męża!

Major.

Ale jak, gdzie, kiedy?

Aniela.

Jak? Tak jak wszyscy. Gdzie? Tu w tém miejscu
Kiedy? Przed kwadransem.

Major po krótkiem myśleniu.

Tegom się nie spodziewałem. I Zosia także go kocha?

Orgonowa.

Zosia? Co za myśl. Gdyby kochała, jużby z nim
o kilka mil była.

Major.

Edmund! Edmund! mój Edmund! mnie zwodzić!
wolał byłby strzelić do mnie, ranić, nie tyleby bolało.

Orgonowa.

Takato rada Panów kolegów.

Dyndalska.

Niczyja sprawka tylko Kapelana; gwałtem stara
się przeszkodzić twojemu zamiarowi.

Orgonowa.

Starał się nas o różnych rzeczach przekonać, i
wcale nie ładnie wyrażał się względem ciebie.

Major.

Kapelan? Cóż mówił?

Orgonowa.

Prawdziwie wstydzę się powtórzyć.

Dyndalska.

Wcale nie obyczajnie się wyrażał; niech Anielka
powie.

Aniela.

Ja słyszałam, ale nie zrozumiałam; wszystkiego jeszcze zrozumieć nie mogę.

Major.

Co, jak on może wiedzieć? co jemu do tego? jak on może zapewnić? Ale Edmund, Edmund!

Orgonowa.

Jeśli nam nie wierzysz, spytaj się Rotmistrza, to godny człowiek.

Dyndalska.

Ten zawsze jednego zdania będzie z nami.

Major.

Bardzo wątpię.

Dyndalska.

Niemasz co wątpić: kocha się w Anieli.

Major.

Nieprawda.

Dyndalska.

Grzecznie.

Major.

Chciałem powiedzieć, że to być nie może.

Aniela.

Ślub nasz przekona.

Major.

Co? chce się żenić?

Aniela.

Nie inaczej.

Major.

Z Wać Panną?

Aniela.

Ze mną.

Major.

Czy oszalał stary!

Aniela.

Tak jak i Wać Pan.

Dyndalska na stronie do Anieli.

Zmiłuj się, ostrożnie.

Major.

Ale Edmund, Edmund! Zostawcie mnie, proszę.
Grzesiu!

Orgonowa do sióstr, na stronie.

Idę strzedz Zosię.

Aniela podobnie.

Ja Rotmistrza.

Dyndalska podobnie.

Ja podsłuchiwać będę . . .

Orgonowa podobnie.

Albo nie, chodźmy się naradzić; tu będziemy same.

Wchodzą do pokoju Dyndalskiej.

Major do Grzegorza.

Proś do mnie Pana Porucznika. Grzegorz odchodzi.

S C E N A IX.

Major sam.

Żeby był do mnie przyszedł i powiedział: Majorze, i mnie się ta dziewczyna podobała. Działajmy przeciw sobie, ale działajmy otwarcie. Otwarcie, jak ludzie honoru; ale nie jak węże, do stu paraliży, jak węże! Komuż, komuż teraz wierzyć? Takem go kochał! chciałem podzielić się majątkiem, życiem byłbym się podzielił. Ach to boli, boli; ale kwita z przyjaźni, kwita paniczu: adjutanta mi nie trzeba.

S C E N A X.

Major, Kapelan.

Major.

Dobrze że i Wać Pan przyszedłeś.

Kapelan.

Szukam cię także.

Major.

Coś to Wać Pan przed kobietami na mnie naga-
dał? Domyślam się co . . . ale to potwarz . . . i co to-
bie w to się mieszać? Powiedziałeś dwa tysiące razy:
nie uchodzi, nie uchodzi, i zrobiłeś swoją powinność;
a ja powiadam: *uchodzi, uchodzi i uchodzi*, i zrobię
co mi się dobrem zdawać będzie. Ale tajemnie wdawać
się z kobietami, plotki na mnie robić . . . tegom się
prawdziwie nie spodziewał.

Kapelan.

Ale Majorze, Majorze, co ty gadasz, co ty gadasz?

Major.

Siebie się spytaj: co ja gadał, co ja gadał? Namowy z Porucznikiem, spiski, wykradzenie; przystoi to na stan Wać Pana? fe! wstydz się. Gdyby dawny towarzysz mnie to powiedział, co ja teraz mówię Wać Panu, tobym się na pierwszym drzewie obwiesił; rozumiesz Wać Pan, obwiesiłbym się, do stu paraliży! Odchodzi.

Kapelan.

Co się dzieje! co się dzieje!

SCENA XI.

Kapelan, Orgonowa.

Orgonowa.

Nie kładź palca między drzwi, palca nie przyskrzynią. Kto radę powtarza, natręt z doradcy; złe oczy wszystko krzywo widzą. Pająk szuka jadu, ale pszczoła miodu; rozumiesz Wać Pan? Milczenia rzadko kto żałował, a mowności często. Proszę to pamiętać; sługa uniżona.

Kapelan

ukłoniwszy się nisko i tak ją oczami odprowadziwszy.

Ja mam mowności żałować. Co się dzieje! Co się dzieje!

S C E N A XII.

Kapelan, Aniela.**Aniela.**

Jednego razu byłam w domu mojej przyjaciółki; dawałam jej rady, rady prawdę mówiąc, które więcej moje, niż jej dobro miały na celu. Poznała się w końcu na tém; powiedziała mi, że rad nie potrzebuje i że się jej staje natrętną. Na to oświadczenie ... wiesz Wać Pan com zrobiła? Kazałam zaprządz i wyjechałam ... i wyjechałam.

Odchodzi za Orgonową.

Kapelan jak wprzód.

Jakie rady? cóż ja zrobiłem? co się dzieje!

S C E N A XIII.

Kapelan, Dyndalska.**Dyndalska.**

Cóżto Mości Panie! Jakieżto jego postęпки? Któżto uprawniał Wać Pana w cudze sprawy się mieszać? Pókiż tych plotek, tych namów, tych spisków będzie? Takito z Wać Pana przyjaciel? taki doradzca? Cobyś miał skłaniać do zgody, pokój ustalać; wzniecasz niesnaski, kłócisz brata z siostrą, siostrę z siostrą, córkę z matką, przyjaciela z przyjacielem. Wać Pan tu niezgodę utrzymujesz, Wać Pan spiski knowasz, Wać Pan zdrady snujesz, Wać Pan pragniesz sprzeczki, kłótni, klęsk i mordów? Odchodzi.

Kapelan

najniżej ukłoniwszy się, patrząc za nią; potem ociągając czoło.

Mój dobry Boże! klęsk i mordów! co ja przewiniłem? co ja przewiniłem?

S C E N A XIV.

Kapelan, Rotmistrz.

Rotmistrz

wchodząc prędko.

Gdzie jest Major?

Kapelan.

Nie wiem.

Rotmistrz.

Szalonym mnie nazywać! szalonym, że się chcę zenić!

Kapelan ubolewając.

Jakto? i ty także?

Rotmistrz.

Nie o tem mowa; Major mi chybił . . . boleśnie obraził . . . Przed Panną Anielą nazwał starym szalonym.

Kapelan.

Ale od przyjaciela . . .

Rotmistrz.

Uraza nie zna przyjaciela. Gdzie jest Major,

Kapelan.

Nie wiem.

Rotmistrz.

Ja wiem, że wiesz.

Kapelan.

Ale nie wiem.

Rotmistrz.

Nie chcesz powiedzieć.

Kapelan.

Dalibóg nie wiem.

Rotmistrz.

Byleś przeszkodził... byleś się sprzeciwił... hm? wszystko ci szkodzi; nasze szczęście solą w oku.

Kapelan.

Piękne szczęście!

Rotmistrz.

Wiem, wiem, mówiła mi Panna Aniela, coś przed nią nagadał; ale nie dbam o to. Rady nie potrzebuję... i na złość się ożenię... ożenię... rozumiesz mnie Wać Pan?

Kapelan.

Dla Boga, słuchaj tylko...

Rotmistrz.

Nic słyszeć nie potrzebuję.

Kapelan.

Tobie się żenić?...

Rotmistrz.

Mnie, mnie, mnie, i tego nie zabronisz.

Kapelan.

Ale . . .

Rotmistrz.

Ale, sam się żenić nie możesz, to chcesz aby nigdzie małżeństwa nie było.

Kapelan.

Broń Boże; ale twój wiek.

Rotmistrz w złości.

Mości Panie! Lat moich mi nie rachuj. Ja wiem, to dosyć . . . Nie rachuj! to ci powiadam, do stu piorunów! odchodzi.

Kapelan.

Co się dzieje! Dla Boga, co się dzieje! Mnie się zdaje, że oni poszaleli.

SCENA XV.

Kapelan, Grzegorz.

Grzegorz.

Upraszałbym jednej łaski.

Kapelan.

Cóż tam pocziwy Grzegorzu?

Grzegorz.

Niech się Pan za mną wstawi.

Kapelan.

Do kogo?

Grzegorz.

Do Pana Majora.

Kapelan.

I owszem; względem czego?

Grzegorz.

Chcę się żenić.

Kapelan odskakuje od niego; milczenie.

Z Fruzią, pokojówką Pani Orgonowej. Milczenie.

Ładna dziewczyna. Milczenie.

Kocha mnie tego. Milczenie.

Prosiłbym więc . . .

Kapelan.

Chcesz się żenić?

Grzegorz.

Choćby i dzisiaj.

Kapelan.

A, tego już nie mogę . . . odchodząc.

Niech was Bóg ma w swojej opiece.

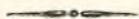
Wychodząc.

Co się dzieje! co się dzieje!

Grzegorz sam.

Hm, hm, hm; nie w swoim humorze. No, odłożone nie stracone... Kilka dni tu zabawią, mam dość czasu. Śmiejąc się.

To się koledzy zadziwią . . . nie wiedzą, co ich czeka!



S C E N A XVI.

Grzegorz, Rembo.**Rembo.**

Winszuję, winszuję Panie Grzegorzu!

Grzegorz.

Czego?

Rembo.

O! niby nie wiesz! czegożbym winszował, jeśli nie ładnej oblubienicy.

Grzegorz.

A tak... dziękuję ci.

Rembo.

Jak się ożenisz, będę ci winszował imieniem całego pólku.

Grzegorz.

Nie rozumiem. Bardzo mądrze gadasz; widać, żeś syn organisty.

Rembo.

Wszyscy cieszyć się będą.

Grzegorz.

To dobrze.

Rembo.

Coto przyjaciół będzie miał Pan Grzegorz!

Grzegorz.

Tyle co i teraz.

Rembo.

Wszyscy kochać go będą.

Grzegorz.

Do prawdy?

Rembo.

Za to ręczę... a nie Grzegorza, to Grzegorzową.

Grzegorz.

O, tego wcale nie chcę!

Rembo.

Chcesz czy nie chcesz, to tak będzie.

Grzegorz.

Dajno mi pokój... nie lubię takich żartów.

Rembo.

Przyzwyczajaj się po trochu.

Grzegorz.

Szalony! jakby to być musiało.

Rembo.

Będzie niezawodnie.

Grzegorz.

Proszę cię, dajże mi pokój.

Rembo.

Nie dam, bo mi cię żal, że takie robisz głupstwo.

Grzegorz.

Tobie zazdrość.

Rembo.

Ale stary, stary!

Grzegorz przedrzyżniając.

Ale młodziku, młodziku!

Rembo.

Pomiarkuj...

Grzegorz.

Idź do diabła!

Rembo.

Żeń się kiedy chcesz; ale potem nie gniewaj się;
gdy cię palcem wytykać będą.

Grzegorz.

Nikt mnie wytykać nie będzie.

Rembo.

Ja pierwszy.

Grzegorz.

Kto mnie wytykać będzie, temu przytnę wąsa.

Rembo.

Chcąc przyciąć, trzeba swego nadstawić.

Grzegorz.

Choć nadstawię, bezpieczny od ciebie.

Rembo.

Ciszej! bo ci pokażę, że nie jest bezpieczny!

Grzegorz.

Pokażesz? chodź, chodź! pokaż, pokaż!

Rembo.

Jednak...

Grzegorz.

Aha! boisz się.

Rembo.

Co? ja się boję! chodź! weźmiem pałasze!

Grzegorz.

Chodź! chodź! Odchodzą do pokoju Majora.

S C E N A XVIII.

Major, Rotmistrz.

Rotmistrz.

Jeszcze raz powtarzam, wszystko przyjmę od ciebie między swoimi, którzy wiedzą jak sobie życzymy; ale nie przed Panną Anielą. Tego znieść nie mogę i trzeba, abyś mnie przy niej przeprosił...

Major.

Tu cię przepraszam, a przy niej nie warto...

Rotmistrz.

Majorze, z większem uszanowiem.

Major.

Moja siostra, ale tobie lepiej życzę i powiadam, że ten stary grat do niczego.

Rotmistrz.

Majorze, do stu piorunów!...

Grzegorz i Rembo wchodzą z pałaszami w ręku.

S C E N A XVIII.

Major, Rotmistrz, Grzegorz, Rembo.

Grzegorz.

Chodź, chodź, ja ci zaraz pokażę!

Rembo.

Do ogrodu, do ogrodu!

Major.

A to co? Co to znaczy? Rembo, gadaj zaraz, co to znaczy?

Rembo.

Kiedy Pan Major każe, to powiem jak się ma rzecz cała: Oto Grzegorz, taki jak go tu widzimy, zakochał się w Fruzi... w takim wieku... to proszę Pana Majora, trzeba być głupim.

Major.

No, no, cóż dalej?

Rembo.

I chce się z nią żenić. Na starość żenić się... to proszę Pana Majora, trzeba być szalonym.

Major.

No, no, cóż dalej?

Rembo.

Chciałem mu wystawić, jakiego kłopotu nabędzie, chciałem mu powiedzieć, aby sobie przypomniał, że ile razy mąż stary, żona młoda, albo stara żona a mąż młody, tyle razy niezgodne małżeństwo. Bo pro-

sze Pana Majora, co młode to młode, co stare to stare: ogień pali, woda gasi. Chciałem mu powiedzieć, że jemu tak będzie jak wszystkim dotąd było w podobnym razie; bo on proszę Pana Majora myśli, że dla niego inna kobieta urodziła się na żonę i że on inaczej stary, jak wszyscy co już długo żyją. Otóż zacząłem mu o tém mówić, on mnie nie chciał słuchać, przymówiliśmy sobie i z tą przyszło do kłótni.

Grzegorz.

Nie mogłem ścierpieć jak mi powiedział, że mnie koledzy palcem wytykać będą, jak moja żona, jak... to jest ... jak ...

Major.

Rozumiem.

Grzegorz.

A ja wiem, żem w równym wieku z Panem Major-em, i kiedy...

Major.

Ciszej! zgoda!

Rotmistrz.

Dla czegoż gwałtem mu radzisz, kiedy on nie chce twojej rady?

Rembo.

Bo mi go żal, Pani Rotmistrzu; na honor żal mi go. I wiem, że sam będzie żałował, wkrótce będzie żałował; bo kto miał rozum do tego wieku, na długo stracić go nie może. Dotychczas był dobry żoł-

niérz, rozsądny człowiek, każdy go lubił, szacował, a teraz takie głupstwo chce zrobić, taką śmieszność na siwą głowę ściągnąć. Mnie to przykro, raz, że mój przyjaciel, a potem, co mam stać w szeregu obok jelenia!

Major.

Ciszej! zgoda!

Rembo.

Niech mu Pan Major także powie z łaski swojej, że kto z młodu się nie ożenił, niech się na starość nie żeni, a jeśli się żeni, to niech sobie każe głowę ogolić ...

Major.

Precz! dość tego! zgoda! marsz!

SCENA XIX.

Major, Rotmistrz.

Chodzą czas długi gwiżdżąc i nucąc, potem stają, patrzą na siebie i parsknąwszy śmiechem, ściskają się wzajemnie.

Rotmistrz.

Chcieliśmy podobno głupstwo zrobić!

Major.

I mnie się tak zdaje.

Rotmistrz.

Wielkie głupstwo!

Major.

Niéma co mówić, wielkie głupstwo!

Rotmistrz.

Niech go Bóg kocha, jak nam ostro prawdę wypowiedział.

Major.

Po huzarsku.

Rotmistrz.

Dawnom się tak nie czerwienił.

Major.

Pot ciękł ze mnie.

Rotmistrz.

„Na długo nie może stracić rozumu.“

Major.

I prawda.

Rotmistrz śmiejąc się.

„Jeleń w szeregu.“

Major śmiejąc się.

Cóż dopiero przed frontem!

Rotmistrz.

Co te kobiety z nas nie zrobiły!

Major.

W jednym dniu.

Rotmistrz.

Przewróciły dóm cały.

Major.

I głowy nasze.

Rotmistrz.

Chcieliśmy się żenić!

Major.

Na co? po co?

Rotmistrz.

Kłóciliśmy się z sobą.

Major.

To nie na długo... podając mu rękę.

Rotmistrz.

Tego byłyby nadal nie dokazały.

Ściskając się.

Jakże ciebie czuć szolwiją.

Major.

A ciebie piżmem.

Rotmistrz.

Panna Aniela tak mnie udarowała.

Stawia flaszeczkę.

Major.

Mnie Dyndalska pokropiła.

S C E N A XX.

Major, Rotmistrz, Kapelan.

Kapelan.

Moi Panowie, nie wiem co się tu dzieje...nie chcę wiedzieć...nie chcę i dłużej bawić. Bądźcie zdrowi...szczęścia życzę...bardzo życzę.

Major.

Kochany Józefie! przebacz, zapomnij co się działo...zostań...zostań...wszystko już do porządku wróciło.

Rotmistrz.

Ty stary i na mnie się gniewasz?

Kapelan.

Na żadnego, na żadnego. I cóż się tu dzieje?

Major.

Przyszliśmy do rozumu.

Kapelan.

Brawo. Kładzie kapelusz.

Major.

Kochaliśmy się, chcieliśmy się żenić.

Kapelan.

Nie uchodzi, nie uchodzi.

Major.

Teraz się nie kochamy i nie żenimy.

Kapelan.

Mądrze, mądrze.

Major.

Ale wiecie przyjaciele, nie to żem zbłądził na chwilę, nie to mnie boli; bo któż nie potknie się czasem. Ale czynność Edmunda, ta mi na sercu jak kamień.

Kapelan.

Jaka czynność?

Major.

Wiedząc, że mi się Zosia podoba, chciał ją zbałamucić, chciał ją wykraść.

Rotmistrz.

To być nie może!

Kapelan.

Majorze, Majorze, co ty gadasz?

Major.

Tak jest, niezawodnie.

Rotmistrz.

To być nie może.

Kapelan.

Któż ci to powiedział?

Major.

Moje siostry.

Kapelan.

I tyś uwierzył jak temu, żem z niemi o tobie rozmawiał.

Rotmistrz.

Ja niczemu nie wierzę; na raz sztuka.

Major.

Kłęczał przed nią.

Kapelan.

Prawda, przy pożegnaniu, polecając jej szczęście twoje.

Major.

Nie rozumiem.

Kapelan.

Edmund i Zofija kochali się od dawna. Zofija pewna, że jej ręki nie przyjmiesz, ulegając na pozór woli matki, chciała czas zyskać i oddalić jakiegoś nienawidzonego zalotnika. Ale jak rzeczy inny obrót wzięły, Edmund postanowił odjechać, wyrzucić się miłości, nigdy już Zofiji nie widzieć i abyś niemiął na sercu jego nieszczęścia, wiecznie ci to ukrywać; poświęcił ci więcej niż życie...

Major.

Tak, tak Edmund myślał? Ściskając gwałtownie Kapelana.

Edmundzie! kochany Edmundzie! Wybiega.



S C E N A XXI.

Rotmistrz, Kapelan następnie, **Orgonowa, Dyndalska, Aniela.**

Orgonowa.

Cóż tu za wiwaty?

Rotmistrz.

Obchodzimy powrót rozumu.

Dyndalska do Kapelana.

Wać Pan tu jeszcze?

Kapelan kłaniając się.

Tu jeszcze.

Aniela.

Rotmistrzu płochy, czekałam na ciebie.

Rotmistrz.

Prawdziwie, bardzo żałuję, ale rozważywszy wszystko, widzę że ... że jednak ... to jest ... że pomimo ...

Major za sceną.

Zosiu, Zosiu!

Wchodząc i prowadząc Porucznika.

Zosiu! Zofija wchodzi.



S C E N A XXIII.

**Orgonowa, Dyndalska, Anieli, Rotmistrz,
Kapelan, Major, Zofija, Porucznik.**

Major do Zofiji.

Mój zastępca ... twój mąż.

Dyndalska.

Cóż to jest?

Anieli.

Cóż to znaczy?

Orgonowa.

Panie bracie?

Major.

Wraz z moim majątkiem, którym mu już od dawna przeznaczał, zastąpię mnie przy Zofiji. Kapelanie, uchodzi?

Kapelan.

Uchodzi, uchodzi i pobłogosławię.

Porucznik.

Nie mówiłem ci Zofijo, że jak ojca będziesz go kochać musiała?

Zofija.

Przyjemny obowiązek, tak zgodny z sercem.

Orgonowa.

Miło mi dostać zięcia, który już zyskał mój szacunek. Bądźcie szczęśliwi.

Dyndalska.

I pamiętajcie o ciotkach.

Aniela do Rotmistrza.

Jakże będzie?

Rotmistrz.

Trudno, aby co było.

Aniela.

Przyrzekłeś.

Rotmistrz.

Nie mogę służyć.

Aniela.

Zdrajca!

Major.

Cicho, cicho. Niech wam dość będzie moje Damy, żeście Huzarów zwyciężyły... że musieli kapitulować i jednego oddać wam w niewolą... i to przyznajcie... najlepszego.



ZRZĘDNOŚĆ I PRZEKORA.

KOMEDIJA

w jednym Akcie, wierszem.

Złój naturze nie wygodzisz: jakbyś węża
ugłaskać chciał, a on przecię kąsa.

And. Max. Fredro.

O S O B Y.

PAN JAN ZRZĘDA
PAN PIOTR ZRZĘDA | bracia, opiekuny **ZOFIJI.**
ZOFIJA synowica **PANÓW ZRZĘDÓW.**
LUBOMIR.
LOKAJ.

Rzecz dzieje się na wsi, w majątności ZOFIJI.

ZRZĘDNOŚĆ I PRZEKORA

SCENA I.

Teatr wystawia pokój.

Pan Jan, Pan Piotr.

Słychać mocne dzwonienie na lewo i prawo.

Pan Jan

po prawej stronie w pokoju,

Jest tam kto!

Pan Piotr

po lewej stronie w pokoju.

Hej! jest tam kto!

Pan Jan.

Głosu mi nie staje!

Pan Piotr.

To służba!

Obadwa

krzyczą.

Jest tam który!

Wypadają z gabinetów; lokaj ze środkowych drzwi.

Pan Piotr.

Łajdaki!

Pan Jan.

Hultaje!

Cóżto, czyście pogłuchli? I krzyczę i dzwonię,
Aż mi język odrętwiał, aż mi spuchły dłonie...
Gdzie... poco... dokąd lata i jeden i drugi?
Wszyscy są do zapłaty, niema do usługi!
Już ja was do porządku doprowadzić muszę,
Ale aż z was każdemu dobrze karku wzruszę.

Pan Piotr mówiąc powoli.

A że też Panie Janie, zrządzisz jak najęty!
Jeszcze u ciebie gęby nie widział zamkniętej.

Pan Jan.

A Pan brat niemy? nigdy, nigdy już nie gada
Ani słówka?

Pan Piotr.

I owszem, gdy mówić wypada.

Pan Jan.

Gdy się kłócić wypada, dokuczyć, sprzeciwić;
Bo cóż to może szkodzić, co to może dziwić,
Że za niepilną służbę służącego łaję?
By siedzieli kamieniem na to są lokaje.
Musiałem wprzód ochrypnąć, nim usłyszeć raczył.
Chciałem go właśnie posłać, byś chwilę naznaczył,
W którejbyśmy raz mogli rozmówić się z sobą:
Niechaj napróżno doba nie mija za dobą,
Niech nasza synowica już dłużej nie czeka,
A zwłaszcza, niech się skończy ta nudna opieka.

Pan Piotr.

Przyszedłem, jestem, słucham; o cóż ci więc chodzi?
Czegóż sobie krew psujesz, jeszcze ci zaszkodzi.

Pan Jan.

O! i u Pana Piotra zółci jest nie mało.

Mówię biało, on czarno, ja czarno, on biało,

I tak prawie od wschodu do zachodu słońca

Nigdy kłótnie nie mają między nami końca.

Już dalej żyć nie mogę w nieustanną wojnie,

Chcę być panem nie sługą, i rządzić spokojnie.

Ach nimem tu przyjechał bodajem kark skrócić!

Pan Piotr.

Dzień, w którym tu stanąłem, bodaj się nam święcił.

Pan Jan.

Mój luby, słodki bracie, powiedzże mi proszę,

Jakież tu masz uciechy, jakie masz rozkosze:

Dla nieznośnej opieki w cudzym domu siedzieć,

Pannę, jak ochmistrzynię pilnować, strzec, śledzić.

Na co, po co, dla czego? niechże mi kto powie.

Dla tego, że Wać Panu ubrdało się w głowie,

By moja synowica nie była w mym domu.

Pan Piotr.

Nadanej współopieki nie zwierzę nikomu;

Zofija nie potrzebuje zakosztować miasta,

Gdzie, im dłużej się bawi, chęć bawienia wzrasta.

Cóż tam w rzeczy dobrego nauczyć się może?

Szukać uciechy w zbytkach a chwały w ubiorze,
Gadać, prawie bez celu, oczkiem wabić skrycie
I o niczem nie myśleć przez całe swe życie.
Nie, tego znać nie będzie nasza synowica:
Cnotą skromną, lecz trwałą niech duszę zaszczycą,
Niech czczemi próżnościami nie zaprząta głowy,
Niech umie cenić mierność i spokój domowy,
I na wsi podług stanu, niech męża wybierze.

Pan Jan.

Na mnie pewnie Zofija spuści się w tej mierze.

Pan Piotr.

W tej mierze na Wać Pana wybór nie zezwolę.

Pan Jan.

Czemu?

Pan Piotr.

Bo zły.

Pan Jan.

Wszak nie wiesz.

Pan Piotr.

I nie wiedzieć wolę.

Wiem tylko, że we wszystkiem chcesz stanowić prawa:
Z tąd zawsze gdzie ty jesteś, te kłótnie, ta wrzawa;
Lecz i ja też czasami, chcę mieć moje zdanie,
Nie wszystko zatem tutaj na twojem się stanie,
I jeśli cię opieka tak trudzi, tak dręczy,
Jedź, wracaj...

Pan Jan.

A braciszek chętnie mnie wyręczy,
Sam będzie rządzić! dobrze wyszukał to w głowie.
Pojadę, lecz los Zosi pierwój postanowię.

Pan Piotr.

Póki ty tu, nic z tego, żebyś o tém wiedział.

Pan Jan.

Ty mnie tu nie przesiedzisz, będę sto lat siedział.

Siadają.

Lokaj.

Mam czekać?

Pan Jan.

Idź do diabła!

Pan Piotr.

Czekaj!

Pan Jan.

Niech więc czeka;

Lecz na cóż masz daremnie udęczać człowieka?

Czyż mu nie wolno zrobić i jednego kroku,

Ma-że wciąż jak niewolnik stać przy twoim boku?

Nie dosięże już nieszczęścia, że musi mieć pana,

Trzebaż jeszcze by zawsze widział w nim tyrana?

Ach, wolałbym pług ciągnąć, jak służyć u zrzędy,

Który tylko we wszystkim na siebie ma względy,

Który ...

Pan Piotr.

Lecz Panie Janie, zrządzisz nadaremno,
Służący mi potrzebny i już idzie ze mną.

Pan Piotr z lokajem odchodzi.

SCENA II.

Pan Jan.

Zrządzisz! proszę, ja zrządzę! brawo, to mnie bawi!
Ja zrządzę! Nie, już nigdy świat się nie poprawi,
Wszak takich jak braciszek, posiada bez miary,
Co liczą chęć poprawy pomiędzy przywary.
Niech mi żona mniej gada, córki mniej się stroją,
Niech mnie słucha rodzeństwo, synowie się boją;
Niech sługa wierny, trzeźwy, zważny na me słowa
Swojej służby pilnuje, a mego nie chowa,
Słowem niech wszystko idzie jak chcę i ułożę,
A nigdy nie połaję, — gęby nie otworzę.

SCENA III.

Pan Jan, Zofija.

Zofija.

Miałabym małą prośbę...

Pan Jan.

Fe, to wstyd dla Zosi,
Wstyd zawsze dla panienki, kiedy o co prosi:
Proszoną być powinna panna znakomita;

Ale każda z was dzisiaj o to się nie pyta
Czy to tak skromnie, ładnie, czy to tak przystoi,
I starego panieństwa jedynie się boi,
A gdy duży majątek obejmie przed czasem,
Zaraz piskliwy szpaczek zacznie śpiewać basem,
Przypatrz się której, nóżka naprzód, nosek w górę,
Wię pewnie, jakto mężom podnoszą fryzurę,
A przytém są ciekawe, złośliwe, uparte...
Słowem, żeście wraz wszystkie nic a nic nie warte.

Odchodzi.

S C E N A IV.

Zofja, Lubomir.

Lubomir.

Jakiż piękna Zofijo, twojej prośby skutek?

Zofja.

Znikły nasze nadzieje, został tylko smutek;
Nawet mnie stryj nie słuchał, łajał mnie przed czasem,
Ganił szpaki w fryzurach i odszedł z hałasem.

Lubomir.

Przecież coś odpowiedział?

Zofja.

Nie, nic, ani słowa.

Dobrze była w mój głowie ułożona mowa,
Chciałam wszystko wystawić rozsądnie, dokładnie:
Że długo nie iść za mąż dla panny nieładnie,
I że... że... Pan Lubomir pokochał mnie szczerze...

Lubomir.

I zawsze kochać będzie...

Zofija.

I że temu wierzę;

Więc kiedy mam chęć dobrą i zdatność po temu,
Trzeba zadość uczynić żądaniu naszemu.

Lecz cóż? stryjasek wszystko łajaniem pokrywa.

Zaczyna płakać.

Ja już nie wiem, co pocznę dalej nieszczęśliwa:

Jeden z drugim się kłóci, a mnie uciemięża;

Nie wiem, co to im szkodzi, abym miała męża.

O Boże! dobry Boże! coto z tego będzie!

Że już mam rok szesnasty, mówią o tém wszędzie,

Za każdą moję wolą odbieram naganę,

A czas mija... i w końcu... i w końcu zostanę...

szlochając.

Starą panną...

Lubomir.

Zofijo! umiem te łzy cenić,

Lecz się uspokój, nasz los musi się odmienić:

Stryjowie bez wątpienia przy końcu zezwolą,

Jeżeli twoje szczęście nad swój upór wolą.

A posądzać ich nie chcę o myśli niegodne:

Nasze majątki równe, nasze serca zgodne,

Żadne więc mych zamiarów sprzeczności nie wzruszą,

I nie dzisiaj, to jutro, spełnione być muszą.

Zofija.

Wcale mnie nie pociesza ten widok daleki.

Lubomir.

Przecież się z czasem kończą najdłuższe opieki.

Zofija.

Ach ja bardzo nie lubię na cokolwiek czekać.

Ale są tacy... o są... co lubią odwlekać.

Lubomir.

Ach całe szczęście moje w tej złożone dobie,

W której przysięgnę kochać, żyć wiecznie przy tobie;

I możesz ty postrzegać obojętność we mnie?

Z tamtym stryjem mówiłem.

Zofija.

I pewnie daremnie.

Lubomir.

I owszem.

Zofija.

Owszem? jakto? więc się już nakłania?

Lubomir.

Swoim świętym zwyczajem zaczął od łajania.

Kłócił się, choć milczałem, a gdym wyrzekł słowo

Przeciwnych sto dowodów leciało na nowo,

I już myślałem odejść, ujść tego zapалу;

Gdy przecię w końcu zaczął ostygąć pomału

I przyrzekł prawie...

Zofija.

Prawie!

Lubomir.

... Z-iścić nasze chęci.

Chciałem nawiasem, niby dla lepszej pamięci,

pokazując papier,

Aby nam to podpisał prawne zezwolenie;

Bo zawsze wolę pismo, choć i słowa cenię.

Ale...

Zofija.

Ale...

Lubomir.

Odłożył na wolniejszą chwilę.

Zofija.

Na nic więc zeszło kłótni i gadania tyle.

Lubomir.

Nie, wszak nie potrzebuję, i pewnie nie zwodzi;

O drugie zatem tylko zezwolenie chodzi.

Idź Zofijo najdroższa, błagaj twego stryja,

Kocha cię niezawodnie, bo któż ci nie sprzyja?

Nie będzie więc nieczułym na twoje żądanie

I szczęście nas obojga spełnionem zostanie.

Na wszystkie jego słowa bądź na chwilę głucha,

Powiedz...

Zofija.

Wiem, co mam mówić, jeśli mnie posłucha.

Lubomir.

Któżby twego boskiego nie chciał słuchać głosu!

Pewnie więc dobre zyskasz rozstrzygnięcie losu;

Ja zaś w czas należyty drugiego sprowadzę,
A jeśli się nie uda, i temu zaradzę. Odchodzi.

Zofija sama.

Zeby mi też kto mądrze wytłómaczył przecie,
Na co się opiekuny przydadzą na świecie?
Dla płochych dzieci jeszcze, bo te mogą błądzić;
Ale dla mnie!... Ja sama potrafię się rządzić,
Nie potrzebuję, nie chcę w niczém mieć zawady,
Niktby mi, gdybym chciała, nie dał tutaj rady.
Ach stryj!...

SCENA V.

Zofija, Pan Jan.

Pan Jan.

Czegóż Wać Panna stoisz jak na straży?

Pewnie jakiś koncepcik po głowie się marzy.

Ale muszą złe myśli błądzić po rozumie:

Kiedy kto się czém dobrém zatrudnić nie umie,

Wtedy z kąta do kąta włóczy się i ziewa

I patrzy kto odchodzi albo kto przybywa.

Czegóż Wać Panna żadasz, czy dzisiaj usłyszę?

Przerwijże już łaskawie świętobliwą ciszę;

Nie lubię tej pokory, milczenie mnie nudzi.

Zofija.

Boję się . . .

Pan Jan.

Cóżto znowu, czym straszylłem ludzi?

Od jakiegożto czasu tak strasznym zostałem?

Kiedyż Pannie Zofiji powód strachu dałem?
Możem się nie dość umiał jej piękności dziwić,
Możem się jej układom ośmielił sprzeciwić?

Zofija.

Ach nie . . .

Pan Jan.

Skromność, lękliwość, piękne w płci niewieściej,
Lecz czasem w tym układzie i chytróść się mieści:
O, znano już nie jedną z tak miłym pozorem,
Co była trusią z rana a lwicą wieczorem.
Jednak raz jeszcze pytam, bo chcąc odpowiedzieć,
O co rzecz idzie, muszę, muszę przecie wiedzieć?

Zofija.

Chciałabym pójść . . . pójść . . .

Pan Jan.

Dokąd? co? gdzie? mów potroszę.

Zofija.

Pójść za mąż.

Pan Jan.

Czy tak pilno?

Zofija.

O, i bardzo!

Pan Jan.

Proszę!

Pójść za mąż bardzo łatwo!

Zofja.

Ach stryjaszku drogi,

Niema nic łatwiejszego, bez najmniejszej trwogi...

Pan Jan.

Xiędza kazać zawołać, da błogosławieństwo,

Goście się zjadą, spiją, i będzie małżeństwo.

Zofja biegnie z radością ku drzwiom.

Gdzież?

Zofja.

Po Xiędza proboszcza!

Pan Jan z ironiją.

Już go zamówiono.

Ale wiesz też Wać Panna, coto jest być żoną?

Zofja.

O wiem: trzeba być dobrą... i kochać potrzeba.

Pan Jan.

Przy dobroci, miłości, potrzeba i chleba,

Trzeba to, co posiadasz, wiedzieć komu zwierzyć

I trzeba przed ołtarzem całą przyszłość zmierzyć.

Ale to wszystko u was tylko pośmiewisko:

Być Panią, mieć dóm własny, odmienić nazwisko,

Wyrwać się z pod opieki, wstrętem płacić za tę,

W mieście tracić w kwartale dwuroczną intratę,

Na balach, jak mężatka zaczynać mazury,

Na mężczyzn patrzeć śmiało a na panny z góry,

W modnych fiokach z ulicy latać na ulicę,

Wzbudzając zazdrość, gnębić swoje rówiennice,

Mieć prawo szczebiotania i wolności w świecie,
Otóż to jest, dla czego iść za mąż pragniecie.

Zofija.

Tak wysoko stryjasku, myśl moja nie lata:
Pragnę miłości męża i szacunku świata.

Pan Jan.

Szacunku każda pragnie, lecz nie każda godna;
I ta, co kielich rozkosz wypila aż do dna,
Co przy zwiędłej piękności z potrzeby cnotliwa
Objadem albo balem szacunku przyzywa,
Dóm swój dobrego tonu chce uczynić tronem
I zawsze otoczona pieczeniarsów gronem,
Mniema, że nikt nie pomni, co się dawniej działo;
O jak przenikliwości i rozumu mało!
Každy chętnie zję u niej, butelkę wysuszy,
Wdzięczy się ję i kłania, ale gardzi w duszy.

Zofija.

Pan Lubomir wie wszystko, zna i świat i ludzi.

Pan Jan.

Zatém to Pan Lubomir słówkami cię ludzi?

Zofija.

Nie ludzi, bo mnie kocha.

Pan Jan.

O, dziewczyno płocha!

Któż ci, kiedyś bogata, nie powie że kocha?
Znam ja dobrze paniczów w terazniejszej chwili,
Co już w szesnastym roku pół życia przeżyli.

Paryż! kochany Paryż! to ich hasło lubę:
Pędzi jeden i drugi, jak na swoje zgubę
A gdy tam, co posiada, wszystko wraz utracą,
Pełen najdroższych wspomnień, ale goły wraca,
I kiedy już ostatki swój spuścizny trwoni,
Jak pies gończy za lisem, za posagiem goni.
Dla takiego i przysiąc znaczy bardzo mało,
Byle mu się najprędzej zbogacić udało;
Byle mógł, choćby kosztem szczęścia i pokoju,
Żyć czas jakiś i huczno i w przyjaciół roju.

Zofija.

Nie turbuj się stryjasku, ja sobie poradzę,
Jużem przecie nie dziecko, miej to na uwadze;
Daj tylko zezwolenie: on młody, ja młoda,
On kocha i ja Kocham, a tak będzie zgoda.

Pan Jan.

Nie jestem opiekunem jakich wielu liczą,
Którzy wiecznej opieki chętnie sobie życzą.
Małoletni dla takich najczystsza intrata,
I kiedy chce wyjść na świat, nim jeszcze ma lata,
Musi wprzód opiekuna nie mało opłacić,
By miał wolność przed czasem swój majątek stracić.

Zofija.

Więc jeśli moje szczęście masz szczerze na względzie,
Zezwól, nasze żądanie niech spełnioném będzie;
A przez cały ciąg życia, w każdej, w każdej dobie,
Za wszelkie pomyślności będę wdzięczna tobie.

Pan Jan.

No, więc dobrze, za męża weź swego kockanka,
Weź, weź tego słodkiego, miłego baranka;
Lecz nigdy mnie już nie nudź w najgorszej potrzebie.

Na stronie.

Zbędę się raz kłopotu i wrócę do siebie.

Do Zofiji.

Jeszcze ci powiem . . .

S C E N A VII.

Pan Jan, Zofija, Pan Piotr, Lubomir.

Pan Piotr

mając papier w rękę.

Dobrze, zaraz ci podpiszę.

Zofija do Lubomira.

Oba więc zezwalają?

Pan Piotr.

Zezwala! co słyszę!

Pan Jan.

Zezwala! więc to łapka!

Pan Piotr.

Jegoto układy?

Pan Jan.

Tak? chcieliście mnie podejść?

Pan Piotr.

Nie nawidzę zdrady.

Pan Jan.

O, nic z tego nie będzie.

Pan Piotr.

Pewnie, że nie będzie.

Pan Jan z swoim projektem na lodzie osiedzie.

Pan Jan.

Wszystko było usnute zręcznie i dokładnie,
Lecz szkoda, że lis stary rzadko w łapkę wpadnie;
Braciszek, krótko mówiąc, chciał mnie z tąd oddalić,
Potem, że w pole wywiódł, przed światem się chwalić.
Sam zaś zostawszy w domu, cudzym *nota bene*,
Wyciągnąć swoje łaski na wysoką cenę,
Wśród grona zalotników, jakby sam był Panną,
Niszczyć prawem wieczorném obietnicę ranną,
Wymyślać, gdyrać, zrządzić choćby i dwa wieki,
Słowem: żyć póki można, plonem téj opieki.

Pan Piotr.

Gdybym cię zrządał nie znał . . .

Lubomir.

Panowie łaskawi!

Czyż udręczenie drugich tak was wielce bawi?

Jeden i drugi prawo opieki posiada;

Lecz jeśli jeden niszczy, gdy je drugi nada,

Wieczna kłótnia trwać będzie, końca temu niema,

I nikt ręki Zofiji pewnie nie otrzyma.

Pan Jan.

Czemużes się wprost do mnie nie udał mój Panie?

Lubomir.

Wtedy Pan Piotr toż samo zadałby pytanie.

Zofija do Pana Piotra.

Ach luby stryju, zezwól . . .

Pan Piotr.

Nie, to być nie może.

Zofija do Pana Jana.

Stryju błagam . . .

Pan Jan.

Nic z tego.

Zofija.

Cóż czynić, o Boże!

Placze.

Lubomir.

Wskażcież mi Wać Panowie sposób, czynność, drogę,
Jak Zofiją zasłużyć i pozyskać mogę.

Pan Jan.

Wcześniej tak trzeba było mówić ze mną szczerze,
A teraz tej pokorze nie ufam, nie wierzę,
I bądź pewnym, że głowy dla kształtu nie noszę.

Lubomir.

Proszę . . .

Pan Jan.

Dłużej nie nudzić, ja go także proszę.

Lubomir.

Rzecz dziwna, niesłychana! niechże wiem przyczynę,
Niechże poznam przestępstwo albo moje winę.

Pan Piotr.

Jesteś młodym, więc słuchaj, co stary powiada:
 Każda, jakabądź władza przywilej posiada,
 Że czy szczęściem, czy smutkiem swych niższych na-
 bawia,
 Nigdy się i z niczego przed nimi nie sprawia.

Lubomir.

Szanuję ten przywilej; ale każde dzieło
 Musi się kiedyś skończyć, gdy początek wzięło;
 Zatém i każda władza, zwłaszcza nadużyta,
 W szczęściu lub smutku niższych, niech swój wyrok
 czyta;
 Nie jeden trwogi dozna, co rozrzuca trwogę.
 Tę małą, od młodego, chciej przyjąć przestrożę.
 Odchodzi.

S C E N A VIII.

Pan Jan, Pan Piotr, Zofija.

Długie milczenie; wszyscy chodzą wzdłuż i poprzek.

Zofija

głośno i z determinacją.

Kiedy tak... więc powiadam...

Pan Jan, Pan Piotr razem.

Cóż?

Zofija przestraszona.

Nie... lecz chcę prosić.
 Chciejcie raz wasze myśli wyraźnie ogłosić,

Aby się Pan Lubomir mógł do nich stósować;
Wszak mnie żywą w klasztorze nie chcecie pochować.
Trzeba, abym wiedziała, co się ze mną dzieje,
Chcę się dowiedzieć, jaką mieć mogę nadzieję,
W szesnastym roku życia myśli nie są płocze,
I można swoim losem zatrudnić się trochę;
Ślepo wierzyć nie będę lada jakiej radzie,
Zwłaszcza, gdy mojej woli stanie na zawadzie.
Zatém powiadam . . . męczcie, dręczcie moję duszę,
Róbcie, co tylko chcecie, ja męża mieć muszę.

Pan Piotr.

Tam do kata! doprawdy?

Pan Jan.

Wszakżem rzekł dopiero,
Że panińska lękliwość nie zawsze jest szczera;
Otóż ta, co dwóch zliczyć nie umie z pozoru,
Patrzcie, jak nas odważnie wyzywa do sporu.

Pan Piotr.

Co ja chcę Mościa Panno, w jakimkolwiek względzie,
Niech zawsze dla niej prawem, świętém prawem będzie;
Łzom kobiecym nie wierzę, fochów się nie zlekne,
I błagać przebaczenia przed nią nie uklękne;
Proszę więc pójść i czekać, aż przyślemy po nią.

Zofija odchodząc, na stronie.

Sami kochać nie mogą, to i drugim bronią.

S C E N A IX.

Pan Jan, Pan Piotr.

Pan Piotr na stronie.

Czyto brata był układ, Bógto raczy wiedzieć.

Pan Jan na stronie.

Trzeba więc będzie tutaj sto lat jeszcze siedzieć;
Jednakże nie zezwolę.

Pan Piotr na stronie.

Zezwolić nie mogę.

Pan Jan na stronie.

Byłoby tryumfalną uścielić mu drogę.

Pan Piotr na stronie.

Bo jeśli jego wola, drwiłby potem ze mnie.

Pan Jan na stronie.

O zgrozo! chcieć mnie, brata, podejść tak nikczemnie!
Ale może na kogo innego się zgodzi,
A dając Zosi męża, i mnie oswobodzi.

Do Pana Piotra.

Cheiałbym mój Panie Piotrze, pomówić z nim szczerze,
I stałe jego zdanie usłyszeć w tej mierze.
Kiedy się już tak stało, jak my sobie życzem,
I Lubomir nie wskórał i odjedzie z niczem,
Dobrzeby przecie było ukończyć te zwady
I na jedne, raz w życiu, zgodzić się układy.
Dużo o rękę Zosi . . . stara się młodzieży,
Kiedyśmy opiekuny, wybrać nam należy.
Zosia dziecko, pomału na wszystko zezwoli,

Nie umie poznać nadal szczęścia lub niedoli
I jedynie nasz rozkaz stanowić tu będzie.
Mów więc, kogo wybierasz w zalotników rzędzie?

Pan Piotr.

A, nie do mnie należy w téj mierze wybierać:
Ja tylko słuchać będę ...

Pan Jan.

I będę się spięrać.

O, znam tę skromność twoję, nikt z nią nie poradzi,
Niech cię kto, jak chce mija, a przecie zawadzi;
Ale kiedy tak żądasz, bez złości, uporu;
Pierwszy do tak ważnego przystąpię wyboru.
Na przykład: cóżbyś sądził ... młody Kasztelanic? ...

Pan Piotr.

Co? ha, ha, ha; ten burda, król wszystkich pijanic,
Który wszystkich zaczepia, aby pił przy zgodzie,
Co ciężarem sąsiadów, zakałem w swym rodzie?
Jakże go Panie Janie, mogłeś wybrać sobie?
Nikt go trzeźwym nie widział, chyba w chorobie.
Każdy go pilnie stronie, i powab kielicha
Zwabi tylko czasami spragnionego mnicha
Lub tego, co niebaczny z kim się dzisiaj brata,
Jutro się zmartwi stratą szacunku u świata.
A! pozwól, nad tą myślą niech się jeszcze dziwię,
Chciałeś Zofiji zjednać piękny los prawdziwie!
Obcą zawsze, czasami i zbytnią w swym domu,
Być świadkiem, towarzyszką szaleństwa i sromu,

Słyszec i w dzień i w nocy krzyki i wiwaty,
Bać się i nie módz wstrzymać majątku utraty,
Nareszcie zwykłym skutkiem podobnego życia,
Szukać gdzie w cudzym domu lichego ukrycia;
To jest przyszłość niechybna i ta Zosię czeka,
Jeżeli ją tak nasza obdarzy opieka.
Lecz na cóż długo szukać, gdy potrzeby niema?
Pan Smętosz, bliski sąsiad, niechaj ją otrzyma.

Pan Jan.

Ten kutwa, co do skrzyni przed gośćmi się chowa,
Który już wszedł w przysłowie, gdy o skąpych mowa;
Nędzą, głodem, wśród złota na pół umorzony,
Jakże mu myśl przyjść mogła szukać sobie żony!
I którażto pomyśli zostać jego żoną?
Nie było jeszcze takiej i nie będzie pono.
Wszakto jego zdarzenie tak sławném zostało,
Ze o niem niewiedzących znajdziesz bardzo mało.
Onto, sług wypędziwszy swém sknérstwem bez miary,
Został się sam przy skrzyni, przy bramie pies stary,
Wierny, bo na łańcuchu, zażarty, bo głodny,
Był straszny dla hultai, dla pana dogodny.
Lecz gdy pan zawsze pościł, jak i teraz pości,
A pies już nie dostawał ni chleba ni kości,
Wychudł . . . nareszcie skonał jednego wieczora,
A w nim razem i sługa i straży podpora.
Wtedyto nasz Pan Smętosz tając śmierć brytana
Właził w wieczór do budy i czekał do rana;
Lecz choć dobrze udawał brysia nieboszczyka,

Łotr jakiś z lepszym węchem do domu się wmyka,
I gdy sknéra aż chrypnie, tak wyje i szczeka,
Złodziej z jego pieniędzmi szczęśliwie ucieka.

Pan Piotr.

Hm, *species* dykteryjki . . .

Pan Jan.

Prawda, prawda czysta,
Zaświadczy sto żyjących, zaświadczy ich trzysta.
A, pozwól, nad tą myślą niech się jeszcze dziwię,
Chciałeś Zofiji zjednać piękny los prawdziwie!
Jednak nie mogę myśleć, abyś mówił szczerze,
Żeś się tylko chciał spięrać, temu chętniej wierzę.

Pan Piotr.

Czy tak?

Pan Jan.

Tak, tak, tak!

Pan Piotr.

Prawda, ja zrządzę od rana!

Pan Jan.

Bo jakże . . . ale proszę . . . bo czy rzecz slychana,
Żeby chcieć synowicę zrobić Smetoszową!

Ten, co . . .

Pan Piotr.

Coś już powiedział, nie wszczynaj na nowo.
Mniejsza z tém . . . bierz go lichu!

Pan Jan.

Kiedy tak, więc za nie

Niech będzie i mój projekt, za nic Kasztelanic;
Bo nie jestem uparty . . .

Pan Piotr.

Któż zatem zostaje?

Pan Jan.

Pan Szambelan Dorancki godnym mi się zdaje.

Pan Piotr.

Ten z miechowskim orderkiem fireyk posiwiały,
Co diabli wiedzą na czém strawił wiek swój cały,
Nie w wojsku, i nie na wsi, ani na podróży,
Z państwem się tylko brata lub mu raczej służy;
Wprawdzie ma dość majątku, posag miernie ceni,
Lecz mniema, że zaszczyty, z którą się ożeni.
Nie odwyknie, do czego nawykał tak długo:
Będzie miał przyjaciółki, żona będzie sługą,
I szczęście, jeśli z wiekiem, w obliczu swych dzieci,
Nierządem, jak Pan Zdzisław, scen brudnych nie
wzniesie.

Ale, to wszystko mniejsza, bo może się mylę;
Lecz to dobrze zważałem i to razy tyle,
Że kiedy w towarzystwo wejdzie niespodzianie,
Pół słowa na języku każdemu zostanie;
Nikt już śmiało nie mówi, nikt sobie nie wierzy
I nim głosu dobiedzie myśli swoje mierzy.
Nie wiem, co za przyczyna i nie chcę dochodzić,
Lecz, co na Szambelana, nie mogę się zgodzić;
Wszakże już Pan Rymowicz godniejszą, jak wnoszę.

Pan Jan.

Ach! tylko mi poety nie wspominaj proszę!
Żaden z nich ni o sobie ni też w sobie myśli:
Jakieś światy nieznane wrzącym duchem kręśli,
Nie lubi się zatrudnić ni dziećmi ni żoną,
Bo go gdzieś jakieś wabi nieśmiertelnych grono;
Lecz gdy się tak z dnia na dzień zajmuje Parnasem,
Tu go na ziemi skubią i kradną tym czasem.
Zostaje potem zwykle bez grosza dochodu,
I chociaż nieśmiertelny, musi umrzeć z głodu.
Tak, jak Pan Pegaziński...znałem go przed laty;
Wziął po ojcu majątność, miał piękne intraty,
Lecz cóż, kiedy nieszczęściem pomyślał o Febie
I zapomniał o ludziach, zapomniał o chlebie.
Koło jego wrót jechać bały się sąsiady,
Aby nie spotkać bajki, ody lub balady,
A gdy złapał to szczęście, jeśli o zachodzie
Mógł kto dwudziestej czwartej wyśliznąć się odzie.
O przyszłości nie myślał, wszystko w niwecz tracił,
Długów dużo narobił, podatków nie płacił,
Rymował a rymował i latał Pegazem;
Aż prozą wzięto wioskę za sądu rozkazem,
I teraz gdzieś pod strychem pewnie z nędzy ginie
I ukończa przy wodzie, co zaczął przy winie.
Cóż z tego proszę, dzieciom i zgłodniałej żonie,
Że mąż w biędzie wawrzynem uwieńcza swe skronie?
Cóż są te chwały, sławy, świątynie, kościoły,
Kiedy każdy poeta całe życie goły?

Pan Piotr.

Ten zły i ten nie dobry ... i cóż Panie Janie,
Jak tak zaczniesz wybiierać, młodzieży nie stanie,
I chociaż to ja niby chętnie się przeciwie,
Milczę całą godzinę ... ty gadasz szczęśliwie.

Pan Jan.

Więc może znowu zrzedzę?

Pan Piotr.

To nie twoja wada.

Pan Jan.

Jużci mówię czasami, gdy mówić wypada,
Zwłaszcza kiedy nie jeden rozprawia od rzeczy,
Swoje złe utrzymuje a dobremu przeczy.

Pan Piotr.

Każdy chętnie swe zdanie za dobre uważa.

Pan Jan.

Zbłądziwszy, kto błąd wspiera, swą winę pomnaża.

Pan Piotr.

Więc błądzi, kto Wać Panu nie da sobą rządzić.

Pan Jan.

Kto się lubi sprzeciwiać musi często błądzić.

Pan Piotr.

Trzeba milcząć, gdy mówisz...

Pan Jan.

Lub mówić rozumnie.

Co jest dobrem u świata, jest dobrem i u mnie,

Nie lubię drugich ganić, roztrząsać ich winy,
 I gęby nie otwieram, gdy nié mam przyczyny;
 Ale ścierpieć nie mogę, zatem niezezwołę,
 By wtrącić synowicę w dozgonną niewolę.
 Co? miałyby do twego przystąpić wyboru?
 Niech raczêj jeszcze dzisiaj idzie do klasztoru.

S C E N A X.

Pan Jan, Pan Piotr, Lubomir.

Lubomir.

Zawsze razem i zawsze w najpiękniejszej zgodzie!
 Drogi przymiot jak zważam, w ich szlachetnym rodzie.
 Prawdziwie, mało znałem tak uprzejmych braci;
 Żaden z was sposobności najmniejszej nie straci,
 By drugiemu usłużyć, być pomocnym w radzie,
 Uprzedzić, zobowiązać, ustąpić w układzie;
 Bo téż nic piękniejszego, jak zgoda w rodzinie:
 Wspólnie podzielać chwałę, gdy dobrze uczynię,
 Znaleść wad pobłażenie, przestrogę w złym kroku,
 Mieć doradcę w braterskiem i sercu i oku,
 Ufnością ufność płacić, wszystko poddać zgodzie,
 Znachodzić łzę w strapieniu a uśmiech w swobodzie,
 I słowem, do krwi związków, przyjaźń złączyć jeszcze;
 Ach, tę rozkosz ja w liczbę boskich rozkosz mieszczę.

Pan Piotr do Pana Jana.

Drwi z nas pono.

Pan Jan do Pana Piotra.

Wyraźnie.

Pan Piotr do Pana Jana.

A może i w błędzie.

Pan Jan do Pana Piotra.

Wszakżeśmy rzadko w zgodzie.

Pan Piotr do Pana Jana.

Mówią o tém wszędzie.

Pan Jan do Pana Piotra.

Czasem nadto się gniewam.

Pan Piotr do Pana Jana.

Jam trochę uparty...

Pan Jan do Pana Piotra.

Ale cóż ma za prawo stroić sobie żarty?

Do Lubomira.

Nadszedłeś Wać Pan właśnie nieszczęściem w tej chwili,
Kiedyśmy trochę z bratem za głośno mówili,
Widzę więc, że te szczęścia i zgody pochwały
W wysmianiu naszej sprzeczki jedyny cel miały.

Lubomir.

Poznałeś się Pan przecię na mnie i na sobie?
Tak jest, chciałem żartować, sekretu nie robię,
I zdaje się, że kiedym tak długo w tym domu,
W którym dobrego słowa nikt nie da nikomu,
Gdzie od samego rana i kłótnia i wrzawa,
Zdaje się, że z zrzędzenia już dostał prawa.
Prawdziwie, mało znałem tak niezgodnych braci,

Żaden z was sposobności najmniejszej nie traci,
By drugiemu dokuczyć, być nieszczerym w radzie,
Przeciwić się i nudzić w najlichszym układzie.
Złem jest każda niezgoda, lecz zgrozą w rodzinie:
Doznawać wciąż niesnasek, dobrze czy źle czynię,
Mieć zawsze prześladowcę, szpiega w każdym kroku,
Czytać niechęć w braterskiem i sercu i oku,
Chytrością, chytróść płacić, żyć ciągle w niezgodzie,
Widzieć radość w strapieniu a zazdrość w swobodzie,
I czuć, że się serc naszych natura wyrzekła,
Takie życie, móm zdaniem, czysty obraz piekła.

Pan Jan.

A, już tego za nadto! cóż to jest u kata?

Lubomir.

Że Wać Pan jesteś zrządą nieznośnym dla świata.

Pan Jan.

Ale...

Lubomir.

Słusznie, niesłusznie, wszystkiemu przyganasz.

Pan Jan.

A jnż!...

Lubomir.

A od nagany siebie nie zasłaniasz.

Pan Jan.

Panie...

Lubomir.

Co ci dobrem dziś, jutro złem się staje.

Pan Jan.

Słuchaj...

Lubomir.

Nie chęć poprawy, złość nauki daje,
I jak żmija zjadliwa, co się w koło ciska,
Wać Pan tego kalęczysz, kogo zoczysz z bliska.

Pan Jan.

Niemieję! czy ja żyję?

Lubomir do Pana Piotra.

A Wać Pan mój Panie,

Czego się śmiesz, czego? tak śmieszne me zdanie?

Ale nie, znam go dobrze; udręczenie brata

Jakby największa rozkosz do duszy mu włata

I ten uśmiech sprowadza; dobrze, wyśmienicie!

Pięknemi uczuciami oba się szczycicie!

Wać Panto jesteś pierwszą zawadą do zgody:

Mogące przekonywać zarzucasz dowody,

Najświętsza prawda, równie jak i błędne zdanie,

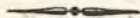
Znajduje w tobie sprzeczność, podlega naganie;

Myślisz tylko, czém wzniecić, czém utrzymać kłótnie,

Smutném zwaśnieniem drugich, pastwisz się okrutnie,

I tak jesteś nietylko dla swoich zgryzotą,

Lecz i całej ludzkości szkodliwą istotą. Odchodzi.



S C E N A XI.

Pan Piotr, Pan Jan.

Pan Jan.

No, i cóż Panie Piotrze, dosyć niespodzianie
Usłyszałeś rzetelne, potężne kazanie.

Pan Piotr.

I Wać Pan...

Pan Jan.

Ostrój prawdy słuchałeś cierpliwie.

Pan Piotr.

I Wać Pan...

Pan Jan.

Jeszcze dotąd śmieję się i dziwię;
Wszak językaś zapomniał...

Pan Piotr.

Ja się także śmieję,
Kiedy wspomnę, jak Wać Pan...

Pan Jan.

Tak się zawsze dzieje,
Kiedy kto zna swe wady a wspierać je żąda,
Wtedy komubądź w oczy nieśmiało spogląda.

Pan Piotr.

Ależ mój Panie Janie...

Pan Jan.

I co mnie w tém bawi,
Że ten, co tak zuchwale zwierciadło ci stawia,

Jest ów dzisiaj wybrany, ów przyjaciel drogi;
Dla niegoś spiski knował, szukał krętój drogi,
Jemuś dawał Zofija, mnieś chciał wywieść w pole.

Pan Piotr.

I może na ten związek jeszcze dziś zezwolę.

Pan Jan.

O, raczej na śmierć swoję.

Pan Piotr.

Co zechcę, uczynię.

Pan Jan.

Wszystko, wszystko, nie wątpię, prócz tego jedynie,
By za takie urazy...

Pan Piotr.

Jakież te urazy?

Jeślim słyszał com nie chciał, Wać Pan dwakroć razy,
I żebym cię przekonał, jak to mało cenię,
Oto jest opiekunów prawne zezwolenie,
Siadam i podpisuję. Siada i podpisuje.

Pan Jan na stronie.

Ten człowiek szalony!

Pan Piotr.

Któż z nas teraz obudwóch mocniej urażony?
Masz w rzeczy i przyczynę, łajał cię bez miary.

Pan Jan.

Co, mnie?

Pan Piotr.

Wszakże przyrównał do jakiegś poczwary.

Pan Jan.

Nie słyszałem.

Pan Piotr.

Co wściekle rzuca się na ludzi,

Pan Jan.

Nie słyszałem.

Pan Piotr.

Czyjegóż to śmiechu nie wzbudzi?

Nie gniewać się nie możesz.

Pan Jan na stronie.

Pęknię, umrę, zginę!

Pan Piotr.

A gniewając się, trzeba powiedzieć przyczynę.

Czemuż się już nie śmiesz?

Pan Jan.

Czemu się nie śmieję?

Pan Piotr.

Zgryzło cię, żem podpisał.

Pan Jan na stronie.

Przekłęcie! szaleję!

Głośno.

Podpisałeś? więc dobrze; wiem, wszystko rozumiem,

Znam całą myśl twoją, znam, zamiar pojąć umiem:

Wszystkobyś wolał stracić, niżli szczęście sprawić

Tego, co ci tak gorzko śmiał prawdę wystawić.

Lecz chcesz, bym się sprzeciwiał a dogadzał tobie,

Tak miałbyś plon żądany i tryumf przy sobie,
Ale nie z tego; gdzie? daj! na złość ci podpiszę.

Siada i podpisuje.

Pan Piotr na stronie.

Podpisał! czy szalony!

SCENA XII.

Pan Jan, Pan Piotr, Lubomir.

Lubomir

który we drzwiach podsłuchiwał chwilę.

Co widzę, co słyszę?

Zezwalacie obadwa!

Pan Jan posuwając papier.

Na, masz zezwolenie.

Pan Piotr z ironiją.

Kaducznie mi dokuczył!

Pan Jan z ironiją.

To dla mnie zmartwienie!

Pan Piotr.

Rób co chcesz, ja odjeżdżam.

Pan Jan.

I ja tu nie bawię.

Pan Piotr odchodząc.

Toś wyszedł doskonale!

Pan Jan odchodząc.

Toś zyskał w tej sprawie!

S C E N A XIII.

Lubomir.

Dobrze więc przewidziałem i poznałem braci,
Za zmartwienie drugiego każdy mi dziś płaci;
Co nie mogła cierpliwość, nie mogło błaganie,
Przez sparte, sprzeczne siły spełnioném zostanie.
Teraz kłóćcie się, krzyczcie, zrzedźcie w dzień i w nocy,
Wyrok naszego szczęścia już jest w mojej mocy.

S C E N A XIV.

Lubomir, Zofija.**Lubomir** otwiera drzwi.

Zofijo! chodź Zofijo! szczęście nam jaśniej!

Zofija wychodzi.

Spełnione przecię nasze najdroższe nadzieje!

Zofija.

Czy byé może? stryjowie?...

Lubomir.

Zezwolenie dali.

Zofija.

Jakże, powiedz, tak prędko, tak nagle przystali?

Lubomir.

Później twoję ciekawość całkiem zaspokoję.

S C E N A XV.

Zofja, Lubomir, Pan Jan.

Pan Jan w płaszczu, kapeluszu, laska w rękę; słucha pierwszego wiersza w głębi stojąc.

Lubomir.

A teraz przyszedłem szczęściem cieszymy się oboje!

Pan Jan.

Szczęście? brawo, wybornie; każdy co się żeni,
Chwilę, w której ślub bierze, chwilą szczęścia mieni;
Ale gdy roczek jeden i drugi upływa,
Nie każdy dzień swych ślubów dniem szczęścia nazywa.
Wać Panna pewnie mniemasz, że ów panicz młody
Zawsze będzie zajęty celem jej swobody?
Że zawsze znajdziesz w mężu czułego kochanka,
Jakiego snadnie kręśli romans lub sielanka:
Coby mierność przekładał nad zaszczyty tronu,
By swą lubą w zaciszu mógł wielbić do zgonu,
Któryby pełen czucia, w każdej życia porze
Miłością jej weselną przypominał zorzę?
Poznasz, poznasz, lecz późno, coto jest mieć pana,
I czy tak, jak kochanka, jest żona kochana.
A Wać Pan, co się cieszysz, prawie jak szalony,
Że dojdiesz tego szczęścia i dostąpisz żony,
Powiedź, czyli nie widzisz, co się z ludźmi dzieje?
Jak częstokroć mąż płacze, gdy się drugi śmieje,
Jak rzadko jedność w domu do końca utrzyma,
I jak głupią gra rolę, gdy pieniędzy niema.

Na wsi wciąż bawić nudno, w mieście niebezpiecznie,
Zawsze być na rozkazy i lękać się wiecznie;
Ach wierzaj, będziesz płakał wolnych chwil utraty,
Wierzaj mi, mogę mówić, bom i ja żonaty.

S C E N A XVII.

Zofja, Lubomir, Pan Jan, Pan Piotr.

Pan Piotr w płaszczu i w kapeluszu.

Pan Piotr w głębi.

Znowu zrządzi.

Pan Jan.

Cóż z tego?

Pan Piotr.

Gdyraj sobie, ale...

Pan Jan.

Chcesz się kłócić?

Pan Piotr.

Ja?

Pan Jan idąc ku drzwiom.

A ty!

Pan Piotr.

Nie mówię nic wcale...

Pan Jan.

Mówisz albo nie mówisz...

Pan Piotr.

Zawsze źle.

Pan Jan.

Szkaradnie.

Pan Piotr.

Czy tak?

Pan Jan.

Tak, bo co myślisz, każdy łatwo zgadnie.

Ostatnie dwa wiersze mówią idąc, i kończą za drzwiami.

Zofija.

Ach, czyliż między nimi nigdy nie ustanie

Lubomir.

Do nas teraz należy przykładem swobody

Zmusić ich do milczenia, zachęcić do zgody:

A jeśli zawsze kłótnia będzie im tak drogą,

Niech się kłóca, że szczęścia zaprzec nam nie mogą.



W Wiedniu. W wydłoczni A. Pichlera zm. Wdowy.



WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA

111611

L-P

Biblioteka WSP Kielce



0227734